

Z SIÓŁ, PÓL I LASÓW.

Z SIÓŁ, PÓL I LASÓW.



ZBIÓR NOWEL

PRZEZ

Adolfa Dygasińskiego.

Tom II.

W PUSZCZY.

OD ŚWITU DO ŚWITU.

CO KTO LUBI.

ZA KROWĄ.

CO SIĘ DZIEJE w GNIAZDACH

WARSZAWA.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra),
Nowolipki Nr. 9.

1887

304231

Дозволено Цензурою.

Варшава 23 Іюля 1887 г.

W PUSZCZY.

W PUSZCZY.

(Pół fantazyi na tle wspomnień).

ROZDZIAŁ I.

Jacyś ludzie.

Roku 18.. pod koniec czerwca w nocy, z narożnika boru w Orłowej Woli wysunęło się trzech ludzi; mieli na sobie szare, obcisłe kurtki, głowy ich nakryte były skórzanemi czapkami; rozmawiali cicho, jakby prowadząc tajemną naradę, z niedowierzaniem zaś oglądali się na wszystkie strony.

— Więc stanowczo zostajesz, Stanisławie? — zapytał jeden.

— Nie myślę się stąd ruszyć; wiem, że nie umiałbym wyżyć między obcymi — odrzekł zapytany.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał jeden z towarzyszy, nucąc półgłosem:

„Za kilka godzin rumiane zorze
Promieńmi błysnie jasnemi,
Obaczę niebo, obaczę morze;
Lecz nie obaczę”.....

— No, Kazimierzu, to nie zwlekajmy!—przerwał śpiewającemu inny, którego towarzysze nazywali Janem.—Niema się czego rozczulać, pożegnajmy Stacha i w drogę!

— Stanisława trudno przekonywać... Taki marzyciel, nakarmiony Słowackim i innymi tego rodzaju słowikami...

— Nasłuchałem się już dosyć waszych morałów i mam nadzieję, żeście mnie uznali za nieuleczonego! Bądźcie zdrowi, przyjaciele!

Wszyscy trzej uścisnęli się serdecznie.

— A jeśli kiedy powrócimy, jakże cię odnajdziemy?—pytał Kazimierz.

— Jak, tego już nie wiem, lecz niezawodnie w puszczy Orłowej Woli—odparł stanowczo Stanisław.

— Więc do widzenia!

Wnet potem Kazimierz i Jan zniknęli gdzieś w polach między zbożami; Stanisław popatrzył przez chwilę za odchodzącymi, westchnął i zapuścił się w bór ciemny, majestatycznie szumiący.

ROZDZIAŁ II.

Mitologiczne i życiowe prawdy.

Szybko upłynęło piętnaście lat od owiej nocnej rozmowy pod borem. Wszyscy ludzie w Orłowej Woli i w okolicy wiedzieli, iż po puszczy tuła się jakiś niszczyciel zwierzyny, pół-człowiek, pół-

czart. Opowiadania o nim wyglądały na mit; albowiem zdawało się, że go nikt nigdy nie widział. Jedni nazywali go klusownikiem, inni dali mu imię Kostuch, a jeszcze inni zwali go po prostu—*On*, mrugając tajemniczo oczyma. Opowiadano, że Kostuch jest to chłop barczysty i ogromnie silny. Barwa jego postaci miała odpowiadać ciemnym barwom boru.

Kiedy stanął pod drzewem, trudno go było odróżnić od jakiejś krzewiny lub pniaka. Miał też podobno przytém jakąś tajemniczą umiejętność przysiadania, przystawiania i zaczajania się tak wytrwałego, iż potrafił wybornie oszukiwać bystre i czujne zmysły zwierząt. Opowiadano, że prawe oko miał na wierzch wysadzone, a dolna część oprawy tego oka była zupełnie odwrócona i krwawo świecąca, opuszczała się ku dołowi. Lewe znowu oko miało posiadać barwę siwą, czarną i zielonkowatą. Wszystko to nadawało fizyognomii wyraz nadzwyczaj szpetny. Chytróść lisa, dzikość wilka, drapieżność jastrzębia i poządliwość piekielnika stanowiły moralne cechy Kostucha podług wyobraźni ludowej. Niby krzaki siwego mchu na dębowej korze, unosiły się gęstym opłotkiem brwi pod wązkiem czołem, pomarszczoném w głębokie bruzdy i mającém barwę suchych liści. Twierdzono, że Kostuch nie wydaje dźwięków ludzkiej mowy, że jest zawsze ponury, milczący, zły. Zwierzęta miał prześladować z nadzwyczajną namiętnością, ponieważ nie-

tylko był żarłocznym i cheiwym na ich mięso, lecz doznawał rozkoszy na widok krwi przelanej.

Pomocnikiem w dziennych oraz nocnych rozbojach Kostucha, jak utrzymywano, był pies, któremu także nadano imię—Żmijka; stworzenie to, podobno małe, niezmiernie zwinne, posiadało taki sam charakter, jakim się pan jego odznaczał. I Żmijka, według podania, nigdy nie szczekał, co najwyżej, wydawał ze siebie warczenie mrukliwe, jakby zpod ziemi wychodzące. Byli to więc dwaj pelzający tropiciele, milczący rozbójnicy, najstraszniejsi kłusownicy. Kostuch niezawsze miał na wyprawę brać ze sobą Żmijkę; bardzo często chadzał po lesie sam jeden. Jeżeli jednak szli samowtór, to szli tak cicho, jakby się wąż przesuwiał pomiędzy krzakami. W okolicach Orłowej Woli powszechnie rozmawiano o Kostuchu i psie jego, przeto nie dziwny się, że mit nieustannie nabierał objętości. Ten i ów strzelec lasów rządowych, czy prywatnych, miał czatować na Kostucha; opowiadano téż, że się z nim spotkał twarz w twarz jakiś wysoki dygnitarz leśny. Słyszano nieraz po kniei grzmiące strzały i umiano słuchem rozróżniać ich nadprzyrodzoność. Nigdy jednakże nie schwymano kłusownika na gorącym uczynku. Bo w danej chwili, mawiano, umiał on tak zręcznie utaić zabita zwierzyne, broń i przybory myśliwskie, że byłoby daremnym trudem narażać się na poszukiwanie. Tylko on zresztą znał różne dyabelskie dziury i wertepy

w kniei, tylko on wiedział, gdzie i jak co ukryć, przechować. A jeśliby się przypadkiem ów czarodziej sam stropił, jeśliby mu nie dopisały nadludzkie umysłowe i zmysłowe władze, od czegoż był Żmijka, jeżeli nie dyabeł w psięj skórze, to niezawodnie pies z piekła rodem? Ten potworek miał posiadać zdolności genialnego wyżła, znakomitego ogara i wybornego jamnika. Na rozkaz swego pana szedł w bór podczas dnia lub nocy i dopóty nie powracał, dopóki nie odnalazł ukrytego łupu lub schowanej broni. Ci dwaj wspólnicy porozumiewali się krótko: Kostuch pomyślał sobie, czego chciał, i wyciągał palec serdeczny w którąś stronę, Żmijka to rozumiał, szedł i znajdował przedmiot żądany; potem wracał i wtedy nie potrzebował wcale mówić, jeno był przewodnikiem. Opisywano także sposób odżywiania się Kostucha i psa jego. Pierwszy jadał surowe mięso zwierząt, pijał ich krew i robił sobie wódkę ze soku brzozonego oraz z rozmaitych jagód leśnych; pies zjadał jelita zamordowanych zwierząt, a był chciwy niezmiernie na serce i żółé, co mu dawało odwagę, jako téż złość ogromną. Rewir ich myśliwski sięgał daleko, jednakże nikt nie wątpił na chwilę, iż knieja w Orłowej Woli stanowiła rezydencją zezwierzęconego człowieka i prawie ucłowiezonego psa. Nie było przecież takiej pory roku, w którejby te dwa kłusownicy nie miały na co polować. Gdy ludzie chodzili po lesie, Kostuch prawdopodobnie szydził sobie z nich, sie-

dząc gdzie w krzaku, na drzewie, albo i w dziupli, czy w moczarach; w ten sposób sprawiał, że niejedną babę, zbierającą grzyby lub jagody, przechodziły w lesie *ciarki*.

— To Kostuch!—pomyślała sobie wtedy i czém prędzej zmykała z lasu.

Na przypołudniu każdy zwyczajny człowiek w Orłowej Woli je obiad, albo drzemie; na polach i po lasach panuje wówczas taka sama cisza, jak o północy. Któż tam może wiedzieć, co o téj porze robi Kostuch i pies jego? Wtenczas mógł on wleźć nawet do sadu, stodoły, czy obory!... Dzięki temu zapewne identyfikowano też niekiedy Kostucha ze zmorą, która dusi chłopów w południe, gdy sobie dobrze podjedzą na obiad śpią w cieniu po sadach, stodołach chlewach.

Kostuch nie potrzebował nigdy dwa razy strzelać do zwierzyny, nawet do dzika nie poprawiał; strzelał zawsze na pewno, a po strzale Żmijka znowu puszczał się niebawem za śmiertelnie zranioném zwierzęciem, szedł jak woda, dopóki nie dotarł do trupa; poczem wracał do pana, ukrytego gdzieś za pnem lub w krzaku, kiwał ogonem, śmiał się czarnemi jak smoła wargami, wyskakiwał radośnie do góry i ku zdobyczy prowadził.

Jużci ludzie nie wysnali sobie z palca żadnego mitu. Wszystko ma swoje przyczyny, miał je mit o Kostuchu. Przy pewnych warunkach mity powstają w nas samych, podobnie jak się wytwarzają myśli. Jak nie być poetą, twórcą

mitów, będąc mieszkańcem Orłowej Woli, mając pod bokiem puszcze?...

Słychać poważny szum, uroczystą muzykę. Czy może skargą jest wzniosły jęk borów, ten huk jednostajny, jak nieśmiertelne prawa przyrody? Tylko jeden jeszcze ocean ma taką pieśń wielką, która od wieków uczy człowieka czuć i myśleć, tworzyć. Miliony potoków tak grzmia, pędząc we wszystkich kierunkach po świecie; nie jesteśmy w stanie ująć uchem tego tętna życia całej ziemi. Nasz własny los, ciężka ludzka niedola zanadto gniecie i tłoczy do jednego punktu, więc ginie dla nas harmonia dźwięków wszechświata.

Wchodzisz do boru i ogarnia cię taki uroczysty nastrój, że nieśmiało kroczysz naprzód, jakaś dziwna siła cię powstrzymuje; prędkiej może zgiąłbyś kolano i pozostał już tak niewzruszony, jak przykute do ziemi stoją dzieci puszczy, odwieczne dęby, jodły, buki, sosny.

Dziwne jest prawo naszego życia! Jestestwem swoim wrosnąć w kawałek ziemi; na lada marnym odłamie skały, wśród mchów, kamieni i piasków ugrzęznąć myślą i uczuciem, żyć i odraźnić się, umierać!... Czémże jest życie? Czerpaniem sił z ziemi i z nieba. A czém jest śmierć? Ona jest zwrotem, oddaniem wszystkiego, cośmy ze świata czerpali. Wiecznie w to jedno koło wpleceni, wiecznie spełniamy ten obowiązek my, wszyscy potomkowie przyrody. Smutni czy szczęśliwi, ulegamy tylko prawu konieczności. Nad

nami zawsze jedna tarcza jasnego słońca i niezliczone gwiazd miliony. Sąż one iskrami życia?

I po co życie wśród tych olbrzymów światła, ruchu? Aby czuć i myśleć? Aby przecierpieć wszystkie boleści, przebłądzić otchłań ciemności, poznać jedną prawdę, wyssać niekiedy kropelkę szczęścia? To dla człowieka za dużo,—dla ciebie, przyrodo, za mało!

Dlaczego w człowieku iskrzy się brylant życia, piękny w szczęściu, a może piękniejszy jeszcze w cierpieniu? Potężne siły wszechświata potrzebują tej marnój czaszki i bijącego serca, ażeby ziemi przelać dzielną moc swoją. A tak, zwikłani milionem węzłów z życiem całego świata, wpatrzeni w ciemne błękitu tonie i łańcuchem pracy przykuci do ziemi, spełniamy maleńką cząstkę dzieł niezmierzonej przyrody. Może być dumnym, kto wszechświat uczuwa w sobie! I uważa człowiek przyrodę za wielką, jeżeli sam jest wielki; on ją czcić musi, jeżeli czci—sam jest godny.

Ale człowiek na ziemi jest jeszcze dzieckiem, które nie dorosło swego przeznaczenia, nie dorosło uczuciem i myślą. On drży niespokojnie w puszczy, wśród wspaniałych kolumn, nakrytych zieloném sklepieniem, pod którym tak swobodnie gołębie gruchają i szczygły wyśpiewują pieśń godową. On w zamyśleniu lękliwie stąpa po kobiercu miękkich trawników, gdzie się do niego uśmiechają kwiaty sasaneek, pierwiosnków i konwalij. Jestże on wrogiem, czy niewolnikiem

téj uroczej natury? Wszak wszystko przed nim pierzecha w popłochu. Przerazona jaszczurka przystanie, popatrzy i mknie żywo pomiędzy trawami; wąż pięknołuski z trwogą w gęste mechy się przebija; z kwiatów znikają motyle; z liści porywają się roje brzęczących muszek, a ptaki śpiewać przestają na jego widok i pierzeliwie uchodzą. Czyż człowiek po to żyje, ażeby mącił spokój wszelkiego stworzenia? Tak, bo żyć musi. Bo jego szczęście polega zwykle na cierpieniu innych żywych istot, a obecność jego przypomina im wielkie ciosy boleści.

Puszcza jest dzikim stanem przyrody. Zwierzęta wykonywają tu ruchy nagłe i zwinne; ich spojrzenia są bystre, lękliwe; głosy pełne trwogi; barwy połyskują świeżością. W puszczy człowiek przestaje rozumować, opadają go dziwne uczucia, a wyobraźnia jego tworzy, przerabia rzeczywistość na mity.

ROZDZIAŁ III.

Tajemniczy strzał i zapowiedź wojny.

Było to w maju; wiosna napełniała powietrze balsamiczną wonią pękających drzew. Słońce nie weszło jeszcze, tylko purpura jutrzeńki szeroko zaląła niebo; pod obłokami skowronki rzewnym głosem wyciągały już swoje jakby nabożne pie-

śni; w kniei rozlegały się w gąszczach śpiewy kosów niby ludzkie wygwizdywania. Trzęsie się bór czarodziejskim gwarem, a urok takiego poranku nie da się piórem opisać. Któżby powątpiewał, że ta muzyka, te rozgłosy szczęścia jedynie uczuciom miłości towarzyszyć mogą? Tylko potężne uczucie zdoła wyrwać z głębi istot żywych hymny wesela, tęsknoty i uwielbienia. Tam oto w gęstwinie, na suchym sęczku, z opuszczonemi skrzydły, z nieco zadartym ku górze ogonem, jakby z zachwyconemi oczyma, przysiadł żółtodzioby kos; świecą się jego czarne pióra, a melancholijne, tęskne gwizdanie, daleko w las leci. Zaskoczona przezienne brzaski, niby wieszeczka puszczy, poważna, od stóp do głowy napuszczona, tuż przy czarnej dziupli zasiadła znowu sowa; światło ją razi, odurza, więc dlatego widać spogląda jakoś uroczyście, czasami głową kiwnie, okiem mrugnie, czasami ostrożnie posunie się na gałęzi, szukając głębszego cienia. A w górnych piętrach konarów, pod baldachimem miękkich wieńców, sypiących się gęsto z odrodzonego na wiosnę świerku, zatrzepotała skrzydłami para ze snu ockniętych turkawek; przelatują z gałęzi na gałąź, migają białe pióra ich ogonów, a one głosem się wabią, nawołując: „krrrru, krrrru!” I wszędy słyhać tęskne odgłosy przyzwania. Niedziw, bo przygody nocne bywają tu tak straszne, iż wczora jeszcze szczęśliwi narze-

ezeni lub nowożeńcy nazajutrz o świecie gorzko opłakiwać muszą rozłąkę. A i dzień nie każdemu téż przychyła niebo szczęścia.

Ale jakież to dziwny głos zabrzmiał? Co za osobliwsza kantata kniei? Niby świśnięcie rozległo się po boru. Może to bóstwo lasów wdzięczy się na powitanie do młodego słońca? Cyt!... Coś jakby dudni, słychać: „Czczecz-jo!” I zaraz potem: „Rrrrtuu-ruu-urrr!... Rrrrtuu-ruu-urrr!” Ha, to cietrzew, przepyszny ptak, wygrywa i odprawia swoje miłosne tany! Cietrzew, wspaniała ozdoba lasów. Czarny, na szyi i na głowie lśni się świetnością, nad oczyma nosi brwi purpurowe, w skrzydła ma wprawioną jakby przepaskę białą, a jego rozpięty wachlarz ogona obwiedziony jest w samym środku rąbkim śnieżnej białości. Przypadł do ziemi, otulił ją skrzydłami, rozpostarł ogon, wyciągnął szyję; lubieżnie zmruża niekiedy oczy pełne jakiegoś płomiennego niepokoju, kręci się a zwija i przyspiewuje sobie pieśń na poły miłosną, na poły wojenną.

Wtém niespodziewanie wypadł zdradziecki strzał, cietrzew podskoczył, wzniósł się nieco na skrzydłach i padł na ziemię, po której dopiero co płaśał; teraz trzepnął skrzydłem, drgnął szyją, grzebnał kilka razy nogami. Rozlana krew ptaka poczęła broczyć po młodej, zielonej trawie.

Z głębi krzewiny wysunął się pies na krótkich nogach, szedł z wystawionym naprzód nosem, wietrzył; wnet dotarł do zwłok cietrzewia, po-

wąchał je jak oprawca na śmierć zobojętniały, potem ujął silnie zębami i powłókł w krzaki.

Na krótką chwilę cisza zapanowała w całej okolicy: sfrunęły w trwodze turkawki, umilkło gwizdanie kosów, ustały głosy miłości i tęsknoty, sowa schowała się do dziupli.

Ale krótką musi być żałoba śmierci tam, gdzie śmierć nieustannie gości. Żywi żyć przecież muszą, a jak tu żyć bez kochania. Więc znów zagrzmiały radosne pieśni i przy nich olbrzymie oko słońca z pałającym żarem w źrenicy spojrzało na ziemię.

Wkrótce potem w lesie Orłowej Woli rozległy się ludzkie znowu nawoływania:

— Hop! hop!—brzmiał głos donośny, dziwnie chrapliwy i dziki.

Po drodze biegła jakaś kobieta, nawoływała, wywijala rękoma, wodziła błędnym spojrzeniem. Wpadła na ścieżkę, zapuściła się w ostep, w bór głęboki; tutaj nasłuchiwała wyraźnie i od czasu do czasu wydawała okrzyk:

— Hop! hop!

Wyszła nareszcie na małą polankę, na ług od ranniej rosy błyszczący. Znać było na nim ślady świeżo przelananej krwi ptaka. Na ten widok kobieta przystanęła, oczy jej osłupiały, w ową krew wpatrując się z dziwną bacznością.

— Wojna! — wrzasnęła dziko, a echo odbiło wykrzyk.

Ona przysłuchiwała się echu.

— Tu była wojna, wojna!—wołała, tocząc do-
koła przerażonym wzrokiem.

Ale fizyognomia jój zwolna traciła wyraz dzi-
kości i przerażenia, oczy zaszyły łzami, kobiéta
poczęła jęczeć, szlochać:

— Zabili go, zabili!—biadała wśród obfitych łez,
załamując ręce ogorzałe od słońca, czarne prawie.

Porwała się wreszcie, poskoczyła w las i, bie-
gnąc, wołała:

— Stasiu! Hop, hop! Stasiu!

ROZDZIAŁ IV.

Tynia, Marek Kukułka i Sobek Guzik.

Właścicielem Orłowej Woli z przyległościami,
był Kornel Maurycy Strojmirski, starzec bardzo
już podeszły w lata, pan bogaty, nietylko jako
posiadacz ziemi, lecz i kapitałów. Oszczędny, za-
pobiegliwy szlachcic zgromadził znaczny majątek
który z dnia na dzień rósł nieustannie. Przyszłą
dziedziczką całej tój fortuny miała być córka pana
Kornela, Leontyna, jedynaczka, znana powszechnie
pod imieniem Tyni. Dziewczę wychowało się
prawie bez matki, która zmarła wtedy jeszcze
kiedy Tynia nie wyszła z lat niemowlęcych. Trze-
baby było zwiedzić dużo świata, aby znaleźć ko-
biétę podobną do panny Leontyny. Tynia była
hoża, posągowo zbudowana, piękna; w upodoba-

niach zaś swoich i w charakterze panna Strojmirska znalazłaby współzawodnika raczej wśród płci męskiej, aniżeli między niewiastami. W postanowieniach swoich była nieugięta, trzęsła całym domem i robiła wszystko, co chciała. Ojciec okazywał tyle słabości względem jedynaczki, iż nigdy nie sprzeciwiał się najmniejszym jej zachceniom. Jako panna bardzo bogata, uczyła się Tynia wszystkiego, co należy do wielko-światowego wychowania. Swojego czasu w Orłowej Woli była i francuzka z Paryża, i rodowita angielska, i znakomity metr muzyki, i dobrze urodzona polka, jako dama do towarzystwa. W siedemnastym roku życia dziewczyna dosięgnęła już całkowitego fizycznego rozwoju; miała wzrost wysoki i pełne pełne kształty. W tym czasie postanowiła wziąć rozbrat z nauką, więc wzięła. Zamknęła fortepian i przestała się egzercytować; wszystkie zaś książki oraz kajeta, zapisane w różnych europejskich językach, poleciała zawrzeć w wielkiej szafie. Natomiast wydobyto na wierzch ubiór amazonki, szpicróżgę, siodło i munsztuki. Parę wierzchowców: klacz Atalantę i ogiera Pyrola prawie nieustannie i z kolei przeprowadzał mastalerz po dziedzińcu, a Tynia z istnie rycerskim zapalem konno gonila po polach, lasach, wąwozach. Wielki kudłaty chart, Jaśmin, był jej nierozdzielny towarzyszem w tych wyprawach. Resztę pozostałego czasu panny Strojmirskiej wypełniały czynności takie, jak: strzelanie do celu z fuzyi,

lub pistoletów, pływanie w czólnie po rzece albo jeziorze, polowanie. Ćwiczenia tego rodzaju rozwijały zręczność Leontyny i doskonaliły jej mięśniową energią. W Orłowej Woli bywało mało gości, bo Tynia, choć bardzo uprzejma, nie lubiła towarzystwa płci własnej i gotowa była ziewać w salonie, wśród najbardziej doborowego zgromadzenia.

Jej ciemno-błękitne oczy iskrzyły się pełnią życia i składały szczere świadectwo, że ich posiadaczka nie może znieść żadnego narzuconego przymusu. Dwa grube warkocze ciemno-blond włosów uroczo spadały na barki i, sięgając poniżej pasa, stanowiły wspaniałą niewieścią ozdobę. Na licu kwitł rumieniec, istny kwiat rzetelnego szczęścia oraz zdrowia, o czém téż najniewątpliwiej świadczył wesoły, pełen swobody i dziecięcój prawie naiwności uśmiech. Dodajmy małe, karminowe usteczka, pozwalające widzieć dwa rzędy śnieżnej białości ząbków, a będziemy mieli obraz Leontyny Strojomirskiej.

Tynia była téż po części wychowanką puszczy, oddychała powietrzem boru, brała udział w życiu jego. Słuchała legend o Kostuchu, opowiadań o nadzwyczajnym odyńcu, zwanym austryakiem; o bandzie złodziei, którzy tu mieli swoją siedzibę, o przemytnikach itd. Chodzącą kroniką puszczy był Marek Kukułka, strażnik leśny i nadworny strzelec Strojomirskiego. Był to zapalony myśliwy i ulubieniec Tyni. Dotychczas

niewiadomo, czy i on kiedykolwiek w życiu spotkał Kostucha, choć opisywał kłusownika z nadzwyczajną dokładnością. Na pewno możemy tylko powiedzieć, że Kukułka niejednokrotnie był na tropie jakiegoś tajemniczego łowcy, a ponieważ stary umiał z tropu opowiadać rzeczywiste nocne przygody sarn, dzików, wilków, zajęcy, przeto mógł wnioski swoje zastosować i do człowieka. Jednakże pod tym względem uderzały go różne nadzwyczajności. Tropy Kostucha były jakby nieludzkie, oznaczały niekiedy tylko pół stopy, a przytém miały miejsce klucze o wiele zawilsze, aniżeli zajęcze. Kukułka kłął się publicznie, że jeśli kiedy spotka oko w oko bobrującego po kniejach kłusownika, palnie mu w łeb bez żadnego skrupułu. „Bo taki tępicieł zwierzyny—mawiał stary strzelec — gorszy jest przecież od razem wziętych: wilka, lisa i jastrzębia.“ Jednakże w téj mowie starca była przechwałka, bo w gruncie rzeczy bał on się Kostucha nadzwyczajnie, a ilekroć o nim opowiadał, lub mu się odgrażał, robił to zawsze dosyć po cichu i przytém oglądał się na wszystkie strony. Któż tam mógł wiedzieć, czy w dzień, albo w nocy tajemniczy ów bohater nie siedzi gdzie przyczajony, czy z krzaka, albo gdzieś z gęstwiny konarów nie bierze na cel głowy twojej? Strzeli, zabije, nie potrzebuje trupa nawet zakopywać, lub w bagno rzucać, bo pogrzebu dopełnią wilki, lisy i kruki. To téż Kukułka rzadko kiedy sam pu-

szczał się nocą do boru; częstokroć, chociaż strzał posłyszał, chociaż był pewnym, że to grzmi strzelba kłusownika, nie kwapił się jednak zbyt i pomimo całej zawziętości, puszczał płazem rabusia. Dopiero w parę godzin, albo i nazajutrz dobrawszy sobie nieraz drugiego strzelca do pomocy, sprawdzał krew przelaną, przekonywał się z rozmaitych znaków, jaki mianowicie gatunek zwierza padł ofiarą.

Zresztą nikt lepiej od Marka Kukułki nie pojmował, że takiego gracza jak Kostuch bardzo trudno jest dojść, gdy się zaszył w knieję. Z nim i obława niewieleby pomogła. Bo kłusownik widocznie miał wyborny wiatr i słuch nadzwyczajny, a przytém tak rozumiał całe położenie, tak dobrze wiedział, gdzie w danej chwili mogą być ludzie, a gdzie zwierzęta, iż podobno tylko z jednymi złodziejami miał parę razy niespodziewane spotkanie w nocy.

Hersztem bandy złodziejów, ukrywających się w puszczy, był Sobek Guzik, człowiek, który już żadną miarą nie mógł być za mit pozytywny. Ten zuchwały rabuś niejednokrotnie dostawał się w ręce sprawiedliwości; ale żadne łańcuchy nie zdołały go skuć tak mocno, aby się z nich wyzwolić nie umiał. Był on straszną plagą okolicy w kilkomiłowym promieniu. Każda noc stanowiła dla niego dobrą sposobność wyłamania zamków, rabowania, a w razie potrzeby popelnienia nawet morderstwa. Rzecz dziwna,

Guzik chodził nieraz do karczem poblizkich, do miasteczka na jarmarki, kumał się z różnymi chłopami i nie stroniono tak dalece od niego, podczas gdy tajemniczą mgłą mitu przyodzianego Kostucha uważano na równi z dyabłem. Sam Guzik miał gdzieś komuś opowiadać, że z powodu kłusownika, nigdy nie może należycie utaić skradzionych rzeczy, że Kostuch już niejednokrotnie zniweczył złodziejskie plany i przyłożył się w tajemniczy sposób do wykrycia rozmaitych kradzieży. Naczelnik rabusiów także więc zaprzysiął zemstę Kostuchowi, obiecując go powiesić przy spotkaniu „na pierwszej lepszej gałęzi.“ Tego rodzaju obietnica była znacznie poważniejsza, niż groźby Kukułki, ponieważ zemsta zapowiedziana przez złych ludzi, ma zawsze daleko większe widoki powodzenia; przytém Guzik z bezczelném zuchwalstwem łączył siłę olbrzyma.

ROZDZIAŁ V.

Wyraźni złodzieje i niewyraźny człowiek.

Wyobraźmy sobie jasną, spokojną i chłodną noc październikową. Gwiazdy jaśniały w ciemnym błękitcie, wyznaczając rozmaite figury na niebie; właśnie zza boru wychylała się jaskrawo-krwawa łuna księżycowego koła, zwolna rzucając na ziemię promienie tajemniczego światła. Na

skraj lasu przemykał wówczas cicho jakiś człowiek; przystawał chwilami i jakby badał, rozpatrywał położenie, czy może przysłuchiwał się szczekaniu psów, które tu z siól odległych dochodziło. Trzy lub cztery krzaki, obszernie rozrosłe na objętość, rosły opodal od lasu, jakby się wysunęły z boru i zdążyły w pole. W jeden krzak taki wszął się ów człowiek, przykucnął w owym namiocie tak nieznacznie, iż go bardzo wprawne oko mogłoby zbliżka wziąć za kawałek polnego granitu. Tuż u stóp jego przywarował cichutko pies dosyć długi a na krótkich nogach, jak gdyby do pelzania stworzony. Miałżeby to Kostuch ze swoim Żmijką polować na wychodnego? A może!... Ludzie opowiadali o nim, że podczas zimy na takiej zasadce przyodziewał się białą płachtą, a psa też zwykle przyoblekał w białą szmatę.

Gdy się tak czaił człowiek ze psem, niedaleko od niego z lasu wyszedł ostrożnie rosły chłop; powiódł po polu okiem, a potem wydał donośny głos, wybornie naśladujący wołanie sowy. Pies drgnął w krzaku, lecz się z miejsca nie ruszył, warknął tylko głucho, w głębi piersi głos tłumiąc. Czatownik w krzaku przycisnął psa do ziemi, nakazując mu widocznie w ten sposób milczenie.

Po niejakim czasie ukazał się pod lasem inny chłop. Znowu zabrzmiało echem po lesie hukanie sowy. Zebrało się pięciu ludzi; później przybyli otoczyli tego, który się pierwszy pojawił

i teraz coś przedstawiał swoim towarzyszom. Jakkolwiek szept pod lasem był przytłumiony, niewyraźny, jednakże człowiek zaczajony w krzaku słyszał taką mniej więcej rozmowę:

— Koniecznie z wami pójdę, Sobku — upierał się jeden. — I Jankla weźmiewa ze sobą... Będzie nam wartował przed stajnią; on to dobrze uczyni... Wy się sprawicie ze starym, co przy koniach stróżuje. Nie będzie pokrzykiwał, jak mu się w gębę zasadzi pakuły... A nie, to..

I tu mówiący pokazał ręką na gardło, potem zaś dodał jeszcze:

— Nikt tu lepiej odemnie nie zna tych koni; nie darmo przez kwartał służyłem na Orłowej Woli; wiem jak zażyć...

— No, więc prędzój! Majcher i Jankiel ze mną na Wolę, a Kijanka i Garłacz machną po te sołtysowe siwki do Żabie!... Zwijać się prędko, żeby za kilkanaście pacierzów być pod lasem!... Flaszkę z gorzałką, sakwę z chlebem i szperką zostawiam przy dębczaku — mówił człowiek, będący widocznie wodzem wyprawy.

— Kto nie wróci, ten się nie napije — rzekł wesoło Majcher.

— Może się napije, ale wody w kryminale — powiedział Sobek.

Każdy się domyśli, iż Guzik to urządził przedsięwzięcie ze swymi towarzyszami.

Człowiek w krzaku ani drgnął, a właśnie z różnika lasu prosto pod światło księżyca wybiegł

na strzał zając; stanął na miedzy słupka i odrysował się w przestrzeni wyraźnie; snadź szmer posłyszał, bo oto, kicając, sunął w pole, poczem niebawem zniknął w oddaleniu. Czatownik widział dobrze zająca, mógł strzelić i zabić go, skoro na wychodnego polował; ale on widać wolał obserwować grubszego zwierza, Sobka Guzika.

Tak to zawile stosunki myślących, czujących i działających ludzi mają nieraz wpływ na życie marnego szaraka.

W cichości rozbiegli się złodzieje i parowami, a każdy oddzielną drogą, zdążali do celu.

Teraz dopiero zaczajony człowiek poruszył się w krzaku i wstał na równe nogi, popatrzył wkoło, posłuchał. Wykręcił z obu luf dubeltówki naboje zajęczego szrutu i nabił grubymi siekańcami, jakby na dziki; potem wydobył dwa pistolety, odwodził kurki, zdejmował stare kapiszony, a nowe nakładał. Nareszcie wziął psa za kark i wpakował go do myśliwskiej torby. Poczyniwszy takie przygotowania, tajemniczy ów człowiek zawiesił strzelbę na plecach i szedł z nadzwyczajną przecznością, jak gdyby nie chciał po sobie zostawić żadnego śladu na trawie lub piasku. Nakoniec podszedł do rozłożystego dębu, wdrapał się nań z niezwykłą zręcznością i usadowił na grubym konarze, tak iż przy świetle księżyca mógł stąd widzieć wszystko dokoła siebie.

Uroczysta cisza zapanowała; czasem tylko zbudzony ptak gdzieś zatrzepotał lub pisnął; psu,

wyglądajacemu z torby i spokojnemu jak dobre dziecko, polyskiwały ślepie; obracał on łeb na wszystkie strony, zdawał się być przyzwyczajony do takiej sytuacji.

Upłynęła prawie godzina czasu, gdy się rozległo głuchoe tętnienie w polu. Pies drgnął, ale snadź nie wolno mu było ani w głębi piersi warknąć, bo gdy to uczynił, pan jego niebawem ścisnął mu pysk ręką i pies stał się cichy, tylko całą skórą drżał niespokojnie.

Pod las podjechał człowiek na białym koniu, mającym pysk obwinięty jakimś łachmanem, widocznie, aby nie rzał głośno; kopyta konia również obwiązano szmatami, zapewne dlatego, ażeby nie odciskały po drodze i nie pozostawiły za sobą śladów, czy może w tym celu, aby się nie zdradzać odgłosem. Przybyły uwiązał konia do drzewa i nasłuchiwał. Wnet zatętniało znowu głucho i pojawił się inny jeździec; pędził na wspinałym rumaku, który się niespokojnie rzucał na prawo i na lewo, a podobnie jak koń biały miał też łeb skrepowany i szmaty na nogach. Złodzieje skradli w Orłowej Woli wierzchowce Tyni: Atlantę i Pyrola.

— Gdzie jest żyd?—spytał Guzik, który pierwszy przybył na białej klaczy.

— Wnet przyjdzie z hańtej strony poprzez łąki—szeptał Majcher, ukazując ręką kierunek; potem zaś dodał:—Żeby ino w Żabicach nie capnęli Garłacza i Kijanki.

— Gadaj ta zdrów—rzekł Guzik. — Musiałby się z harmatą zasadzić taki, coby Garłacza chciał przycapić!... Opóźnią co nieco, bo im kto może barłóży.

— Pst!... Już jadą!—powiedział Majcher, nateżając wzrok i słuch.

Jakoż na dwóch szpakowatych mierzynekach przybyli nareszcie oczekiwani złodzieje; w milczeniu zeskoczyli z koni i wiązali przy drzewie swoje wierzchowce.

— Dobre pieniądze będą za te szkapy! Cnotliwości bydłeta!... Rwą truchta, aż miło — mówił po eichu Kijanka, podchodząc do Guzika.

— Jankiel weźmie to wszystko na swoją porękę—odparł herszt. — Przesiachruje kaj niebądź na jarmarkach; ino mu je musiewa czémprędzej dostawić za rzekę...

— No, Sebastyanie, duchem trza coś przetrącić i w nogi!—rzekł Garłacz — żeby się nie opatrzyli i nie pognali za nami... Miesiączek pięknie przyświeca.

— Niema nic nagłego; poczekajmy na Jankla—powiedział Guzik.

— Po co czekać? toć on trefnej wódki nie pije i szperki téż nie przełknie — mówił znowu Garłacz.

— Już idzie, idzie!—szeptał Kijanka, ukazując w oddaleniu szarą postać, która się szybko poruszała.

— Świśnijcie mu dla pewności, żeby nie błądził—odezwał się Guzik.

I rozległ się po boru świst przerażający, pełen jakiegś dziwnój grozy. Na świst ten odpowiadzano krótkim szczeknięciem, jakie nieraz ni stąd ni zowąd zaspane psy wydają.

— Napijmy się—poszepnął Guzik.

Poczem podniósł z ziemi flaszkę, przechylił ją i przez chwilę wysączał. Następnie flaszką przeszła w ręce Garłacza; herszt dobył długiego noża, uciął nim kawałek słoniny i zaczął ją z chlebem zajadać.

— A co, czy wszystko w porządku?—zapytał Jankiel, stając pośród chłopów.

— Ma nie być—odrzekł z obojętnością Guzik.— Żebyś tyło za kunie pieniądze zwalił!... Kiedy powrócisz?

— No, jakto kiedy? Ja tu rano muszę już być na gruncie przecie... Jakby mnie nie było, powiedzieliby wszyscy zaraz, że Jankiel złodziej.

— Nie to!—powiedział Guzik — ino mi gadaj, kiedy wrócisz z pieniędzmi?

Żyd zaczął cicho na palcach rachować i zawołał:

— Za dwa dni będę u was w Zabrańskiej Budzie!... W nocy z czwartku na piątek złożę wam pieniądze.

— Ino mi czego nie stumań, pamiętaj! Bobym na sośnie za brodę obwiesił! — groził herszt złodziejski.

— Siła że wy, Sebastyanie, myślicie za one konie zapłacą? Czy ja wiem, za co sprzedam?— usprawiedliwiał się Jankiel.

— Jak nie wypadnie po czterdzieści rubli do podziału na czterech, to mi się na oczy nie pokazuj; ino się dobrze schowaj, bo ja umiem szukać!—rzekł Guzik ze stanowczością.

— Oj, oj! Co to za gadanie? Taki mądry człowiek, a Bóg wie, co mówi... A dla mnie co będzie? A droga, a...

— No, no, nie wydziwiaj, nie mądruj!... Za takie koniki letko zgolić można ze trzysta rubelków, choćby się je w strachu sprzedawało—przerwał żydowi Guzik.

— Nie bałamućcie— rzecze Garłacz.—W drogę, bo już wielgi czas i cno! Wypić tę krzynę gorzałki, co we flaszcze ostała i dalej marsz!

To powiedziawszy, zbliżył się do butelki, która stała na ziemi u stóp Guzika, opartego o drzewo; butelka połyskiwała w świetle księżyca. Właśnie gdy się Garłacz pochylił, pomiędzy konarami pobliskiego dębu huknął strzał podobny do gromu i straszliwem echem rozsypał się po głuchym boru.

— Oj, oj, oj!—zawył żałośnie Garłacz, upuszczając na ziemię co tylko podjętą butelkę.

W téjże saméj chwili i Sobek Guzik skureczył się jakoś i zgiął ku ziemi, a chociaż głosu nie wydał z siebie, znać było po jego trzepotaniu rękoma, iż dostał postrzał.

Pozostali trzej złodzieje skamienieli z przerażenia. Pierwszy Kijanka rzucił się do Garłacza, niosąc mu pomoc i usiłował go doprowadzić do koni. Również Jankiel i Majcher porwali znowu Guzika i spieszenie poczęli z nim w las uchodzić.

Aliści niebawem rozległ się za nimi strzał drugi; słychać było kulki świszczące po liściach, jak gdyby grad gwałtowny z nieba spadał. Konie, które już i tak niespokojnie stały przy drzewach na uwięzi, urwały się i rozbiegły po polach. Tymczasem człowiek na drzewie w milczeniu nabił znowu swą strzelbę.

— Spatrzyli nas — mrucał Majcher, unosząc wspólnie z Jankiem postrzelonego Guzika.

— Oj, wiem ja, wiem, kto mnie tak urządził! — jęczał herszt złodziejów.

Teraz tajemniczy człowiek spuścił się z dębu zręcznie jak dzięcioł, wyzwolił z torby psa i, trzymając na pogotowiu broń nabitą, udał się w stronę przeciwną kierunkowi złodziejów. Szedł jakoś niezwykle, zataczał koła, jak gdyby usiłował, ażeby ślady swoje na rosie zatrzeć; wychodził na ścieżkę, puszczał się w gąszcz i znowu nagle zmieniał kierunek, udając się niby miedzą na pole.

ROZDZIAŁ VI.

*Skutki nocnych strażów i domysły Marka
Kukułki.*

Rano dnia tego około dworu w Orłowej Woli był ogromny ruch i rwetes; znaleziono bowiem w stajni starego mastalerza nawpół żywego, był bardzo skrępowany, a usta miał wypchane konopnemi pakułami. Przy żłobach brakowało bia-
łój Atalanty i złotego kasztana Pyrola. Wieść niebawem doszła do panny Leontyny. Cała służba rozbiegła się na wszystkie strony; wszyscy byli czynni, bo każdy szczerze pragnął wyświadczyć przysługę powszechnie wielbionój dziewczynie. Kierunku, w którym uszli złodzieje, jakoś nie umiano odnaleźć; uszli zapewne do boru, ale bór roztaczał się na wszystkie strony.

Sama Tynia dopadła konia i w towarzystwie psa Jaśmina, popędziła także ku lasowi; ona jedna była na dobrej drodze, na złodziejskim szlaku. Pędziła przez las, podniecając szpiczkiem wierzchowca. Naraz Jaśmin przystanął na drodze, przyglądał się uważnie jakiejś czerwonej plamie, obwąchiwał i począł szczekać. Tynia wstrzymała konia, wezwała psa do siebie, ale kiedy zwierzę nie okazywało zwykłego posłuszeństwa, podjechała i spostrzegła na ziemi znaki krwi. Domyśleć się trudno było, że to krew ludzka; jednakże panna Strojomirska jechała w las za tym czerwonym śladem; Jaśmin nieustannie ją

poprzedzał i zdradzał wielką ochotę do poszukiwania. Krew połyskiwała wśród rosy na zielonej trawie, na mchach.

— Być może, iż w nocy raniona sarna, lub inne jakie zwierzę przebiegło tędy — pomyślała Tynia, a choć skradzione wierzchowce niepokoili jej umysł, jednakże puściła się w gąszcz za krwawym tropem. Jaśmin gnał naprzód, kiedy niekiedy odwracał głowę i mądrym wzrokiem spoglądał ku swój pani.

Przybyli nareszcie w nieprzebytą gęstwinię, poprzez którą prawie niepodobieństwem było przedzierać się na koniu. Tutaj Jaśmin grubym głosem począł zaciekle szczekać i w las popędził. Tynia zwróciła się w tę stronę i zobaczyła uciekającego człowieka, którego pies doganiał. Daremnie panna Strojomska przywoływała Jaśmina, mniemając, iż uciekający jest zwykłym leśnym złodziejem; pies dopędził chłopca i rzucił się nań z wściekłością. Drżący z przestachu Kijanka — on to był bowiem — upadł na ziemię, podczas gdy Jaśmin szarpał go natarczywie. Tynia, ażeby bronić napadniętego, musiała zsiąść z konia i pozostawić go pod drzewem; kiedy się zaś zbliżyła do miejsca walki, chłop wzniósł ku niej błagalne spojrzenie, nie mogąc słowa wyrzec, tak był wyłękły. Dziewczyna zauważyła natychmiast, że ręce, twarz i cała odzież chłopca były zakrwawione; jak błyskawica przeszła jej przez głowę myśl, że człowiek ten mógł być kłusownikiem Kostuchem, o którym tyle razy słyszała od strzel-

ca Marka Kukułki. „Niósł pewnie zabita zwierzyne i ukrył ją gdzieś w krzakach“—pomyślała, wstrzymując Jaśmina, zrywającego się nieustannie do chłopca. Naprózno atoli usiłowała wydobyć słowo z ust wybladłego i drżącego Kijanki. Tynia przyzwala wreszcie psa i poczęła się przedzierać do swego wierchowca; jednakże za ledwie uszła kilkanaście kroków, gdy Jaśmin straszliwie się pojeżył na karku i począł przeraźliwie warczeć. W niewielkiej odległości ujrzała teraz straszny obraz: Garłacz, porzucony przez Kijanę, leżał rozciągnięty na ziemi w kałuży krwi własnej. Jakkolwiek uczucie męztwa nie było obcym dla panny Leontyny, zadrżała jednak na widok człowieka, wijącego się w cierpieniach i na myśl, że w miejscu tém popełniono widocznie straszliwą zbrodnię. Wspomniała sobie przerażenie Kijanki, ślady krwi na całym jego ciele i zimny dreszcz ją przeszył. Pierwszą atoli rzeczą było niesienie pomocy cierpiącemu. Garłacz zdawał się być obojętnym na wszystko, co się działo dookoła niego; oddychał ciężko, jakaś mgła przysłoniła mu oczy, a na twarz padał cień śmierci.

— Gdzie jesteś ranny, nieszczęśliwy człowieku?—zapytała wzruszona Tynia.

Garłacz rozwarł ponure, zamglone oczy, wpatrzył się w piękną, łagodną twarz dziewczęcia i jakby mu się ulżyło, z wysiłkiem podniósł rękę, ukazując na piersi oraz okolice żeber; poczem z wielkim trudem wyjąkał cicho:

— Niech mię paa-nien-ka raaa-tuje... Bóóóg na-groo-dzi...

— Spotkałam tu w lesie przed chwilą człowieka, który już uszedł, czy to był twój zabójca?

Chłop przecząco wstrząsnął głową; widoczném było, że mówić nie mógł.

Dużo czasu nie było do stracenia; Tynia zrozumiała, iż powinna wracać do domu, jeżeli pragnie skuteczną pomoc przynieść nieszczęśliwemu; Gałacza należało przedewszystkiém zabrać z boru i pod dach przenieść. Myśl swą w krótkich słowach mu oznajmiła i pobiegła do wierzchowca, którego pozostawiła była pod drzewem; daremnie jednak poszukiwała konia, puszcza jak gdyby pochłonęła go w siebie.

W pobliżu właśnie Majcher i Jankiel opatrywali ranę Guzika, kiedy naraz usłyszeli rzenie konia. Herszt złodziejów, choć mocno cierpiał, pierwszy rzucił domysł, iż musi to być któryś z koni w nocy skradzionych i że sprowadzenie go byłoby bardzo na rękę:

— Lźej nam będzie stąd się wydostać, a nocy na darmosa nie stracimy.

Majcher spełnił życzenie Guzika i do taboru przywiódł konia z damskim siodłem, co złodziejom dało dużo do myślenia. Jankiel znacząco kiwał głową, mówiąc:

— Jest w tém coś złego!... Pewnie nas szukają po lesie; panna z Orłowej Woli jest tu gdzieś

blisko... Wszystko mi się zdaje, że słyszał przed chwilą szczekanie psa... Trzeba zmykać.

— Może złowili Garłacza i Kijankę! — wtrącił Majcher.

— Nu, to co robić? Po co próżno gadać? Trzeba uciekać jak najprędzej! — powiedział Jankiel, któremu się zdawało, że pogoń ma już na karku.

Stało na tém, iż żyd na koniu odstawi rannego herszta w głęboką puszcę, do tak zwanój Zabrańskiej Budy, Majcher zaś niech się ratuje, jak może. Plan ten niebawem urzeczywistniono.

Kiedy Tynia powróciła do domu, wzruszona zaszłymi wypadkami, miała tę przynajmniej pociechę, że znalazła tu już w stajni Atalantę i Pyrola. Skoro wszakże przybyła znowu do lasu, aby zabrać stąd rannego Garłacza, złodziej już wyzionął ducha. Obok panny Strojomińskiej zjawił się téż w lesie strzelec Kukulka. Ten uważnie przyglądał się zmarłemu, obejrzał jego rany i rzekł.

— Oho, to także był rzadki ptaszek!... Za ludzką krzywdę Bóg mu srogo zapłacił.—Poczem dodał:—Pokój wiekuisty racz dać duszy jego, Panie!

— Cóż myślisz, Marku, co znaczy ta zbrodnia dzisiejszój nocy?— spytała Tynia.

— Nic innego, tylko, że Garłacz ukradł dziś w nocy konie panienki; za to głową poręczyć mogę. Byli tu z nim i inni złodzieje, było z pięciu lub sześciu chłopów... I nie on jeden postradał życie... Działy się tu dzisiaj w boru straszne,

dawno niepamiętane rzeczy! Obejrzałem tropy; krwi ludzkiej pełno wszędzie, jeszcze nie obeśchła, choć to już prawie południe. Ale kto do nich strzelał?... Kto śmiał zaczepić bandę Guzika?.. On tylko chyba, on, nie kto inny!

— Kostuch Kłusownik?—spytała Tynia.

Kukulka obejrzał się mimowoli i wykonał ręką ruch, jakby się chciał przeżegnać; potem dodał po cichu, mówiąc niejako sam do siebie:

— Skąd on mógł do nich strzelać?

— Jako skąd? O co ci chodzi?

— Znalazłem miejsce, gdzie stały w nocy przywiązane konie; wiem, w którym miejscu znajdowali się złodzieje; przekonałem się, że pili wódkę, jedli chleb i szperkę; odnalazłem flejtuch od dwóch strzałów; widziałem znaki na drzewie od takich siekańców—tu Marek pokazał wielkość kulki na palcu— a nie mogę wyszukać śladu człowieka, który strzelał. To były tegie strzały, krwi po nich wylało się dużo!...

— Szczególna rzecz!—mówiła Tynia, zamyślając się o tych zdarzeniach.

— Wiem, że ktoś siedział w krzaku pod lasem, czatował Bóg wie na co... Czy panienka uwierzy, że śladu ludzkiej stopy nie znalazł?... Z krzaka onby nie strzelił do tych ludzi, a przytém kulki poszły nie stamtąd; widać to po drzewach... W głowie mi się przewraca, jak to być mogło. Z takiego Garłacza będzie w piekle tega

uciecha; no, a jeśli jeszcze utłukł Guzika, to mu już chyba Lucyper dobrze za to zapłacił!...

— Ależ, Marku, piekło się wtedy tylko cieszy, gdy źli ludzie żyją na ziemi!...

— A kto ich tam wiedzieć może, panienko! Niech im Bóg przebaczy grzechy; ale dopiekli oni ludziskom. Wszystkie wilki z téj puszczy przez sto lat nie zrobią tyle szkody, ile nabroił sam Guzik przez rok jeden.

— No, ale jeśli go zabili, trzeba odnaleźć zwłoki; zawsze to człowiek i powinien być pogrzebany.

— Odnajdą się, odnajdą!—zawołał Kukulka.— Jeśli my się o to nie postaramy, wyprawią mu w nocy piękny pogrzeb wilki i lisy... Będą tam i świeczki, i muzykanci.

Po chwili strzelec znów dodał:

— Ale skąd on mógł do nich strzelać?...

Naraz rozległ się po boru okrzyk:

— Hop, hop!... Stasiu!...

I znowu zabrzmiał:

— Hop, hop!...

Tynia i strzelec ujrzeni w dali spieszenie biegnącą po ścieżce kobietę.

— To Marcycha, waryatka!—mruknął Kukulka.

— Nieszczęśliwa! — szepnęła panna Strojmirska.

Kobięta szła prosto ku nim, niespokojnie wywijając rękoma; twarz i ręce miała zczerniałe; zpod brudnej chustki, narzuconej na głowę, wi-

dać było włosy poplątane w nieładzie. Ominęła po drodze strzelca, jakby go nie spostrzegła i podeszła do Tyni, wpatrując się w nią dzikim, obłądnym wzrokiem.

— Wojna, panienko! -- zawołała — wojna! Strzelali tu dziś w nocy po lesie!

— Zdaje ci się tak tylko, moja Marcysiu; nie było tu żadnej wojny — rzekła łagodnie panna Leontyna.

— Powiadam panience, że była! On wie, że tu wojna była! — i ukazała palcem na Kukulkę. — Oj, zabili mi go!... Zabili!...

Z temi słowy poczęła płakać.

Tynia przystąpiła do biędnej kobiety, objęła jej głowę i uspakajała nieszczęśliwą.

— Zabili mojego Stasia na wojnie, już go nie zobaczę, moja panienko! — jęczała kobieta.

I dalej pobiegła ścieżką, wołając jakimś dziwnym, chrapliwym głosem:

— Stasiu!... Hop, hop! Stasiu!...

A echo odbijało ten głos daleko w puszczy.

ROZDZIAŁ VII.

Życie i śmierć jastrzębia.

Widywano go o każdej porze dnia, jak czatował mordu cheiwy, a czatował z niezrównaną cierpliwością; widywano tę wspaniałą i straszną

postać o krótkiej szyi, płaskiej czaszce, o oczach jakby ze szkła żółtego. Któż nie zna jastrzębia, tego rycerza, który u ust w złoto oprawnych nosi sztylet i sztylety ma u nóg, w złotą łuskę odzianych? Nieraz leniwym lotem pruk czyste przestwory błękitu, a szalonym się stawał na widok ofiary. Widziano go samotnego w szczerém polu, kiedy ponury z rozkoszą o mordach marzył i kiedy, uniosłszy w górę skrzydeł, do lotu opieszale się zabierał. Jak król śmiercio-nośny, przebywał on państwo bezbronnych ptaków i mniejszych ssących. Najczęściej milczący—tém straszniejszy; czasem tylko wydaje dziki pisk, czy syk, niby żmija. I nigdy nie było słyhać ani hasła wojny, ani okrzyku tryumfu. Krepy, o potężnych barach, z piersią szeroką, opancerzoną, żywił on uczucia krwawego bohatera wojny.

Jeżeli zasiadł na dzikiej gruszy w polu, lubił się ważyć, gdy wiatr gałęziami wzruszał; niekiedy za tron obierał sobie skibę szarój roli i wtedy za ledwo ruchem głowy pobyt swój tutaj zdradzał. Zgarbiony nieco, strasznie spozierał dokoła tym wzrokiem, który doprowadza do nieprzytomności i odrętwienia niejedno stworzenie. Oto dwakroć podskoczył niezdarnie, wzniósł w górę biało podszyte skrzydła, wleciał i czuć w nim pana powietrznych krain. Płynie wyżej, a wyżej, wzlata ponad niwami, na których z trwogi zamilkły pieśni skowroncze. Wzniósł się wysoko i krąży, zatacza w powietrzu koła. Czy to polowanie, czy

bezmyślna pańska zabawa? Zakreślił w błękitcie krąg wielki, ogarnął nim całe zbożowe łany i, kapany promieniami słońca, stanął nad borem, stolicą swoją. Teraz z góry zagląda w gąszenie; wpatruje się w zielone polanki; patrzy na kwieciste poręby, smugi; wzrokiem plondruje drzew szczyty. Coś zajęło jego uwagę, bo z głową w dół spuszczoną, z zaciśniętymi szponami w powietrzu się zatrzymał; niby na skrzydłach stanął i skrzydłami wachluje; przez chwilę to czyni i znowu popłynął dalej. Lecz oto nagle na łeb się rzucił i w mgnieniu oka spadł między drzewa, jak gdyby strzałem ugodzony. On ujrzał łup godny siebie; ale zdobycz umknęła, a łowca, dziko spozierając po cienistym lesie, przelatuje swobodnie między drzewami, ani skrzydłem o konar nie zawadzi. Słyszy tylko wszędy dokoła szmery ucieczki, głosy śmiertelnej trwogi: rodzice ukrywają dzieci, kochankowie ostrzegają narzeczone. Zabłąkana jakaś wiewiórka spóźniła się w powszechnym popłochu zwierząt... W zielone murawy zabiegła, orzeszek znalazła i w gniazdo go niosła; orzeszek upadł jój po drodze; chciała go odzyskać, jedną chwilę dłużej zabawiła; to ją zgubiło. Zadarła w górę ogon, skacze w wielkich susach, snadź uczuwa przestkach, bo dziwnie pomrukuje i zwinnym ciałem rzuca niby piłką. Już dopada pnia sosny, dwa skoki jeszcze tylko, a ujdzie przed wrogiem swego życia. Ale jastrząb dopadł zręcznej skoczki, uderzył na nią szponami,

ugodził w czaszkę śmiertelnym ciosem, topiąc w niej dziób haczysty. Ogłuszona uderzeniami, popadła w jakiś obłąd, poczuła marność i nicość życia, nieuchronność swój zguby; zamgloném okiem spojrziała i zobaczyła straszne jastrzębiowe oczy, świecące dziwną siłą i nieubłaganą wściekłością... Dziób okropny, chciwie rozdziawiony i te dzikie oczy dobiły biedną. Uciehło w piersi trwożliwie skaczące serce; mrok wiecznej ciszy, niezakłóconego spokoju zakrył przed nią pogodę ciepłego dnia jesieni. A on bezmyślnie wściekły, mechanicznie powtarzał ciosy na ciele, drgającym resztkami życia. Znowu wznosił skrzydła i teraz unosił już w szponach krwawą ofiarę, przelatując nisko ponad ziemią, aby znaleźć miejsce dogodne dla spożycia uczy. Usiadł pod krzakiem leszczyny i ciepłe jeszcze ciało rwał kawałkami, polykał je szybko, a za każdym razem dławił się z chciwości.

Alboż to jedyna ofiara jastrzębiój żarłoczności?

Jesienne popołudniowe słońko łagodnie grzało; nitki pajęczyny wlokły się po powietrzu i pajęczyną nakryły się miedze, ścierniska, krzaki tarniny. Z ugorów wystraszyli pasterze zajęcia, stąd też uciecha ogromna. „Aha!... Aha!” — krzyczą, a w dłonie klaszczą i pędzą. Wypadł strwożony szarak, słuchy położył na grzbiecie; rwie przez jedno, drugie pole, aż się zanim kurzy w podorywkach; on już tylko w oczach się miga i kędyś za wzgórzem znika. Wbiegł na wążką jak

krajka miedzę, postawił słupka, rozgląda się, słucha, czy jeszcze nie ścigają... Zwolna kica od miedzy i daje nura w ściernisko; tylko wierzchy jego grzbietu nieco widać i czarne końce nastawionych uszu; niekiedy mignie jeszcze białym kosmykiem i już, już ma przycupnąć w bruzdzie, ażeby straszny dzień przebyć w ukryciu, doczekać zmierzchu. On nie wie, że go zdała dostrzegło bystre oko jastrzębia. Okrutny ptak siedział na samotnym stogu wśród cichych pól; nagle zerwał się, wzleciał ponad niwę, gdzie mu się zdało, że coś spostrzega i, niby ciekawy, ważył się na skrzydłach ponad ścierniskiem, badając uważnie położenie rzeczy. Zadrżał szarak w legowisku, poruszyć się nie śmie, bo jastrząb krąży mu nad grzbietem; może jeszcze nie spostrzeże, przeleci; nieraz tak bywało. Dotrzymuje więc zając placu, prawie, że się wlepił w bruzdę, przylgnął do niej; chciałby się schować pod ziemię. Lecz jastrząb naraz gwałtownie spada i dotkliwy cios zadaje. Cóż robić? Trzeba uciekać: pomknął przeto szarak; już późno na ucieczkę. Drugi potężny cios wściekłego dzioba razi go w grzbiet, aż się przegiął biedak... Czuje, że straszne szpony wpijają mu się między żebra; pędzi, ile siły starczą, może wróg straci równowagę... Gdzie tam! Nowy cios godzi między słuchy, aż czaszka trzeszczy... I znowu nowy cios, i jakieś zaciekle szarpanie, okrutnie dotkliwe. Niema litości dla słabych!... Bek, płacz, krzyk boleści, kwilenie roz-

dzierające serce rozległo się w polu. Mała dziecina ludzka w dolegliwościach tak się skarży, tak jęczy bezbronna... A gęste ciosy spadają nieustannie, a szpony okrutnie cisną i silne skrzydła z przeraźliwym łoskotem biją po bokach ciała... Jeszcze parę kroków wlecze się szarak, dźwigając zwyciężcę na swym karku; już pełza prawie, słabym krokiem podchodzi do krzaka głogu; może się tu schronić zdoła, wciśnie się w ciernie i ocali choćby parę chwil nadwreżonego życia. Daremnie! Jastrząb jednym szponem czepił się krzaka, drugim przycisnął ku sobie znękane i poranione zwierzę. Rozpoczęła się znowu krwawa uczta.

Nadeszła zima, śnieżna opończa przystroiła ziemię w nową barwę. Niechaj niedołęzni oprawy czają się wśród drzew i krzewów; kto ma wzrok bystry, lot dzielny i dobrą siłę, ten w otwartém polu bierze zdobycz. Na tych smutnych, ubielonych niwach popod lasami tak jakoś żałośnie, tęskno!... Niby jastrzębiowe grody, wysokie zamki, stoją po łąkach stogi ze sianem, w polach—grusze wyniosłe na miedzach. Po takich czatowniach dniem wysiaduje jastrząb. Zna on wszystkie kamienie, które czernieją, odbijają od śniegu na polach w okolicy; oko nigdy go nie zawodzi. Tam oto w dali widnieje pod wzgórzem gromadka jakichś czarnych punkcików; ale on się myli; to kretowiska nieprzypruszone śniegiem. Lecz dalej jeszcze, około miedzy, widać

gromadkę innych czarnych wysepek;—to kuropatwy zziębłe, zgłodzone, nieszczęśliwe, właśnie co tylko zapadły tutaj, bo w polach, lodową skorupą pokrytych, nie mogą nigdzie odgrzebać szczypioru oziminy. Hajże na nie! To zdobycz dobra i łatwa. Więc znowu mordy.

Są i chwile, w których jastrzębiowi trudno żyć w lesie i na polu. Puszczał on się wtedy na wyprawę pomiędzy ludzki inwentarz; załatwiał do Orłowej Woli i wylawiał chłopskie gołębie; wpadał znienacka na podwórze bogatego pańskiego kurnika, gdzie porywał tłuste kury, koguty, perlice;—żył dostatnio i wygodnie.

Taki potężny, zuchwały, butny jastrząb, zdało się, będzie już wieczną plagą okolicy; jednakże i on miał smutny koniec. Pamiętam jeden pogodny dzień letni. Błękitne niebo ubrane było w białe strzępy chmur najrozmaitszej formy. Na tle tém zaledwie widzialny wysoko bujał nasz bohater, jakby go tchnienie górnych zefirów unosiło w przestworzach. Ciemne knieje z muzyką uroczystych szumów miał pod swemi stopami. Zakreślał kręgi, niby naśladował wir ciał niebieskich dokoła słońca. Skończył i zwolna zmierzał dokoła puszczy, chciał chyba spocząć. Atoli podówczas właśnie, skądś z pól dalekich spiesząc, pełna macierzyńskich uczuć, do gniazda swego zdążyła wrona. W wielkim rozpędzie wleciała między liściaste gałęzie starego dębu; zapadając tutaj, narobiła szumu, zgiełku i, zanim dotarła

gniazda z piskletami, wyciągała na prawo i na lewo dziobatą głowę, rozglądała się wokoło przezorném okiem. Już, już miała rozdziawić gardło, narobić wrzasku, zwiastując swe przybycie, kiedy właśnie nad głową swoją i nad ukochaném gniazdem młodziutek wroniąt spostrzegła straszego łowcę. Ten widok napędził jój strachu; porwała się czémprędzej do lotu, niby się tyłem cofając na skrzydłach, i wrzasnęła tak przeraźliwym głosem, że sam jastrząb na bok się usunął. Krakanie wrony było jakieś straszne, daleko w las leciało i po boru się rozległo. Wrona powtórzyła okrzyk drugi i trzeci raz, może jako hasło szepowej solidarności w wyjątkowych stanach rzeczy; potém rzuciła się do jastrzębia.

Wołanie owo miało widocznie doniosłość wezwania do pospolitego ruszenia, bo wnet pojawiła się druga kracząca wrona, a za nią przybyła trzecia, czwarta i piąta. Stał się wrzask nadzwyczajny, który powoływał do boju nowe wrony, ze wszech stron przylatujące. Niektóre wcale nie napadały na jastrzębia, lecz, pędząc za nim ponad wierzchołkami drzew, darły się straszliwie. Pogoń ta była nadzwyczajnie natarczywą... Mknął straszliwy ptak, uchodząc pomiędzy drzewami, a gdzie tylko się znalazł, wszędy spotykał krzykliwe i zacierzewione wrony. Jedne gnały górą, drugie—tuż za nim, inne przysiadły na drzewach, wrzeszcząc na całe gardło. Tak to solidarność słabych wytwarza siłę.

Po kilkakroć zwracał się wściekły jastrząb i całą tę hołotę rozpędzał na cztery wiatry; narreszcie oszołomiony, znużony wywinął się z boru po krętych drogach; wpadł w zagajniki, a stamtąd dołem wyleciał na bagna; po prostu uciekł.

Niejedno jest bagno w Orłowej Woli; ale tylko jedno jest sławne. Ciągnie się ono zdala za wsią, a po obu stronach drogi, która stanowi wysoką groblę, rozdzielającą bagno na dwie części. Przy wjeździe na tę groblę od strony lasu stoi pusta karczma, budynek drewniany, zezerniały od starości, z dachem zupełnie podziurawionym, tu i owdzie porośłym płowo-zielonymi mechami. Podczas dnia świerkają tu wróble całemi stadami; dzieci ich piszcza w gniazdach, jak najęte; pod okapem dachu z wróblami za pan brat gnieźdzą się gromadnie jaskółki; przed progami zaś téj pustki wygrzewają się na słońcu czubate śmieciuszki, kąpiące się w pyle wraz z wróblami. O zmierzchu znowu i w ciągu nocy dokoła pustej karczmy roi się mnóstwo nietoperzy, a na rozwalonym kominie wysiaduje sowa.

Karcznię owę, groblę i bagno nazywają wszyscy *Trytwą*. I ma ta Trytwa, podobnie jak puszcza, swoje własne mity oraz podania.

Starzy ludzie żywo jeszcze opowiadają, jak na grobli miały się niegdyś spotkać dwa nieprzyjacielskie hufce konnych rycerzy; jedni drugim nie chcieli zejść z drogi i stoczyli tutaj ze sobą śmiertelną walkę: mocniejsi wyparli słabszych na

bagna, gdzie téż ci ostatni wszyscy śmierć znaleźli. Zyją w Orłowej Woli stare baby, które, gdy się rozgwarzą, to bają, że taki a taki człowiek, dziś już nieboszczyk, widział niegdyś tam o północy wychodzących zpod wody, czy zpod ziemi rycerzy; stawali oni na grobli, tworzyli szczyk i, gdy kur zapiał, znikali znowu w topieli, rozpływali się w mgłach białych. Czy temu wierzyć, ja nie wiem. Bo gdzież na świecie niema takich śpiących pod ziemią rycerzy?... Więc chyba wierzmy.

Inne znów podania snują się około staréj karczmy. Miał tutaj mieszkać niegdyś straszny jakiś karczmarz, człowiek zamilowany w pieniądze i rozboju. Opowiadają, że pod fundamentami téj pustki możnaby odnaleźć niejedną czaszkę, niejednen człeczny szkielet, a są podobno tacy, którzy zdaleka tutaj woń krwi ludzkiej czują. Słowem, na świecie, gdzie tknąć, wszędzie pamięć mordu, wspomnienie zniszczenia. A życie obecne niby weselsze, więcej niby w niém szczęścia!

Trytwa, jako bagno, jest to zbieg kilku strumieni, które tutaj wpadają, rozlewają się, a ponieważ poprzez groblę woda słabo tylko przeciekać może, więc rozplywa się ona dokoła, lub wgłęb wsiąka. Bagnisko ma fizyognomią ponurą; czarne wysepki sterczą, niby łby, na których porastają czupryny twardéj trawy lub trzciny; również pod wodą widać dno czarne, jak gdyby

tam były same tylko szczątki życia, obróconego w zgniliznę.

I myśliwy żaden nie zachodzi na Trytwę, chociaż tam roją się stada różnego rodzaju ptastwa, które żyje ślimakami, żabami, pijawkami. Marek Kukułka wdzierał się nieraz w to tajemnicze błoto, lecz, powróciwszy stamtąd, mawiał:

— Dla marnéj kaczki można tam życie z łatwością stracić!

Awanturnicza fantazyja popychała téż często i Tynię w owe mokradła; jednakże dziewczyna nie umiała być nigdy na tyle cierpliwą, ażeby z całą przezornością przez parę godzin nieustannie przeskakiwać z jednéj trzęsącej się pod nogami wysepki na drugą.

Kukułka twierdził, że jedynie Kostuch i pies jego Żmijka odbywali i tu także łowy. Opowiadano, że kłusownik miał nawet na Trytwie legowisko kędyś w sitach, czy olszynowych zarosłach, gdzie ani on nikomu, ani ludzie jemu nie mącili spokoju.

Otóż, kiedy jastrząb, ścigany w boru przez wrony, wyrwał się w czyste pole i ponad bagna wypłynął, Tynia naradzała się wówczas na grobli z Kukułką, w jaki sposób byłoby można dotrzeć do samego środka bagniska w celach myśliwskich. Płowe pierze drapieżnego ptaka wyraźnie odbijało się na czarném prawie tle trzęsawisk. Panna Strojomska ręką wskazała strzelcowi jastrzębia. Kukułka spojrział, zdjął z ra-

mienia strzelbę i złożył się w mgnieniu oka. Huknął strzał, lecz odległość była znaczna i tylko pierze posypało się z ptaka, który teraz przyspieszył lotu i popędził dalej. Spoglądano za znikającym w oddaleniu rabusiem zwierzyny. W dali widniały kępki sitów i olszynowych zarośli; jastrząb wznosił się w tém miejscu dosyć wysoko: może się tu obawiał zasadzki, a może byстрыm wzrokiem chciał zgłębić z góry wnętrze zarośli. Naraz widzowie na grobli ujrzeni dymek, wznoszący się w górę z olszyn; później posłyszeli daleki strzał, jak gdyby lekkie puknięcie i ujrzeni spadającego na dół jastrzębia.

— To Kostuch wystrzelił!—mruknął Kukułka.

— Jak on mógł dotrzeć w to miejsce, oblane wkoło wodami?—pytała Tynia.

— A gdzieżby taki nie doszedł!

— Rzecz dziwna—powiedziała znowu dziewczyna—ten człowiek strzela do złodziejów i jastrzębi! Bardzobym chciała go widzieć. Czyś ty, Marku, spotkał kiedy Kostucha?

— Któż tam może wiedzieć... Spotykałem ja w boru niejednego człowieka i, spotykając, myślałem:—Czy ten oto nie jest właśnie Kostuch? W takim lesie przechowują się różni. Raz jednak, trzy lata temu minęło w zapusty, nocą powracałem z miasta po jarmarku; chciałem sobie skrócić drogę i, co panienka na to powie, zabłądziłem w tym lesie, który znam tak dobrze, jak moje dziesięć palców. Czasami w puszczy rozum

ludzi odbieży i na mnie to wówczas padło. Na raz spotykam na skrócie ścieżki jakiegoś człowieka, a było tak ciemno, że ledwie mógł dostrzedz ludzkie podobieństwo. Oj, ale z głosu ten mi się wydał być jak nieboskie stworzenie!...

— No, i cóż się potem stało?—pytała zaciękwiona panna Leontyna.

— Jako jest zwyczaj, pochwaliłem Pana Jezusa, na co on odmruknął; ale nie wiem nawet, czy uchylił czapki. Zrobiło mi się w duszy nie miło, jednak odważnie spytałem o drogę do Orłowej Woli; kazał mi iść za sobą i wyprowadził na równy gościniec, potem zginął mi tak nagle z oczu, ażem się zdumiał. Bardzo być może, że to był Kostuch, bo i psina wlokła mu się przy nogach.

ROZDZIAŁ VIII.

Marcycha i spotkanie się dwóch starych znajomych.

Kiedy Marek Kukułka rozmawiał w ten sposób z Tynią na grobli, po drodze w Orłowej Woli między wiejskimi chatami biegła stara, wysoka, chuda kobieta. Na głowę narzuciła brudną chustkę; miała na sobie zgrzebną koszulę i czerwona, oberwana spodnicę. Rozpięta koszula do-

zwalala widziéc pierś zmiętą i poczerniała, a zpod spódnicy wysuwała się para nóg obrzękłych, podrapanych. Szła z zaciśniętymi pięściami, potykała się niekiedy jak pijana, spoglądała dziko na prawo i na lewo. Za tą wiedźmą pędziła gromada brudnych, obdartych chłopaków i dziewczek, a wszyscy krzyczeli:

— Marcycha! Marcycha! Marcycha!

I rzucano za nią garściami pyłu, niekiedy zaś bryła zeschłego błota trafiała w głowę kobiety wśród głośnych wybuchów śmiechu. W takich razach ścigana przystawała, zwracała się ku napastnikom, klęła, spoglądała nienawistnie, gonila za nimi, a gromada dzieci z wrzaskiem pierzchała na wszystkie strony. Na podwórkach szczekały psy, z chat powychodzili gospodarze, gospodynie, parobcy i dziewczki; ci wszyscy także się natrzęsali z téj kobiety, pokazywali ją sobie palcami. Był krzyk, zgiełk wielki, uciecha pomiędzy ludźmi w Orłowej Woli.

Marcycha szybko mija chaty, dzieci już ją przestały ścigać, tylko trzech najwytrwalszych chłopaków jeszcze ciągle za nią pędzi. Przybiegła na groble, stanęła, zwróciła się w stronę bagna i poczęła mówić sama do siebie:

— Wyjedzie Staś mój, wyjedzie na białym koniku, w czapeczce z białém piórkiem. Przyjedzie na groble, powita: „Jak się masz Marcysiu!”

I wyciągnęła chude, czarne ręce i przyzywała:

— Słyszysz, Stasiu, czekam tu na ciebie! Stasiu! Stasiu!...

Biegący chłopacy przystanęli, podeszli do Marcycy i nasłuchiwali; patrzeli zdziwionemi oczyma, jak wywijiała w powietrzu rękoma, jak do siebie przyzywała kogoś z czarnego błota.

— Pojechał Staś na wojnę, wojna się skończyła, a on do mnie nie powraca... Pst, cicho! On śpi; kochany Staś śpi tam na wodzie!... Cicho dzieci! — mówiła, zwracając się do chłopaków i kładąc palec na spieczonych wargach.

Podeszli chłopcy bliżej jeszcze; dzikiemi, głupowatemi oczyma spoglądali to na Marcycę, to na bagno, świecące sinemi wodami.

— Strzelil! — zawołała. — Słyszeliście, jak on strzelil?...

— O kim wy mówicie, Marcyczo? — zapytał jeden z chłopaków, Maciek.

— O kim mówię?... Nie, wiesz o kim mówię?... Mówię o Stasiu moim, który z wojakami pojechał na białym koniu i w czapce z białym piórkiem; pojechał na wojenkę, zostawił mię niebogę samą jedną na świecie!... On tam jest na Trytwie pod wodami, wypłynie z konikiem, przyjedzie; zobaczycie!...

— Kuba, palnij w łeb tę pałubę i ucieknijmy! — szepnął najmłodszy z chłopaków, Szczepanek.

Podstąpił zblizka Kuba i ręką się zamierzył, miał zamiar zepchnąć kobietę z wysokiej grobli

w błoto. Ale Maciek w mgnieniu oka pochwycił go za czuprynę i powalił o ziemię, wołając:

— Będziesz ty pustował, sobacza?... Krzywa ci co ta kobięcina?... He?...

Porwał się z ziemi Kuba, uchwycił w pas Macieka i poczęli się gwałtownie szamotać ze sobą; atoli jeden drugiego nie zdołał przemódz; zgrzali się ogromnie, zasapali w złości, wreszcie puścili się pędem ku wsi, robiąc nogami umyślnie dużo kurzawy po drodze.

— Bez cóż ty, Maciek, broniłeś téj czarownicy?—zapytał Kuba.

— Czy ja wiem, bez co? Tak mi jój czegoś markotno; nie chcę, żebyś ją bili!

— No, no, dziękuj Panu Jezusowi, com dzisiak nie przy sile, bobym cię dopiero zeprał i nabiłbym to babsko!—zawołał Kuba.

— Pleć baja, kiej ci widno! Myślisz, że ja bym się bał takiego, jak ty, pępa?... Widzisz Kuba, Marcycha mówiła gadkę o wojakach i bez tom jój bronił... Bawmy się w wojaczkę! Siadać na konie i jazda!...

Teraz wszyscy trzej chłopcy siedli na drewniane kije i poczęli defilować; na przedzie jechał Maciek, głośno przytupując bosemi nogami i udając, że drewniany koń jego wierzga.

A Marcycha rozmawiała na grobli sama ze sobą, to się uśmiechała, to płakała znowu.

— Jezus Marya!... Jaka tu była straszna woj-

na: strzelali, bili się, świeciły szabelki, skakały koniki... Poszli w Trytwę!...

Usiadła na grobli i wołała tęsknym głosem:

— Stasiu!... Stasiu!...

Potem zerwała się i biegła ku pustej karczynie; po drodze spotkała pannę Leontynę i strzelca; wpatrzyła się w nich wzrokiem osłupiałym, pytając:

— Czy tu była wojna? Strzelali?...

A kiedy nie otrzymała odpowiedzi, szła dalej; przyszła pod pustą rudere, usiadła tutaj pod ścianą do słońca i znowu rozmawiała sama ze sobą. Z dachu sfrunął wróbel, porwał na ziemi duże, białe pióro, począł z niem podlatywać w górę, chciał sobie zapewne wysłać gniazdko. Ale piórko to było mu za ciężkie, przeto w powietrzu uronił je z dzioba. Mareycha spojrzała i krzyknęła:

— Białe piórko, białe piórko, z czapeczki mojego Stasia!...

Później znowu pomrukiwała:

— Poczekał tu do północy, o północy przyjadą wojacy, z wojakami Staś przyjedzie.

I wysiadywała tak do zmierzchu pod ścianami karczmy, prawie nieustannie o wojnie, o wojakach, o Stasiu. Słońce utonęło w wodach Trytwy, mgły zwolna wznosiły się ponad bagnami. Znużonej czuwaniem poczęły się kleić powieki, głowa opadła na piersi; nareszcie całe ciało upadło na ziemię w barłóg igieł sośniny oraz szy-

szek, naniesionych pod pustą karczmę przez jesienne wiatry. Głośnemu chrapaniu kobiety wtórował tylko od czasu głos sowy, siedzącej na zwaliskach komina.

W Orłowej Woli kury odpiały już północ, kiedy z boru wyszedł człowiek w długim czarnym surducie, jaki zwykle noszą małomiasteczkowi izraelici; człowiek ten zakasał poły, unosząc je w rękę i szedł cicho, jak gdyby się ku wsi skradał.

Atoli znowu na bagnach Trytwy rozległ się cichy plusk i z białej opończy mgły wystąpiła szara postać człowieka, uważnie przebywającego błota ze strzelbą na plecach, z myśliwską torbą na ramieniu. Za człowiekiem z trudem podążał pies na krótkich nogach, który to docierał do grzęzki wysepek, to się wpław puszczał przez wodę. Po dłuższej, bardzo mozolnej podróży człowiek i pies wydobyli się wreszcie na groblę. Pod karczmą rozlegało się głośne chrapanie. Właśnie w tę stronę prosto szedł człowiek z psem. Stał on nad śpiącą Marcychą i tak w milczeniu pozostawał przez chwilę; potem wydobył z zanadrza jakiś zwitek i położył go obok śpiącej. Naraz pies, który tymczasem przyległ do ziemi, warknął głucho, zwracając głowę w stronę boru. Człowiek spojrział bacznie w tym kierunku i widocznie musiał coś dojrzyć, czy dosłyszeć, bo niebawem schronił się wraz z psem wewnątrz puštěj karczmy. Tutaj zdjął strzelbę z ramienia

i, trzymając ją w pogotowiu, wpatrywał się w cme nocną poprzez liczne szpary w starych ścianach, usiłował rozpoznać przedmiot, zdążający od puszczy ku grobli. Chrapanie Marcechy brzmiało jakoś przeraźliwie. Człowiek idący z boru zdawał się być bojaźliwym, chrapanie przestraszało go nawet zrazu; jednakże cicho, jak kot, podszedł do śpiącej kobiety, ujrzał leżący tutaj jakiś zwitek, pochwycił go i ukrył w kieszeni; poczem niebawem puścił się w dalszą drogę ku Orłowej Woli. Ale zaledwie postąpił kilkanaście kroków, zaledwie zauważył, że ktoś za nim goni, a już poczuł na szyi strasznie dławiący uścisk. To człowiek, który wyszedł z bagien Trytwy, żylastą dłonią ujął za gardło człowieka, idącego z puszczy. Przez krótką chwilę trwało szamotanie się w milezeniu; potem obaj ludzie spokojnie szli w stronę boru. Kiedy przybyli pod dębinę, gdzie niegdyś Garłacz został ugodzony śmiertelnym strzałem, człowiek ze strzelbą nakrzesał iskier i w garści suchych liści rozniecił ogień. Przy blasku ognia człowiek w czarnym, długim surducie ujrzał coś straszego dla siebie, bo się za-trząsał cały, zbladł i wybelkotał:

— Pan Sta...!

I nie domówił w przerażeniu.

— Tak jest, stara znajomość, Janklu!... Pamiętasz groblę... Myślałeś, że już się nigdy nie zobaczymy na ziemi... Tymczasem ja śpię tam

w bagnach pod wodą, a o północy się budzę, wstaję i błędzę, ażebym się mógł z tobą porachować!...

ROZDZIAŁ IX

Przygody dzików z ludźmi i ludzi z dzikami.

Cywilizacją nazywa się taki stan społeczny człowieka, w którym wszystko, co dzikie, doznaje niemiłosiernego prześladowania, dopóki się nie ucywilizuje, to jest nie zamieni się na użyteczne dla ludzi. Litość mamy tylko dla stworzeń użytecznych i bezbronnych. Stopień też użyteczności bezsilnych istot nie naszego gatunku wyzwala uczucia miłosierdzia u człowieka. Tkwi w tém dążność do nieograniczonego zarządu ziemią i na tém się zasadza wysoka dyplomacya ludzka względem tygrysów, niedźwiedzi, wilków, lisów, zajęcy, cietrzewi, kuropatw, skowronków, słowików i t. d. Przewodnią myślą czynów pracowitego człowieka jest posiadanie rajy na ziemi, płodzącej bogactwa tylko dla niego samego przydatne. W takim rajy nawet komar nie powinien zakłócać spokoju monarsze świata.

Tymczasem podług wielce starożytnéj organizacji równouprawnienia wszystkich żyjących stwo-

rzeń, w różnych niedostępnych miejscowościach, ukrywają się jeszcze niepodległe istoty, które śmiało i zacięcie bronią własnej swobody. Przez zgraję psów ścigany, wypada nieraz z głębi kniei rozjuszony niedźwiedź i, śmiało pierś nadstawiając na grad pocisków, stacza rozpaczliwą walkę. Coraz mniej już na ziemi tych bohaterów! A szczęśliwy człowiek zaciera ręce z radości, gdy ich tępi, cywilizuje...

Do rzędu tych nieugiętych w lasach naszych należy jeszcze dzik. Mężny, zuchwale człowiekowi stawia on swe twarde ciało. O potężnym łbie z czubem między uszama, z wysuniętym ku przodowi ryjem, z zagiętymi jak szable kłami, z oczyma pełnemi rozwagi, a niekiedy wściekle połyskującymi, zwięzły, na krótkich nogach, z ogonem skreconym w obwarzanek, prowadzi ten olbrzym ciężkie życie w borach.

Jest w kniei mnóstwo tajemnic, nieprawdopodobieństw, których nie zdoła sobie wyjaśnić mieszkaniac miasta. Zdarzają się niekiedy zwierzęce geniusze. W puszczy Orłowej Woli był odyniec, wielka, czarna masa ciała, pokrytego szczyciną. Różni myśliwi dużo napsuli prochu, strzelając napróżno do tego zwierza.

— Już on cały nabity kulami—mawiał strzelec Kukułka.—Ja sam wsadziłem weń jakie dziesięć naboju; po każdym strzale farbował, i Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaki sposób to zwierzę żyć jeszcze może...

A ile psów dzik ten zgładził ze świata!

Strzeley i leśnicy nazywali go austryakiem, gdyż twierdzono, iż bez pasportu wkroczył w knieję z monarchii austro-węgierskiej. Austryak nie wystrzegał się nawet zbytecznie ludzi, za dowód czego może służyć następujące zdarzenie: Kiedy wyrąbywano jakąś część boru Orłowej Woli, mnóstwo robotników z siekierami i piłami układało tutaj sągi. Zdawało się, iż wśród wielkiego gwaru i ruchu nawet mała jakaś ptaszyna nie zdoła dosiedzieć w ukryciu na kilkunastowłokowej przestrzeni, pokrytej porządnie ustawionymi sześcianami łupanego drzewa. Przyjechali dwaj bogaci kupcy, izraelici, i za sągi zapłacili panu Strojomirskiemu gotówką. Dopieroż poczuli się oni włóczyć po lesie, a obliczać, zapisywać i wszędzie zaglądać!...

Jednego dnia w samo południe oficyalista leśny oprowadzał tych kupców po wyrąbaném terytoryum. Robotnicy obiadowali właśnie w owę porę i, odłożywszy na bok narzędzia pracy, siekiery oraz piły, długim pokotem rozłożyli się w porębie, gwarząc pomiędzy sobą. Opodal, kupcy robili przegląd drzewa, oglądali każdy sąg po szczególe; aż tu naraz porywa się przed nimi z barłogu swego odyniec i bynajmniej nie ucieka w przeciwną stronę, lecz wpada prosto na wylękłych żydów, przewraca jednego po drugim, a sam defiluje, pędząc truchtem przed gromadnie obiadującymi chłopami. Białe, świecące kły, dziko

błyszczące oczy, kark najeżony szczecina, a nade wszystko olbrzymia postać, imponują każdemu. To też chłopci prawie potruclieli z przerażenia, kiedy dzik około nich przebiegał i otoczony jakimś dziwnym majestatem grozy znikł w gęstwinie. Rozmawiano potem, że księżę lasu chciał poprostu kupcom dać naukę za plondrowanie swęj stolicy. Przestraszeni izraelici nie kończyli już obliczeń, lecz czémprędzej opuścili bór, w którym się znajdowało tak niebezpieczne zwierzę; leśnicy wszyscy zapewniali uroczyście, że wypadek tego rodzaju nie może się żadną miarą drugi raz powtórzyć, że to jest jedyne, w najwyższym stopniu rzadkie zdarzenie.

Jest w naszej puszczy dębowy starodrzew; wśród niego mała polanka, gąszczem wokół obrosła, z dębem na samym środku i to z dębem tak pięknym, że mógłby posłużyć za środkowy punkt dla tajemnic jakiejs starożytnęj religii. Tutaj zgromadziła się rodzina dzików pod przewodnictwem matki swego rodu. Samica ta rozłożyła się pod dębem, obok nięj zaś z dziewcięć sztuk młodzieży przedstawiało ciekawy widok. Jeden warchlak, pomrukując, wycierał sobie grzbiet o drzewo; inny znowu jak pies tyłem przysiadł na ziemi; w pobliżu zaś troje rodzeństwa legło ciałami prawie jedno na drugim; troje innych jeszcze harcowało uciesznie, ścigając się i potracając ryjkami, podczas gdy pozostałe w gromadce rozkopywały wielkie mrowisko. Słoń-

ce poranne grzało i oświecało te sceny leśnego życia mieszkańców puszczy. Było to w pierwszój połowie jesieni. Po zeschniętych liściach tułały się jeszcze słowiki; po drzewach między gałęziami przelatywały zwinne sikorki; dzięcioł opukiwał korę; górą leciały stada rozgwarzonych ptaków, które tu i owdzie zapadały, zrywały się znowu, leciały dalej.

O kilkadziesiąt kroków od owego ustronia jest wklęsła nizinka z gaikami brzeziny, zarosła czerwieniącą się zdalą wrzosiną; tę zaciszną dolinkę przeryna strumień, zewsząd otoczony kołtunami jakichś wypłowiałych porostów, połamanych trzcini, u spodu których puszczejają się młode zielone trawy. Strumyk się sączy, pluszcze, a wkoło szumi bór ponury. Z niziny owęj można rzucić okiem w las na wszystkie strony i wszędy widzieć pnie drzew sędziwych; można przejrzeć poza te pnie i jeszcze dalsze pnie zobaczyć. Tutaj to obrał sobie jednego razu legowisko sławny dzik, zwany austryakiem.

Życie istot prześladowanych nigdy nie jest przyjemne, nawet wtedy, jeśli prześladowanie przybrało postać obmyślanego systematu o formach łagodnych; cóż dopiero, jeśli się jest brutalnie osaczonym na wszystkie strony. Na polance pod dębem naraz zrobiło się zamieszanie; samica powstała, wyciągnęła przed siebie potężny łeb, wciągała w nozdrza powietrze—węszyła; potem dziko furknęła raz, drugi, trzeci. Wydała

widać głos trwogi i ostrzeżenia, gdyż warchlaki czémprędzej pospieszyły na tyły matki; rozpoczęło się rechtanie, jakby rodzinna narada; stara ryjem robiła porządek między młodzieżą, dotykała grzbietów swego potomstwa; może się w ten sposób umawiano, gdzie ma być miejsce schadzki na wszelki wypadek w razie rozsypki, podczas niebezpiecznej napaści.

Niebezpieczeństwo było istotnie duże. Któż wie, w jaki sposób Kukułka wytropił tu dziki i sprowadził im na kark myśliwych oraz psiarnię? Kilkunastu strzelców zajęło stanowiska, a wszyscy pamiętali, że w ostępie jest nie tylko matka z warchlakami, ale i sławny pojedynek, austriak.

Marek prowadził olbrzymiego, burego psa bez uszu, z wścieklemi, krwawymi ślepiami, zachęcając go nieustannie eichém podżeganiem: „Huź go, huź go!... Szukaj, Bysiu, szukaj!”... Byś zwietrył coś, wpadł na trop, rzucił się jak wściekły; po chwili znowu stanął, wznosił w górę ogon, patrzył, słuchał, wąchał; nagle podskoczył, pędził, aż ziemia jęknęła, a w puszczy rozległ się głos jego: „Hau! Hau!”...

Puszczono trzy inne psy; Wiernego, Srokę i Wiśłę, które w mgnieniu oka zniknęły w kniei. I znowu zagrzemiał ponury głos Bysia: „Hau! Hau!”... Potém jeszcze przez chwilę panowało milczenie.

Dziki nie opuściły polanki; armia ich, oparta

tyłami o potężny pień dębu, widocznie oczekiwały napadu; samica stała w uroczystej ciszy, ciszkając błyszczącymi oczyma ku gąszczom; niektóre warchlaki poczęły się roić niespokojnie.

Teraz z gęstwiny wypadł Byś, rozjuszony, żądny boju; jak wprawny strategik rzucił się na tyły dzików. Atoli napadnięta armia wykonała w jednej chwili taki manewr, że Byś ujrzał front przed sobą, a na czele matkę, srogie spojrzenia miotającą... Pies odskoczył kilka kroków, narobił wrzawy. Aliści niebawem z ogromnym rozpędem wybiegła na polankę reszta psiarni i z zaciekłością wkroczyła między warchlaki, niby jazda, rozbijająca zwartą kolumnę nieprzyjaciela... Zrobił się huk, trzask, łomot, którym towarzyszyło wściekłe szczekanie psów i kwik szarpanych warchlaków. Sroka przysiadł jednego z młodych dzików, wpił mu w kark kły wściekłe i zadawał srogie rany. Prosię kwiczało w niebogłosy. Na ten krzyk rozpaczy przypadła jednym susem matka; wściekłą była jej zemsta za cierpienia dziecka: Sroka został wyrzucony w powietrze, a kiedy spadł na ziemię, skomlił żałośnie; nie podźwignął się już nigdy, broczył cały we krwi; trzewa z rozprutego brzucha wypadły i pies konał na polu bitwy. Ale w tej samej chwili z gąszczu błysnęła dwururna strzelba i jeden za drugim huknęły dwa strzały... Samica rzuciła się gwałtownie w kierunku, skąd dym wyszedł, lecz wnet padła na przednie kolana, a psy rwać ją poczę-

ły niebawem za uszy i szynki. Gromada warchlaków rozbiegła się w popłochu po lesie; strzały słyszano ze wszech stron; wszędzie zabijano lub dobijano lancami uciekające zwierzęta.

Marek Kukułka był niezmiernie czynny; dziwiło go to tylko, że wśród tego strasznego zgiełku nie pomknął dotąd austryak. Już strzelec przyzwał do siebie Bysia, uganiającego się po kniei za warchlakami, i chciał go wysłać na zwiady w zaciszną nizinę, kiedy oto w dole huknął strzał i rozległ się okrzyk. „Pilnuj dzika!”

To austryak właśnie opuścił legowisko; ale nie szedł prosto na rozstawionych strzelców, jeno z boku widziany sadził pod górę w ogromnych susach ku polance z dębem, gdzie przed chwilą wrzała straszliwa walka.

Słyszając myśliwskie hasło, Kukułka miał się na baczności. Jakoż niezadługo ujrzał ogromnego odyńca; mierzył i dał ognia z obu luf odrazu. Tym razem austryak snadź celnie został ugodzony, bo się zachwiał w biegu i padł na ziemię. Marek rzucił strzelbę, dobył ogromnego noża i tak uzbrojony podszedł ostrożnie do olbrzymiego potwora.

Radość strzelca była niezmierna, powalił on dzika, który w tych stronach był równie sławny, jak niegdyś w starożytnej Grecyi Kalidoński odyńiec; cała różnica, iż nasz leśnik nie pozyskał wszechświatowej reputacyi Meleagra.

Kukułka usiadł teraz na swój zdobyczy, przy-

łożył nóż do gardła pokonanemu zwierzęciu, aby z niego wystraszyć resztki życia. Ale, o dziwo, odyniec zerwał się z ziemi tak nagłym ruchem, że Markowi nóż wypadł z ręki i przerażony strzelec ujrzał się na grzbiecie austryaka jak na koniu. Zwierz miał widać dużo sił jeszcze, bo w lansadach poskoczył między krzaki, unosząc Kukułkę w stronę przeciwną kierunkowi, skąd dochodziła wrzawa psiarni i krzyki ludzi, ucierających się z warchlakami. Marek wrzasnął kilkakrotnie przeraźliwym głosem; jednakże był to rzeczywiście głos wołającego na puszczy. Dzik pędził coraz prędzej, jak gdyby nie czuł na grzbiecie żadnego ciężaru; przebiegał gąszcze, ocierał się ze strzelcem o drzewa, biegł z góry na łeb i wybiegał na wzgórze, zawsze z nadzwyczajną łatwością. Kukułka musiał w tej wędrówce dokładać starań, ażeby utrzymać równowagę, nie spać i dostać się pod kły austryaka. Szalona jazda trwała z kwadrans czasu; Marek wrzeszczał rozpaczliwie, dzik nie ustawał w biegu. Teraz przed oczyma swemi ujrzał strzelec pagórek, najeżony ciernistym głógiem i pomyślał w duszy, iż, jeśli dzikowi przyjdzie ochota przedzierać się tamtędy, to najniezawodniej życie położyć tu wypadnie. Był to atoli dzień, pełen nadzwyczajnych myśliwskich wypadków. Z gęstwiny leśnej wyszedł jakiś człowiek z torbą myśliwską na ramieniu, ze strzelbą w rękę, z psem przy nodze; zmierzył i wypalił... Austryak rzucił się ku przo-

dowi i zarył tak jakoś gwałtownie po ziemi, że Kukulka spadł z niego przez łeb i, wywróciwszy kozła, znalazł się o parę kroków od powalonego dzika. Teraz nie było najmniejszej wątpliwości, że odyniec wyzionął ducha.

Kiedy przestraszony Marek powstał z ziemi, zdawało mu się, iż we śnie marzył. Nieznajomy strzelec znikł natychmiast; na zabitym dziku niebawem poczęły osiadać jakieś wielkie, szafirowe muchy. Kukulka przeżegnał się bogobośnie, szepnął kilka słów na podziękowanie Panu Bogu za ocalenie i pospieszył w las, aby odnaléźć nóż, strzelbę i towarzyszków. Co mu się przydarzyło owego pamiętnego dnia, tego przez długi czas nie śmiał nikomu opowiadać. Gdy atoli przywieziono zabitego odyńca, strzelec pilnie oglądał jego rany i mrucał:

— To był dopiéro strzał wymierzony!... Kula rozbiła odrazu całe serce.

ROZDZIAŁ X.

Historja, w której wilki są bohaterami.

Zima... Śnieg zawiął puszcę, chwyciły siarczyste mrozy i dęły straszne wichry. Wtedy jednak musi téż wyżyć każde stworzenie. Już w początkach grudnia dolatywały zpod boru do Orło-

wój Woli złowieszcze dla ludzi wycia wilków a różni przejezdni widywali zdaleka tu i owdzie błyszczące ślepie wałęsających się po drogach zgłodniałych bestyj. Pod samą wsią odnajdywano w mroźne poranki wilcze ślady, nocami zaś słyszano z chat psie skomlenia i ujadania. Któż nie wiedział w całej okolicy, że téj a téj nocy wilki pożarły strażnika lasów rządowych, że innym razem padły znów ofiarą dwa psy z plebani, a jeszcze kiedyindziej wilki wpadły do Żabie, podkopały się pod chléw i u pewnego zagrodnika zadusiły trzy sztuki nierogacizny? Rozuchwaliły się i przybyły raz przez ogród pod sam dwór w Orłowej Woli. Gwałt się zrobił niezmierny, psy już nie szczekały, ale wrzeszczały formalnie; stróż nocny się obudził, wylazł z budy pod stodołami i począł z całej siły na gwałt trąbić, a psy pobudzać: „Huż go! Huż go!“ Zbudził nareszcie ekonoma, ekonom pisarza, pisarz prowentowy karbowego, karbowy dopiero wyrwał z uśpienia istotną siłę—fornali. Fornale porwali za żérdzie, koły, drągi i, wywijając temi strasznymi narzędziami, pod wodzą ekonoma, pisarza oraz karbowego rzucili się gromadnie do ogrodu. Psy, między którymi były także znane nam już pogromce dzików, zajadłe poskoczyły w gąszcze ciemnego parku; Byś rzucał się jak wściekły, drapał ziemię przednimi i tylnymi łapami, wyrzucał śnieg w powietrze, przystawał co chwile, to znowu gnał na czele psiarni, niby

ekonom na czele fornali. Wilki naturalnie zważały pismo nosem, poszły w pole, a z pola umknęły do boru, dokąd ich już nikt nie miał chęci ścigać.

Nazajutrz w obecności biegłego, Kukułki, oglądano wileze tropy i różne były zdania co do ilości niesłychanie śmiałych zbrodniarzy, którzy się odważyli dotrzeć prawie do drzwi tak wielkiego i pięknego pałacu. Niektórzy naliczyli trzydziestu wilków, inni tylko piętnastu; ktoś utrzymywał, że mogło ich być tylko dwóch, ale kluczów narobiły dużo, używając przechadzki po parku. Spytany Kukułka nikomu nie przeczył i oświadczył, iż wilków mogło być dwóch, piętnastu, trzydziestu, albo nawet czterdziestu i więcej, ponieważ zbójckie te zwierzęta chodzą na sposób złodziei: jeden za drugim i następujący utrafia stopą w ślad swego poprzednika. Widzi się nieraz trop jednego wilka, a mogło ich być wielu.

W Orłowej Woli panowała w ogóle większa zawziętość i nienawiść przeciw wilkom, aniżeli przeciw ludzkim złodziejom i rozbójnikom. Tych ostatnich przecież każdy nosił jakąś cząsteczkę w sobie. Pierwszy Kukułka, po obejrzeniu wilczych tropów, postawił wniosek zarządzenia w puszczy wielkiej obławy na wilki. Projekt ten został jednomyślnie i z zapalem przyjęty przez dwór oraz przez gromadę. Orłowa Wola stała się środkowym punktem koalicji przeciw wilkom;

niebawem bowiem dwory i gromady wsi okolicznych przystąpiły także do akcji. Przeszło czterystu chłopów uzbroiło się w widły żelazne, w topory, sztaby żelaza. Wójci gmin, służba dworska wyższych stopni szła na wyprawę ze strzelbami, kordelasami, oszczepami. Niby druga Atalanta, wzięła też udział w wyprawie panna Leontyna, a wszyscy jednogodnie oddali się pod rozkazy Marka Kukulki; on to miał wieść w las hufiec ludzi, roznamiętnionych do walki ze zwierzętami.

Porzućmy na chwilę łowców owych, a zobaczymy, co się zimową porą dzieje w puszczy, jak tu żyją jój mieszkańcy.

Zimą bór szumi jakoś poważniej, a może tylko człowiek z innym nastrojem ducha słucha tego szumu zimową porą. Śniegi do kolan zasypały smugi i ługi, w białe płachty przyodziały drzewa, których konary pod ciężarem tego stroju gięły się ku ziemi. Zarośla karłowatej sośniny i świerczyny przydeło zupełnie, wyglądały one niby śnieżne kopce, pagórki, niby fale na śniegowém morzu. Tajemnicze gąszcze podrosłych zagajników stały jakby iskrzące się białością labirynty, wykute w jednej olbrzymiej skale białego marmuru, a tu i owdzie tylko widać było czarny otwór, przez który może bóstwa puszczy na świat wyglądały. Ktoby tu wgląd chciał przeniknąć, musiałby sobie góry śniegu zwalić na głowę. Co za mieszkańcy mogą przebywać w ta-

kich siedzibach, w tém państwie białego mrozu i cizy? Taką jest puszcza w zimie! Człowiekowi wydaje się ona piękną, jako obraz; ale jest przecież straszną, ponurą dla istot, które w niej żyć muszą. W stolicy wiecznego głodu i mordy, gdzie dzikość oraz siła zwyciężają, nietyle może rozczulać się należy, ile myśleć o tych srogich, nieubłaganych prawach, które my zwykle tak po swojemu objaśniamy; brak nam zdolności, czy odwagi, ażeby poznać, jakimi one są rzeczywiście. Te prawa są chyba proste, zwykłe, codzienne!...

Dobrych i niewinnych stworzeń niema na świecie; nie łudźmy się!... Są tylko silni i mniej silni. I niema wśród żywych innéj miłości, tylko miłość gatunku, a w niej o to jedynie chodzi, aby słabych zniszczyć, lub mocniejszymi uczynić. Jest jedno jedyne, najwyższe prawo życia: Bądź silnym! Uczyń silnym jeden swój organ: zęby, oczy, rozum lub nogi, a będziesz na świecie zwyciężał, dopóki nie spotkasz silniejszego od siebie. Hartowne dzieci puszczy to jedno mają przykazanie, zapisane w swoich organizmach.

Nie znajdziesz drugiego zwierzęcia, któreby u ludzi w Orłowej Woli miało reputacyą gorszą, aniżeli wilk. Niemowlęciu, co piersi matki ssać jeszcze nie przestało, już powtarzano: „Bądź dobre, bo cię wilec zjedzą!” Malec rósł, słuchoł o strasznych wilkach, bał się wilków, wilkiem innych straszyl. Dużo przerażających powieści o wilkach krążyło po Orłowej Woli. Stare baby

i stare dziady opowiadały na ten temat takie straszne rzeczy, iż słuchaczom włosy stawały na głowie, a po sercu roło się mrowie. Bo ileż to szkap, krów, psów, wieprzów, ludzi pozjadały tutaj wilki, a każde takie pożarcie ma swoją własną historią!

Więc też, gdy dzieci wyrosły na energicznych ludzi, obawa przeszła w nienawiść dla wilków! Któżby nie chciał być bohaterem, duszącym Minotaura, lub ścierającym łeb Hydrze?...

Wiemy, że już w początkach grudnia późnym wieczorem i w nocy dolatywały do Orłowej Woli przeciągłe wilcze wycia, niby żałosne, niby tęskliwe. Usłyszały to zawsze najpierw psy i począły szczekać niespokojnie, inaczej niż zwykle szczekały. Robił się alarm w całej wsi, a wśród ciszy dawały się słyszeć tylko psie głosy i odległe wilcze wycie. Byś stawał wtedy, jakby do boju, łukowato opuszczał ogon ku ziemi i grubym głosem wyróżniał się w tym koncercie.

Cóż to jest za istota, której się wszyscy boją? Musi być strasznym potworem? Czasem najbardziej nienawidzonymi są najbardziej prześladowani. Wilk jest tylko silny, mądry, wytrzymały, zuchwały i zahartowany. Dogania wiatronogą sarnę, zwycięża straszego odyńca i nie schodzi z drogi człowiekowi. A przecież to krewniak psa, największego ludzkiego poufalca i zausznika! Tylko że on ma kark grubszy i bardziej

nieugięty. On kiedyś zginie zapewne, a wtedy ludzie oddadzą mu sprawiedliwość w literaturze; tymczasem walczyć z nim trzeba.

Śnieg sypał dużemi płatami, niebo było czarne; w okolicach Zabrańskiej Budy, pomiędzy gąszczami kniei przedzierała się pospiesznym biegiem istota czworonożna z ogonem puszystym i w dół spuszczonej, z nastawionemi śpiczastemi uszama, o świecących, ukośnych oczach, z głową zakończoną ostro, a na grubiej szyi osadzoną. Był to mały wilk, jeden z nierzadkich mieszkańców naszej puszczy. Wybiegł na wzgórzystą polankę, pełen jakiegoś nerwowego niepokoju, błysnął dookoła ślepiami, obwąchał grubą sosnę, przysiadł na tyle ciała, wzniosł w górę paszczę i posłał w obłoki jeden przeciągły głos: „Huuuu!” Posłuchał echa, rozbijającego się po boru w nocnej ciszy, a potem począł wyć na dobre. Tu i owdzie odezwały się podobne głosy, a gdy jedne z nich milkły, inne poczynały zawodzić znowu te posępne pienia. Nie wiem, czy to były głosy miłości, czy skargi głodu; może — hasła wojny, którą ród wilków wypowiadał światu.

Niedługo potem przybył inny wilk: błysnął w krzakach oczyma, popatrzył przez chwilę, przysiadł naprzeciwko wyjącego współplemieńca i zaczął mu wtórować. Niebawem zjawilo się więcej śpiewaków i puszcza zagrzmiała wrzawą wyścia, które strachem musiało przejmować każdego, kto nie był wilkiem. Gdyby ci po ludzku przy-

szło odczuwać i osądzać wilcze wycie, musiałbyś przyznać, że w niém drga rozpacz, czy mściwość, którą wywołuje może gorycz zbyt twardej życiowej doli. No, a czemużby wilk nie miał odczuwać swój niedoli? Może ją i odczuwa, lecz silny jest i dużo znieść potrafi. Zwyczajnie, jak wszelka istota prześladowana, zewsząd szczuta.

Puściła się teraz w pochód cała zgraja wilków; pozajmowały one w puszczy różne zwierzęce trakty i, podzieliwszy się na pomniejszych oddziały, przetrząsały knieję. Naraz jeden z wilków przystanął, nasłuchiwał bacznie, potem począł węszyć, rozglądać się uważnie po śniegu i cichutko podchodzić ku krzakom; pozostali jego towarzysze, jakby pojowali, o co chodzi, rozpierchli się na wszystkie strony i po tyraliersku okrążyli zarośla w półkole. Był to jeden z typów wilczego polowania, strategia podobna do tatarskiego tańca. W krzakach powstał nagły szum, zamęt jakiś; widocznie tropiona i osaczona ofiara spostrzegła, z kim ma do czynienia. W olbrzymich susach wypadły z zarośli dwie sarny i rzuciły się na wilczy kordon, niezupełnie jeszcze sformowany. Któryś przyezajony wilk poskoczył ku nim, lecz otrzymał nadzwyczajnie energiczne wierzgnięcie w głowę i stracił na chwilę przytomność umysłu; zawył więc wściekle, a zewsząd dały się słyszeć charkania, namiętne mruczenie i szczekanie zębami. Alarm ten poleciał przez cichą puszcę i był myśliwskim hasłem dla in-

nych wilków, włączających się na jakiejś milowej przestrzeni po kniei i po drogach. Wszystko zawrzało. Jedna wileza gromada popędziła za sarnami w tropy, inna sunęła z boku, zabiegając ściganym.

Sarny wybiegły na równą drogę, gnały, zaledwo tykając ziemi; był to lot raczej, niżeli bieg na nogach. Atoli w oddaleniu po obu stronach drogi już dwa wilki przycupnęły do ziemi i oczekiwały na spłoszone ofiary. Kozieł gnał na czele, pędził jak szalony; nie powstrzymałaby go żadna przeszkoda: przesadziłby wały, wzniósłby się nad przepaściami, zginąłby, ale nie nie zdołałoby go już wstrzymać w tym pędzie. Zaledwie o długość ciała wyprzedzona pozostawała za nim koza. On pierwszy z istotnie męską odwagą rzucił się między dwa wilki, dotknął ziemi i jak kula przeleciał ponad ziejącemi paszczami, lekko się odbił od ziemi i znowu w susach, podskokach pędził, mknął, a za nim waliła się tłuszcza wściekłych łowców. Ale wierna jego towarzyszka nie zdołała mu sprostać w męztwie oraz sile. Widok wilków, zastępujących drogę, stropił ją nieszczęśliwą i odbił od boku małżonka: rzuciła się między drzewa i wnet spotkała zawziętych naganiaczy, którzy z boku wytrwale prowadzili obławę; znowu się stropiła i zawróciła na drogę, lecz tutaj właśnie miała za sobą bandę rozjuszonych tropicieli; jeszcze wykonała zwrot, rącho dała susa, kiedy na gardle poczuła straszne wilecze zęby;

z całych sił wstrząsnęła nieznośnym ciężarem mordercy i padła, bo ją już kły ze wszech stron szarpały, a zażarta wrzawa łowców towarzyszyła jój srogim męczarniom śmierci. Rozdarła w mgnieniu oka na kawałki, ciepłe ciało stanowiło teraz przedmiot zacieklej walki, tak solidarnie dotychczas działających siepaczy. Każdy z nich rwał, żarł, dławił się, a łykał coprędzej, aby mu mocniejszy nie odebrał kąska. To jego, co już zasymilował, co zamienił na siebie samego.

A cóż się stało z kozłem, jój małżonkiem?

Jego znowu ścigały inne bandy wałęsających się po boru wilków. I on gdzieś koniecznie zginąć musi; jeśli nie zaraz, to w ciągu godziny, bo tacy myśliwi nie łatwo porzucają wytropioną zdobycz... Wyteża siły i goni, czuje, iż mu nogi omdlewają, iż zwolnić biegu musi... Za chwilę padnie może, a wilki, choć w tej chwili daleko są od niego, niebawem jednak przypadną i rozszarpia. Wybiegł na jakąś obszerną płaszczyznę, przystanął: wyraźnie czuje, słyszy, iż wrogów pełno ma za sobą i po boku. Trzeba skorzystać z tego przestronnego, białego pola i na równinie powierzyć się wiatronogiej ucieczce. Więc rzuca się w tę stronę, gdzie miejsce zdaje się być wolne od nieprzyjaciół, gdzie mu zmysły mówią, iż tam jeszcze tylko mógłby się ocalić. Poskoczył rączo, zrazu wpadł w zaspę, lecz się z niej wyrwał sił resztkami, bieży dalej i pod stopami czuje jakąś dziwną przeszkodę, iść nie może... nogi mu się

ślizgają... śnieg coraz to mniejszy, a przed nim wiatrami wydmuchana płaszczyzna gołoledzi. Powracać? Jak latarnie świecą już dokoła roziskrzone ślepie prześladowców. Porywa się, piersią rozpaczliwy rzut robi naprzód i pada. Jeszcze się zrywa i jeszcze pada... A wilki zawyły i tłumnie wałą się ku niemu. On powstać na nogi już nie zdoła, mroz ścina mu członki, biegiem rozgrzane... Wydał głos trwogi, głos rozdzierający i uderzył głową o twarde lodu zwierciadło. Może się zapasć chciał pod ziemię, może głosem przyzywał jakiegóś nieznanój sobie siły na pomoc. Na jego głos rozpaczy odpowiedziały liczne głosy wściekłości, zgraja przybywała coraz bliżej, z otwartych wilczych paszcz unosiły się kłęby pary. On widział to wszystko, słyszał, a był bezsilnym. Srogą ty jesteś, przyrodo!... Wnet jedno więcéj życie poszło na korzyść mocniejszych w puszczy.

To była jedna noc tylko, a ileż nocy takich, i straszniejszych jeszcze, bywało w kniei! Przecież walki głodu i walki miłości grzmiały tu nieustannie. Ciągłe przelewało się życie z jednych organizmów w drugie, a co za uczucia towarzyszyły tym faktom!

Spadł z nieba większy śnieg jeszcze i przysypał pole bitew, mogilnym całunem nakrył ślady krwi i skąpe resztki zwłok tych, co polegli w boju o życie. Spokój im wszystkim!

Znowu chwyciły „trzaskające” mrozy i znowu wszystkim żyć było ciężko, wilkom—także.

Jest w naszej puszczy znany nam dębowy starodrzew; wśród niego znamy polankę, wokoło oblamowaną gąszczem, jakby kołnierzem; na tej polance stoi ów dąb, tak piękny, tak wielki, że mógłby posłużyć za środkowy punkt dla tajemnic jakiejś starożytniej religii. Jest to pradziad dębów puszczy, naoczny świadek krwawych zapasów, jakie od wieków miały w boru miejsce. Krzyżowały się na tej polance liczne drogi zwierząt leśnych, których ciągi tędy widocznie wypadały, dokądkolwiek zdążał wędrowiec. Atoli widocznie nie same zwierzęta kroczyły po tych drogach, bo oto, w kilka dni po opisanych wypadkach sarn z wilkami, przed samym zmierzchem wysunął się z gąszczu na polankę człowiek, ubrany w wilczurę, w lisię czapce na głowie, ze strzelbą w ręku, z torbą na ramieniu, z psem przy nogach; szedł on ostrożnie jak wilk, rzucając dokoła siebie bystre spojrzenia. Wyszedł na polankę, podstąpił do debu, troskliwie ślad odeptał wokoło, tak, iż ludzkiej stopy na śniegu znać nie było; wsadził psa do torby i wdrapał się między konary rozłożystego drzewa. Po niejakię chwili można było słyszeć wewnątrz pnia dębowego jakieś drapanie, jakby powolne zsuwanie się, czy schodzenie czyjeś ku dołowi. Jeżeli więc dąb ów nie był świątynią bóstwa, był jednak siedzibą człowieka.

Gruby, wypróchniały pień przedstawiał przy podstawie obszerną komnatę, w której można było nie tylko stać lub siedzieć, ale legnąć i wy-

godnie się wyciągnąć. Mieszkaniec téj dziwnéj chaty, dosięgnąwszy stopami gruntu, mchem wysłanego, uwolnił psa z torby, oparł strzelbę o ściannę drzewa, również mchem suto zaopatrzoną, powiesił torbę, wziął w rękę wysoką źerdź z dużą wiązką mchu i zatkał u góry otwór w pniu, którędy poprzez konary dębu przeświecało dosyć wypogodzone niebo. Po tych czynnościach w milczeniu legł na ziemi, nakrył się jakąś zwierzęcą skórą i tak, we mchu zagrzebany, z psem w nogach rozłożonym, niebawem zasnął.

Ta sama banda wilków, która przed kilku dniami polowała na sarny w części puszczy, zwanej Zabrańską Budą, wałęsała się dzisiaj nocą w tych znowu okolicach, podzielona na kilka gromad, bobrujących blisko siebie po kniei. Jedną gromadę, złożoną może ze dwudziestu głów, prowadził właśnie po trakcie zwierzęcym, którędy człowiek przed trzema godzinami szedł w milczeniu, wódz-wilk roślejszy od innych. Zdawało się, że te zwierzęta biegną teraz za tropami człowieka, uśpionego w dębie. Kiedy wódz miał już wyjść z gąszczu na polankę, zatrzymał się nagle, jakby coś zoczył, posłyszał, czy zwietrzył; nawet pochylił się nieco, rzucając w stronę dębu przenikliwe spojrzenia, a przytém pilnie nasłuchując. Cała gromada naśladowała go mniej więcej i zachowywała uroczyście milczenie... Wódz przezornie począł się wysuwać z gęstwiny, delikatnie stawiając nogę za nogą, jak wyżeł, podchodzący do sza-

raka w kotlinie. Kiedy wilk nareszcie przyszedł do dębu, począł go obwąchiwać wkoło; ale nagle odskoczył, bo wewnątrz pnia coś warknęło. Stawawszy teraz w odległości jakich dziesięciu kroków, cała zgraja wilków z nastawionemi uszami i świecącemi oczami wpatrywała się w dąb niedowierzająco. Nareszcie jeden z nich przysiadł na tyle ciała i zawył przeraźliwie; niektóre go naśladowały. Niebawem nadbiegła inna gromada; zewsząd w gąszczu ukazywały się łby wilcze. Wycie stawało się coraz ogólniejsze.

Ktoby się wpatrzył był dobrze w pień dębu, dostrzegłby, iż na tym pniu znajdował się otwór wielkości kurzego jaja, niby wypróchniała dziupelka, dosyć nieznacznie wśród mchu umieszczona. Z owego otworu wysunął się teraz ubity zwitek mchu, widocznie zatyczka, której nie można było wciągnąć ku wewnątrz. Prawdopodobnie mieszkaniiec dębowej chaty przyglądał się wyjącom wilkom, może obliczał ich ilość. Na wyrzucony kłaczek mchu wilki rzuciły się z zajadłością, wyrzywały go sobie z paszcz, charcząc i zgrzytając zębami, poszarpały go na drobne części i rozrzuciły. Potem z wrzaskiem i zacieklém szczekaniem przyskoczyły do dębu, wspinały się nań przedniemi łapami, zębami łupały korę i nadgryzały drzewo; lecz stary dąb, jakkolwiek spróchniał wewnątrz, za twardym się okazał dla wilczych zębów. Zgiełk był niezmierny i straszna zacieklność zwierząt, które poczuły oczywiście w dębie

obecność człowieka i psa. Obległy one drzewo, rzuciły się na nie, obwąchiwały je, gryzły od dołu, a niektóre poczęły gwałtownie śnieg odgrzebywać i ziemię kopać, ale zmarzła ziemia była twarda, a od ziemi twardszemi jeszcze były korzenie dębu.

Na niebo jasne wszedł księżyc, srogi mróz ścisnął około północy; wilki stawały się coraz zaciętsze. Mieszkaniec dębu czuł się widać zupełnie bezpiecznym w swoim schronieniu, bo bardzo spokojnie przez długi czas znosił to natarczywe oblężenie. Kiedy jednakże wilki już kilkakrotnie a daremnie wykonały napad, kiedy zupełnie ogryzły korę u podstawy dębu, wówczas strudzone znowu zasiadły i rozpoczęły straszliwą kantatę; wycie to sprowadzało coraz nowych przybyszów. Z okienka w pniu dębowym huknęły dwa jednoczesne prawie strzały... Trudno byłoby opisać zamieszanie, powstałe w wileczym zbiorowisku. Jeden z wilków, ugodzony kulą, czy loftką, począł się miotać po śniegu, jakby w tańcu Wita, wydając przytém przeraźliwe wrzaski i skowyty. Gromada rzuciła się nań i w mgnieniu oka rozszarpała rannego, a potem, ziejąc wściekłością, cała ta rozjuszona rzesza zwierzęca przypuściła nowy, gwałtowny szturm do dębu, szturm daleko natarczywszy od poprzednich napaści. Wilki skupiły się teraz około twierdzy dębowej tak tłumnie, że jeden drugiemu na karku stawał, byleby dotrzeć do dębu i wyrzucić na nim wściekłość

ostrymi kłami. Dąb, olbrzymi taki, a przecież chwiał się i wstrząsał przy tém natarciu.

Wtém z okienka wysunął się długi, zapalony knot z mehu, czy szmaty, oblanéj żywicą; knot rozgorzał i spadł między zgraję tłoczących się bestyj, czepił się karku wilka, poparzył go dotkliwie i sprawił istną pożogę w gęstych kudłach zimowego futra; wilk stanął w płomieniach, a od niego zapaliły się włosy sąsiadów... Żywica rozlewała się, płonąc i zadając zwierzęciu dotkliwe męczarnie. Wściekły wilk, trapiiony bólem, rozpychał swych towarzyszy, gryzł ich, wyrывał się z tłumu, padł na śnieg i tarzał się, wydając jęki. Z wnętrza dębu wypadły nowe takie rozpalone świeczki, wypadały téż żywiczne kulki, widocznie napełnione prochem strzelniczym, bo pękały, rozpryskując wkoło wrzącą żywicę. W gromadzie wilków wybuchły teraz straszne nieporządki: pieczone gorejącą żywicą, zwierzęta rzucały się w bólu na wszystkie strony, napadały na innych wilków, gryzły ich i kaleczyły wściekle. Takich poparzonych szaleńców porywały znowu inne wilki, rozciągały i rozszarpywały. Wzorowa dotychczas solidarność zamieniła się w krwawy bój domowy, pełen rzezi. Najlepszą jest ta polityka, która sprawia, że nieprzyjaciel siebie samego bije.

A jednak zawzięte wilki długo nie odstępowały zpod dębu, liczba ich wzrastała nieustannie, nowe hufce przybywały z głębi puszczy. Napady

na dąb powtarzano z taką samą, jeśli nie z większą jeszcze zajadłością. Mchu obdartego zębami, obłupanej kory, kawałków drzewa wyrwanego kłami—wszędzie było pełno.

Z okienka w dębie huknęło jeszcze kilka strzałów, od których zginęły nowe ofiary; wypadały nowe knoty i nowe kule, pękające niby granaty, których odłamki raziły wściekle, zwłaszcza, gdy się dostawały w oczy, lub ziejące paszcze.

Wreszcie, znużone walką, pokaleczone, poparzone wilki odstąpiły od szturm; ale przedsięwzięły one widać prowadzić oblężenie w inny sposób, bo zasiadły teraz zdala wkoło dębu i rozpoczęły znowu przerażające wycie na tém polu bitwy.

Atoli niewszystkie owe żywiczne knoty i pękające kule trafiały w wilcze kudły; wiele ich spadło na ziemię, zasłaną trzaskami omszonej dębowej kory; różne też odłamki bomb wybuchających przylepiły się niżej i wyżej do dębu, gdzie wilki nie dotarły już kłami i nie odarły kory. Stąd poszło tlenie się trzasek pod dębem i mchu na dębim. Woń spalenizny czuć się dała w powietrzu; powiał wiatr i rozdmuchiwał te ogniska. Na dębim pojawiły się czerwone płomyki, sięgające ku wierzchołkowi; języki ich szybko ślizgały się po powierzchni, łączyły się z innymi, dotarły do grubszych konarów, rozlały się po nich, buchnęły i ogarnęły dąb zewsząd. Płomień dotarł do dziupli, prowadzącej wewnątrz dębu, ogarnął

ją; zajęła się wiązka mchu, stanowiąca zatyczkę otworu, niby strzechą dębowej chaty; wiązka ta musiała być bardzo zeschła, bo odrazu buchnął od niej płomień i spadła wewnątrz na łożę gęsto mchem wysłane i pomiędzy ściany... Krocie iskier rozsypały się po dębowej chacie, a każda iskra była zarodem pożaru. Wewnątrz pnia dębowego stał się gwałtowny jakiś ruch, słychać było drapanie się człowieka i skomlenie psa. Nagle huknęło strasznie, aż dąb trzasnął i wstrząsnął się cały. Masa ognia buchnęła wierzchem i przez okienko; przerażone wilki wyć przestały i oddaliły się czémprędzej w krzaki. Mieszkaniec dębu posiadał widocznie znaczny zapas prochu.

Potém wszystko ucichło, tylko stary dąb wysłał od siebie w obłoki kolumnę błękitnego dymu, jakby stary areykapłan, składający bóstwu ofiarę w imieniu puszczy.

I nowu spadły nowe śniegi, zasypały pole bitwy...

Po owych to wszystkich zdarzeniach, krwią zapisanych w księdze ziemi—skąd je właśnie wyczytaliśmy — jedna gromada wilków, nie mogąc snadź w puszczy znaleźć już pożywienia, wpadła nocą do Orłowej Woli, a to niesłychane zuchwałstwo wywołało ostatecznie wielką obławę.

ROZDZIAŁ XI.

Obława.

Mnogo ludzi podążyła drogą ku puszczy; liczne sanki suną po Trytwie, a z sanek wyglądają błyszczące lufy dubeltówek; furmani z całych sił biją rękami o ciało, aby się rozgrzać na mrozie; konie parszają, para bucha z nich kłębami. Gospodarze i parobcy przywdziali kożuchy, na kożuchy zaś oblekli jeszcze brunatne sukmany, na ręce naciągnęli futrzane rękawice o jednym palcu. Sanezkami w jednego konia pędził w stronę lasu Kukułka, a za plecami jego przysiadł Byś, mając głowę zwróconą ku puszczy. Pies dziko spoglądał, zdawał się marzyć o przyszłych bojach, w których za chwilę miał wziąć udział; przeczuwał może swoje bohaterskie awantury.

Na drodze gwar był niezmierny, rozmawiano o wilkach i o innych ciekawych rzeczach. Kiedy atoli cały ten tabor przybył już do puszczy, Kukułka wyskoczył ze sanek i cichym głosem, gestami oraz migami dawał do zrozumienia, że należy teraz zachować milczenie. Strzelec podzielił gromadę na oddziały, oddziałom wyznaczył dowódców, porozumiał się ze strzelcami, Bysia wziął na smycz i umieścił w sankach przy swych nogach. Skoro zaś wszystko zostało ułożone, gdzie, jak i kiedy ma się rozpocząć obława, Kukułka przedsięwziął objazd kniei; wnet zniknął na ja-

kichś tajemniczych ścieżkach, a cały orszak sunął w bór, zachowując głębokie milczenie.

Zanim jeszcze łowcy wyruszyli byli z Orłowej Woli, kiedy gromada ich od wczesnego rana nieustannie wzrastała, ogromny zgiełk panował przed karczma; wystrzeliwano stare naboje, a zakładano nowe; ostrzono topory, długie myśliwskie noże; wiązano psy na sfory; przygotowywano jedzenie i napitek. Wtedy to wśród zgromadzonych tłumnie pojawiła się Marcycha.

— Wojna!—zawołała, przebiegając w szale. — Wojna! Staś przyjedzie! Czekaście, on wnet przyjedzie!

Zebrani chłopci drwili z obłąkanój.

— Może Marcycha pójdzie z nami oto na wojnę?—pytał dobrodusznie jeden z chłopów.

— Takiój toby się chyba i wilk nie chycił — powiedział ktoś inny z tłumu, a wszyscy rozgłośnie śmiać się poczęli z rzekomego dowcipu.

— Moi ludzie, nie taką ona była przed laty!—zawołał poważny gospodarz, którego towarzysze nazywali Marcinem. — To była panna całą gębą, kobiéta jak się patrzy... Zmogła ją ino ta wartogłowizna, no a także i biéda.

— Tać znałem jój nieboszczyka ojca—odezwał się z boku sędziwy już, lecz bardzo krzepki starsuszek.—Ślacheć to był rzetelny, a każdemu lubił wygodzić. Na niego téż przyszło nawiedzenie boskie i sytko się poterało.

— No, toć on pono był dzierzawcą we Stru-

miłowie, a starzy ludzie pedają, co nie chciał nijak zwolnić chłopów z pańszczyzny... Może téż i za to ukarał go Pan Jezus na dziecku — dodał chłop jeszcze inny.

— Czy un ta chciał, czy nie chciał, nie wasz rozum gadać o tém, Matusie!—zawołał żywo staruszek.—Co warte wasze bajdurzenie?... Ja tylo wyraźnie mówię, jako on ślacheć ze Strumiłowa, będzie temu siła roków, przyjeżdżał co niedziela do kościoła z córką swoją, tą oto błędną ko biętą...

— A no, boć Strumiłów do naszój parafii rychtyk przynależy—wtrącił ktoś z boku.

— I bez co ona tak osialała?—pytali chlopi.

— Nie miała oszaleć, kiej tam u nich źle się działo... Ślacheć skapiał, zabrali mu dobytek i Bóg wie, co się z nim stało!... Dopuszczenie boskie w tém było—mówił staruszek.

— Dyc mówili, jako się kochała z bratem naszego dziedzica i mieli iść do ożenku, ino on się kajś takż zaprzepaścił, zginął bez słychu — powiedział Marcin.

— Aha, ten pan Stanisław Strojo... A bodajże cię, zabaczyłem na śmierć, jak się zowie—mówił jeden z chłopów.

— Tać się nazywa Strojomirski!—rzekł Marcin.

— Pedacie, Kwietniu, iże ten pan Stanisław zginął kajś?—zapytywano staruszka.

— Kto to może wiedzieć, zginął, nie zginął?

— Kiejby nie zginął, toby był tutaj — mówił

Marcin. — A jakby był, to ten nasz stary nie miałby takiej kupy ziemi; połowę musiałby oddać rodzonemu bratu.

— Juści oddałby!... Z dyablem się podzielić, co on komu odda; skąpy, psianoga, ino mu grosz w łapie piszczy, tak ściska—mruczał staruszek.

— E, tamten miał być szczodry, że do rany przyłożył... Pono się oba okrutnie nie lubili — powiedział znów Marcin.

— Wojna!... Wojna!—wykrzykiwała Marcycha, przebiegając wśród tłumu chłopów.

Wtém nadszedł Kukulka i zaczął wykladać, od jakich punktów w puszczy należy rozpocząć obławę.

— Ostep ze starodrzewem dębowym—mówił— w ósmym rewirze leśnictwa przechowuje dzisiaj wilków. Przeniosły się ciżbą od Zabrańskiej Budy i, podzielone na bandy, trzymają w obławie nietylko bór, ale wszystkie wsi okoliczne; trzeba je przepłoszyć po gąszczach...

— Żebyście wy się, Marku, ino nie mylili — rzekł staruszek. — Do dębowego starodrzewu będzie stąd dobre dwie mile; jeżeliście je wczora otropili, dziś ich tam już niema; prędjiej te bandy drzemią w gąszczach około Łabędziowych Stawów.

— A co będzie, jak je dziś w dębowym starodrzewie przydybiemy?—spytał Kukulka.

— No, no! Róbcie, co wam każe własna kalkulacya; ale się zawdy dobrze pomiarkujcie! To

i ja byłem przed laty borowym strzelcem, a w życiu swoim nie jednemu wilka uśmierciłem...

Takie i tym podobne rozmowy prowadzono przed karczmą oraz po drodze do puszczy.

Na dany znak rozległy się krzyki: „Oha! Oha!... Huh! Huh!... Aha hu!... Ula-la-ha!”... Zgiełk, świst, huk, okrutna wrzawa brzmiała powszedy. Niektórzy z idących obławą klaskali w dłonie, inni gwizdali, a jeszcze inni krzyczeli, uderzając drągami o drzewa. Tymczasem strzelcy, rozstawieni w półkole, z bronią w rękę, gotową do strzału, oczekiwali na skutki naganki owiej.

Kukułka pilnował porządku i szedł z tymi płoszycielami oraz naganiaczami zwierzyny. Właśnie podszedł do starego dębu na polance i dostrzegł na nim znaki pożogi; zatrzymał się więc, uważnie badając stan rzeczy. Obejrzał drzewo dokoła, a musiał dojrzeć coś ważnego, bo przyzwał do siebie jednego z chłopów, idących obławą; poczem wgramolił się sam pomiędzy konary dębu i żerdzią począł sięgać do wnętrza pnia wypróchniałego. Snadź natrafił na jakieś przedmioty z żelaza, bo w pniu głuchy brzęk dał się słyszeć. Ta okoliczność pobudziła strzelca do energiczniejszego poszukiwania; zeskoczył on niebawem z drzewa, wyrwał chłopu topór utkwiony za pasem i jał się krzepko do podrąbywania dębu. Od samego dołu poleciały trzaski, a w dębie zrobił się spory

otwór. Kukułka sięgnął w głąb ręką i wyciągnął z wnętrza rozmaite graty, jakieś popsute sprzęty... Ale jakże się przeraził, kiedy przez ów otwór wywłókł ludzką nogę, zupełnie opaloną i od mrozu skostniałą!

Teraz przyzwano czémp prędzej jeszcze dwóch chłopów z siekierami, rozszerzono znacznie otwór i wydobyto z dębu całego człowieka, który, równie jak noga, był opieczony w ogniu; wydobyli też stamtąd psa, resztki rozerwanéj i potrzaskanéj strzelby, popsute pistolety, pogiętą szablę, rozmaite kawałki blachy oraz żelaza... Kukułka odłożył to wszystko ostrożnie pod starym dębem, a następnie wraz z chłopami, których tu przyzwwał, puścił się żwawo w pogoń za obławą.

Słyszano strzały, grzmiące w oddaleniu, a strzelec mówił:

— Nie powiedziałem ja, że wilki być tutaj muszą!... Teraz oto wystrzelił dzierzawca z Gązwów.

A kiedy znowu huknęły dwa strzały jeden po drugim, Kukułka zgadywał:

— Założyłbym się, że to wypalił nasz podlesny, Tropiszewski! O, jego strzelba dobrze bije!

I jeszcze strzał dał się słyszeć.

— Rządca z Orłowej Woli strzelił!

Dobiegając pospiesznie, strzelec i trzech chłopów połączyli się nareszcie z rzeszą obławników. Zdało się, że ta straszliwa wrzawa chrapliwych

głosów, trwożąca wszelkie zwierzę, pozostanie już na zawsze w kniei.

Nagle z wielu piersi wyrwał się żywszy jakiś okrzyk:

— Oha! Oha! Wilk! Wilk!

Kukułka spostrzegł szybko przemykającego wśród krzaków wilka; zwierz oszołomiony wpadł w gąszcz i zniknął strzelcowi z oczu. Po chwili jednakże obława wypędziła go stamtąd; za ledwie się znowu ukazał, a strzelec już go wziął na oko i dał ognia. Wilk padł, szamocąc się ze śmiercią; kilku ludzi przyskoczyło niebawem, posypały się ciężkie uderzenia i pełnięcia, które skróciły życie rannemu zwierzęciu. Gdy idzie o takie sprawy, człowiek nie jest łaskawszym od jastrzębia lub wilka. Wszyscy teraz dziwili się niezmiernie, iż co tylko zamordowany wilk miał na karku zupełnie opalone kudły.

Olbrzymia naganka, która osaczyła przeszło milową przestrzeń, dochodziła nareszcie swego kresu, przybyła do drogi, gdzie właśnie rozstawili się byli strzelcy.

Na téj linii bojowej zaszły znowu wypadki bardzo niezwykłe. Wprawdzie zabito dwa wilki, ale do jednego z nich wielu strzelało i nieskutecznie. Otóż los zdarzył, iż jedna z tych chybiających kul poszła w gęstwinę i tutaj ugodziła w piersi nieszczęśliwą Marcychę, która za obławą podążyła do puszczy, a po cichu skradała się ku linii strzelców.

Straszne to zdarzenie okropnie przeraziło i dotknęło pannę Leontynę; natychmiast zabrała ona do sanek ciężko ranną kobietę, opuściła polowanie i powróciła do domu, aby czémprędzej nieść pomoc cierpiącój.

Zabić człowieka wtedy, gdy ludzie odbywają łowy na zwierzęta, jest to okropne. To téż wszyscy stracili teraz chęć do dalszego polowania, jakkolwiek nikt w Orłowej Woli ani w okolicy nie uważał Marcechy za osobę godną współczucia.

Kukułka obejrzał zastrzelone wilki i ku wielkiemu zdziwieniu zauważył, że były one opalone w podobnyż sposób, jak wilk przezeń zabity. Mimowoli przyszedł mu teraz na myśl ów stary dąb, na którym widział znaki pożaru, i zagadkowy człowiek, widocznie wraz z psem spalony w wypróchniałym pniu dębowym.

— Jakiś dziwny wypadek z ogniem musiał się zdarzyć w boru!—mówił strzelec sam do siebie.— Ale co to był za wypadek?... Byłżeby to trup Kostucha i psa Żmijki.

Myśliwi, dowiedziawszy się od strzelca o dziwném odkryciu ludzkiego trupa w starym dębie, udali się na miejsce, aby fakt sprawdzić. Podczas więc, gdy jedni powracali już z polowania do domów, inni udali się za Kukułką na polankę pod ten sam stary dąb, gdzie w jesieni matka rodziny dzików stoczyła bohaterską walkę z ludźmi i psami, a zimą odegrał się straszny

dramat pomiędzy wilkami a człowiekiem, obłożonym wraz z psem w dębowej chacie.

Rozszerzono teraz należycie zrobiony przez strzelca otwór w dębie i wszystko, co było wewnątrz, wydobyto na pole. W dębowej chacie znaleziono dużo sprzętów oraz narzędzi, które widocznie miały związek z zawodem rycerskim i myśliwskim. Jakkolwiek wszystkie te przedmioty były mocno uszkodzone przez jakiś gwałtowny wybuch ognia, jednakże ocalały one do tyle, iż przeznaczenie ich dało się odgadnąć. Znaleziono tutaj ostrogi, części broni palnej, kawałki drucianej koszuli, sprzączki, klamry itd.

Trup był tak spalony, iż niepodobieństwem było chcieć rozpoznać jakieś rysy fizyognomii.

— Tak wygląda ta spalenizna, jakby ją sprawiła nieczysta siła!—mruknął Kukułka. — Widno z téj saméj przyczyny i wilki w boru mają opalone kudły na karkach.

W liczbie zebranych tutaj był także zagorzały myśliwy, dzierzawca z Gązwów. Człowiek ten miał bardzo wysoko rozwiniętą obserwacyą: zdawał się spostrzegać wszystkimi swymi zmysłami; rozpatrzył dębową chatę, obmacał jéj ściany, przypatrzył się zwłokom człowieka oraz psa i rzekł:

— W tym pniu miał miejsce wybuch prochu przed kilku dniami, znać to jeszcze wyraźnie, a nawet czuć z każdéj rzeczy. — To mówiąc, podawał Kukułce różne przedmioty do wąchania. —

Zapachem spalonego prochu jest i dąb cały prze-
siąknięty.

— Ale skądże się wzięły te wilki opalone na
karkach?—zapytał ktoś z boku.

— Wilki obległy człowieka w dębie, a on bro-
nił się przed nimi ogniem; walczył bronią, od
której sam zginął — mówił pan dzierzawca. —
Patrzcie tylko, wiele tu musiało być tych bestyj,
ile śladów zębów pozostawiły one na drzewie!...
A z tego oto okienka obleżony wyrzucał na wil-
ków zapalone szmermele z żywicy i prochu. —
Tu ukazał palcem okienko w dębie. — Cóż dzi-
wnego, że się wilki popiekły, że się wreszcie
i dąb zajął?... To téż z całej bandy łotrów tyl-
ko tych kilku chorych pozostało jeszcze dzisiaj
w dębowym starodrzewie; one się tu ukryły, aże-
by ich zdrowe nie zjadły... Dlatego to na dzi-
sieszej obławie zabijaliśmy opalonych wilków.

Wszyscy słuchali z zajęciem opowiadania zna-
nego myśliwego, a on tak dalej ciągnął:

— Gdybyśmy tylko zmiotli z wierzchu warstwę
śniegu, który może ze trzy razy spadał od czasu,
jak cała ta przygoda miała miejsce, przekonali-
byśmy się lepiej jeszcze o tém, co tu zaszło.

Niektórzy pochwycili gałęzie i poczęli w róż-
nych miejscach śnieg odgarniać. Jakoż ukazały
się krwawe plamy, znajdowano wilcze kudły
i obgryzione kości.

— Same się zjadały! — powiedział Kukułka.—
Dobrze stary mówił, że cała banda poszła pod

Łabędziowe Stawy, a jutro Bóg wie, gdzie one już będą...

Następnie pan dzierżawca z Gązwów zajął się uważnym oglądaniem spalonego człowieka; i tu także spostrzegł on to, czego dotąd nikt z obecnych nie zauważył. Mianowicie téż trup miał na palcu pierścień, nieznacznym z tego powodu, ponieważ był również zczerniały, jak całe ciało. Pierścień tkwił na palcu dosyć dobrze, zdjęcie go było jednak łatwo. Po troskliwym wytarciu i oczyszczeniu okazało się, iż to był ametyst w złoto oprawny; ujrzano herb i wyryte jakieś litery.

— Jezus Maryja!—zawołał pan dzierżawca, pokazując pierścień rządcy z Orłowej Woli. — Toż to jest wyraźnie herb Strojomirskich, a te dwie litery—S. S...

Zdumiony pan rządcę kiwał głową, chcąc dać do zrozumienia, iż cała ta sprawa w jego umyśle ma dziwnie niewytłomaczony charakter.

— Trzeba te zwłoki natychmiast stąd zabrać!—zawołał znowu pan dzierżawca.—Zapewne je pogrzebią po ludzku na cmentarzu w Orłowej Woli... Może nawet w rodzinnym...

— Oj, nie! Do tego przyjść nie powinno!—za protestował Kukułka.—Przecież to jest najwyraźniej Kostuch, a każdemu rzecz wiadoma, że czarowników nie grzebie się między chrześciany.

Słowa strzelca nie wywarły jednak na zgromadzonych dobrego wrażenia. Zwłoki wraz z roz-

maitymi szezatkami zabrano z puszczy i przewieziono natychmiast do Orłowej Woli.

Po skończonych łowach, wielkopańskim zwyczajem, niektórzy tylko myśliwi zostali zaproszeni do dworu, gdzie goście oddawna stanowili nadzwyczajnie rzadkie zjawisko. Pan Kornel Strojmirski, starzec schorzał, na poły sparaliżowany, od ośmiu coś lat nie opuszczał łózka, albo lektyki, w której go służący przewozili z jednej komnaty do drugiej, a w dni pogodne na ganek i po parku. Obecnie wyglądał on atoli bardzo dobrze, jadł wiele, przytył nawet; głuchł tylko coraz bardziej i tracił mowę.

Między zaproszonymi do pałacu z polecenia pana Kornela znajdował się także dzierżawca z Gązów. Strojmirski przyjął myśliwych w swojej lektyce, a rozmowa z nim szła bardzo ciężko. Opowiadano tu dużo wesołych łowieckich anegdot, które trzeba było panu Kornelowi przy samym uchu po kilka razy wykrzykiwać. Rozmawiano i o rezultatach dzisiejszej obławy; utajono tylko fatalny wypadek, w skutek którego obłąkana Marcycha utraciła życie. Trzeba wiedzieć bowiem, iż lekarze gorliwie zalecali, ażeby stary unikał wszelkich silnych wzruszeń i prowadził życie, o ile można, jak najbardziej do roślinnego zbliżone. W warunkach absolutnego spokoju, a przy obfitem odżywianiu obiecywano Strojmirskiemu jeszcze kilkanaście lat względnego zdrowia.

Nie wszyscy atoli mogli wiedzieć, iż opowia-

danie o wypadku pod starym dębem mieści w sobie pierwiastki specjalnie wzruszające. Ponieważ Strojmirski nie tylko był wielkim bogaczem, ale nadto zaliczał się do magnatów, a zaproszeni do pałacu należeli do bardzo drobnój szlachty, lub byli parweniuszami, przeto każdy z kolei, kto miał zaszczyt rozmawiać z wielkim panem, usiłował opowiedzieć coś zajmującego, starał się rozmawiać jak najdłużej. Przecież o pałacu Orłowej Woli krążyły po okolicy dziwne wieści, w których pan Kornel, ten skąpy milioner, wyglądał w umysłach zwykłych śmiertelników jak czarodziej, nie mówiąc już o Tyni, pięknej dziewczycy, cudacznej emancypantce, a jedyniej spadkobierczyni milionów!...

Więc też pan dzierżawca z Gązwów, dobrawszy się raz do rozmowy z dziedzicem Orłowej Woli i wpadłszy w zapał opowiadania o myśliwskich przygodach z wilkami, tak się rozgawędził, że wygłosił całą naracę o tajemniczym człowieku, zamieszkującym dąb wypróchniały. Pan Kornel nie był znowu tak dalece skłonnym do wzruszeń i opowiadanie dzierżawcy zrazu bawiło go raczej, niż wzruszało. Przyszło do tego, iż Strojmirskiemu przedstawiono pierścień, zdjęty z palca spalonego samotnika. Stary kazał sobie włożyć na nos okulary i przy jarzącém świetle licznych lamp oraz kandelabrow rozpatrywał uważnie przez niejaki czas ciekawy sygnet. Nagle twarz zmieniła mu się niezmiernie; widocznie do-

znał nadzwyczajnego wzruszenia, bo upuścił pierścionek na ziemię i musiano go natychmiast przynieść z lektyką do sypialni, a następnie umieścić w łóżku.

Dzierżawca z Gązwów powiódł znaczącym wzrokiem po całym zgromadzeniu i z delikatnie ironicznym uśmiechem na ustach opuścił pałac.

Zdarzenie to zaniepokoiło mocno Tynię; na szczęście znajdował się w domu lekarz, sprowadzony do Marcychy, ranioną podczas oblawy; ten atoli oświadczył, że niebezpieczeństwo jest nadzwyczajnie groźne, iż pan Strojmirski może nie doczekać jutra. Natychmiast więc rozesłano sztafety po innych lekarzy, do miasta gubernialnego i do Warszawy.

Wielki dwór, w którym przed chwilą tylko było nieco gwarniej, zaległa teraz znowu powaga i cisza; po najodleglejszych częściach tego domu służba krzątała się na palcach.

Kiedy nadeszła noc, Tynia czuwała przy ojeu, od którego i lekarz na krok się nie oddalał.

Cały pałac był oświetlony, jakby w dzień gołdowy; umierał w nim człowiek bogaty.

W jednej zaś z oficyn tego pałacu konała obląkana Marcycha.

Tęj nocy nie słyszano od strony puszczy wycia wilków, a jednak Byś i inne psy około północy poczęły wyć przeraźliwie.

Nazajutrz po południu rozstawnymi kołmi od stacyi kolei żelaznej przybyli lekarze. Marcycha

właśnie wtedy skończyła życie; Strojomirski nie żył już od kilku godzin. Widocznie rana, którą mu zadały jakieś życiowe wspomnienie, była cięższą od rany kobiety, ugodzonej kulą w piersi.

ROZDZIAŁ XII.

Nietylko majątek otrzymuje się w spadku.

Stopniały śniegi i lody, a wiosna poczęła odradzać ziemię. I znowu stara puszcza ożywiła się gwizdaniem kosów, gruchaniem gołębi, tokowaniem cietrzewi. Zieleń przyodziała drzewa, oraz smugi; zakwitły białe i modre kwiaty; stary opalony dąb puścił z konarów swoich pąki. Jastrzębie, podobnie jak inne ptaki, zbudowały sobie gniazda; bandy wilków rozpierzchły się na wszystkie strony, oddały się wychowywaniu potomstwa.

Coraz więcej kwiecica mnożyło się w boru, coraz więcej zieloności; coraz więcej pieśni rozbrzmiewało dokoła. Dwór w Orłowej Woli zawsze był jakiś posepny; teraz też, choć wiosna jaśniała w całej sile, był on jeszcze smutniejszy, niż dawnymi czasy. Cały ten wspaniały gmach zajmowała teraz panna Leontyna, jedyna spadkobierczyni Kornela Strojomirskiego. Po starcu pozostało bardzo dużo pieniędzy, ludzie mó-

wili: „jak lodu,” i ziemi szmat ogromny pozostał, ziemi czarnej, urodzajnej, obrosłej pięknem zbożem, lub bujnymi lasami. A przecież Tynia w świat się nie rzuciła, nie pojechała za granicę, lecz w towarzystwie dalekiej swój krewnej, poważnej już matrony, spędzała życie w tym posępnym pałacu.

Dzisiaj nie była to już swobodna, pełna życiowej energii dziewczyna. Śmierć ojca zadała jej cios, nietylko czyniąc ją sierotą;—panna Leontyna nosiła w duszy jakąś bardzo ciężką tajemnicę, tém cięższą podobno, że jej sobie nie umiała dostatecznie objaśnić.

Owa tajemnica dawała się sprowadzić mniej więcej do tego: Był na świecie Stanisław Strojmirski, którego wspomnienie zdawało się zatrzymywać życie jej ojcu, bez względu na to, iż ów Stanisław Strojmirski był rodzonym bratem pana Kornela. Tynia stawiała sobie różne pytania, a między niemi następujące: Dlaczego ojciec przez cały przeciąg życia, jak go znała, nie wspomniał nigdy o swoim bracie, a jej stryju? Następnie dlaczego różni ludzie, ilekroć przyszło mówić o owym panu Stanisławie, wyrażali się jakoś tajemniczo, dwuznacznie, a ona nigdy od nikogo nie mogła się dowiedzieć szczerzej prawdy? Byłżeby ów Strojmirski, stryj jej, niegodziwcem, zakałą, przynoszącą hańbę rodzinie i ludzkości?... Nie, ludzie tylko nie chcieli o nim rozmawiać; ale ci, którzy go znali niegdys osobiście, podno-

sili nawet różne piękne jego przymioty. Natomiast Tynia nie słyszała nigdy, ażeby ktoś chwalił jej ojca, którego ona kochała i czeiła. Wśród płątaniny myśli, powiązanych z rozmaitymi wypadkami, w umyśle panny Leontyny kielkowało przypuszczenie, którego ona sformułować sobie wyraźnie jeszcze nie umiała: Jeżeli Stanisław Strojimirski był zacnym człowiekiem, to może na pamięci jej ojca ciąży jakieś niedobre wspomnienie?

Tynia należała do rzędu umysłów obdarzonych dużą inteligencją, które albo uzasadniają swoje domysły, albo się z nimi rozstają dla braku dowodów. Takie dowody przybywają ze wszystkich stron: Tynia wiedziała, że ojciec jej kochał pieniądze, że je kochał nawet zanadto.

W głowie młodej dziedziczki Orłowej Woli różne myśli kombinowały się nieustannie, układały z rozmaitych faktów jeden obraz, a umysł mimowoli pracował nad wyszukiwaniem związku pomiędzy tymi faktami. Przypatrzmy się owemu umysłowemu obrazowi.

W wypróchniałym dębie znaleziono zwłoki spalonego człowieka, który na palcu nosił pierścień z herbem Strojimirskich oraz z literami S. S. Przecież ten pierścień należał widocznie do Stanisława Strojimirskiego! Czemu widok pierścienia wywarł na panu Kornelu tak silne wrażenie, iż stał się ostatnią widzialną przyczyną śmierci starca?...

Niebawem do obrazu wciskały się inne jeszcze fakty: Obląkana Marcycha, córka podobno jakiegoś dzierżawcy ze Strumilowa, nieustannie miała na ustach imię *Stasia* i kojarzyła je zawsze z pojęciem wojny. Czy ten Staś Marcychy nie był przypadkiem Stanisławem Strojomirskim?... Czy wreszcie tajemniczy Kostuch, kłusownik, o którym tyle dziwów opowiadał Marek Kukulka, nie był identyczny z człowiekiem spalonym w pniu dębowym, jak to twierdzi strzelec?... Te wszystkie dane musiały się ostatecznie domagać pytania: Czy Kostuchowi, będącemu mitem, nie odpowiadał w rzeczywistości Stanisław Strojomirski?...

Ukrywał się w puszczy; ale dlaczego nigdy nie pojawił się w domu brata, dlaczego nigdy od brata nie potrzebował, chociaż był biedny? Człowiek ubogi, który ma bogatych krewnych, a o nich nie prosi, musi być chyba dumny; on może tymi bogaczami pogardza. W takim razie ma zapewne jakiś powód do wzgardy... Stary pan Kornel był skąpy, chciwy; czyż taki nie mógł się dopuścić jakiegoś czynu, zasługującego na wzgardę?

Nastały rozkoszne majowe dni i noce; woń kwiatów, śpiewy ptasze napełniały piękny park w Orłowej Woli, a Tynię zatruwały jednak owe przykre myśli, dręczyły niemiłe uczucia... W duszy córki wytwarzał się pewien protest, uwłacza-

jący pamięci ojca, którego ona dotychczas tylko kochała i czciła.

Panna Strojomska wybadywała Marka Kukulkę i starych ludzi ze wsi, dowiadywała się o różnych szczegółach życia swego stryja, słuchała anegdot o Marcysze, bajek o Kostuchu, mitów o Trytwie. Jeżeli ci ludzie nie wypowiedzieli jój wszystkiego, to jednak pozwolili się domyślać wielu rzeczy.

Któż zresztą zdoła powiedzieć, w jaki to sposób się stało, iż w wyobrażeniach i uczuciach Tyni stryj rósł nieustannie, jako świetny bohater,—ojciec małał codziennie. Mareycha była niegdyś piękną dziewczyną, a chociaż uboga, pokochała owego bohatera: miłość uczyniła ją szaloną, odebrała jój rozum. I ona, Tynia, z pewnością pokochałaby także bohatera, gdyby takiego znała.

Zimą, czy latem jest li na świecie stworzenie żywe, od troski wolne? W puszczy i w pałacu słabi i silni, cnotliwi i występni—wszyscy cierpią.

Posłuchaj słowika w pałacowym parku Orłowój Woli!... I on śpiewa chyba z bolesnego niepokoju, ze wzruszenia. Zaczął pieśń od cichój skargi, jęczy i kwili z tęsknoty, a hymn jego dochodzi do najwyższych wzruszeń. Patrz, jak on drży cały, jak szeroko roztwiera oczy i znowu je mruży, jak silnie bije serce śpiewakowi wicsny, gdy szczytu pieśni dosięga! Czyżby on pieśń taką światu głosił, gdyby miał spokój w duszy?...

Czemu się skarży mała ptaszyna w parku?

Czego tęskni i cierpi piękne dziewczę w bogatym pałacu?...

Pewnego dnia przyniesiono listy z poczty; jeden list pochodził od adwokata Strojomirskich, który żądał spieszego przysłania różnych dokumentów, pozostałych po nieboszczyku panu Kornelu; drugi list był z Paryża od pana Kazimierza Ręb... Ten ostatni wzięła najprzód do rąk panna Leontyna i poczęła czytać:

„*Panie!*

Przeszło dwadzieścia lat już upłynęło, jak opuściłem rodzinną ziemię i pozostaję na obczyźnie. Mam nadzieję, iż raczysz mi pan wyświadczyć wielką przysługę i nadeślesz wiadomość, co się dzieje ze Stanisławem Strojomirskim, młodszym bratem pańskim, z którym mię niegdyś łączyły stosunki szczerzej przyjaźni. Wprawdzie wiem, że wielka różnica przekonań dzieliła was obu; ale zapewne czas musiał już dawno tę przepaść wyrównać. Oczekuję odpowiedzi, i to nie ja jeden jęj oczekuję, lecz także grono przyjaciół oraz towarzyszków Stanisława, którzy zawsze cenili wysoko jego prawy charakter i szlachetny entuzjazm.“

Tynia złożyła list i zamyśliła się głęboko.

W kilka dni potém panna Strojomirska, czyniąc zadość żądaniom swego adwokata, poszukiwała papierów, potrzebnych do przeprowadzenia sprawy spadkowej. W stosie rozmaitych listów

i dokumentów, dotyczących głównie interesów majątkowych, uderzyła ją jakaś korespondencya, datowana z Rzymu. Wzięła do rąk pismo i po-
częła czytać co następuje:

„*Panie Kornelu!*

W towarzystwie polskiém, które przebywa w Rzymie, od niejakiego czasu obiega pogłoska nadzwyczajnie dla mnie przykra, o ile jestem blisko i wielokrotnie spokrewniony z rodziną Strojomirskich. A przeciwko tobie to mianowicie, panie Kornelu, wymierzony jest zarzut, hańbiący w najwyższym stopniu nazwisko, które nosisz. Opowiadają tu, iż, korzystając z wielce drażliwych okoliczności, nadużyłeś najprzód dobrej wiary swego rodzonego brata, Stanisława, a następnie zagarnąłeś dla siebie cały jego majątek. Jeżeli masz co powiedzieć na usprawiedliwienie własne, uczynź to bez najmniejszej zwłoki czasu. Gdyby jednakże było przeciwnie, w takim razie sądzę, iż raz na zawsze zrywają się wszelkie stosunki pomiędzy nami, aczkolwiek blisko powinowatymi. Oczyść się, jeśli możesz!

Bronisław hr. Roz. ..”

W szlachetne serce dziedziczki Orłowej Woli ciężkim gromem uderzyło to „oczyść się, jeśli możesz!”

— A jeśli się ojciec nie oczyścił?... Jeśli się nie mógł oczyścić?... Jeżeli tak skalanego nakryła mogiła?...

Wtém jakaś myśl błysnęła w głowie panny Leontyny. Natychmiast opuściła pałac i udała się do miejscowego plebana, sędziwego a powszechnie szanowanego starca. On to przy skonie pocieszał pana Karola, on odebrał jego ostatnie zwierzenia z życia.

— Czy możesz, pocieszyć bardzo srogo zranioną i dotkliwie cierpiącą duszę?—spytała Tynia.

— Mocno wierzę, iż dobra ufność w Boga skutecznie leczy nawet bardzo ciężkie cierpienia — odrzekł kapłan.

— Oto na duszy swojej noszę jakiś grzech wielki; zdaje mi się, że z tym grzechem na świat przyszłam, bo go sama nie³ popełniłam w życiu... W mocy twojej jest ulżyć mi, usunąć straszną wątpliwość!... Bóg chyba żąda od swych kapłanów, aby nieśli pociechę nieszczęśliwym—mówiła wśród łez panna Strojomińska.

— Więc powiedz, czego odemnie żądasz? — zapytał wzruszony starzec.

— Przychodzę cię błagać, bo przeczuwam, że będziesz niewzruszony!... Zaklinam cię na imię Tego, którego świętość i dobroć opowiadasz ludziom!... Uzał się nad straszną dolą kobiety młodej, nieznającej świata z jego rozkoszą i występkiem, a przeczuwającej krzyże hańby!... Ojczy, opowiedz mi grzechy człowieka, któremu winna jestem życie, a oprócz życia, mienie, okupione może cudzém nieszczęściem, ludzkiemi łzami!...

Ojcze, ja jestem słaba i hańby téj znieść nie mam siły!... Czy to pojmujesz?

Teraz Tynia wybuchnęła gwałtowném łkaniem.

Ksiądz powiódł po dziewczęciu wzrokiem pełném zdziwienia i rzekł z łagodnością.

— Panno Leontyno, ojciec powierzył ciężary swéj duszy nie mnie, lecz Bogu. Ja przed Bogiem i na Jego imię przysiągłem, że według surowej sprawiedliwości będę ważył ziemskie czyny ludzi i tak postępuję. Ale niema żadnej siły na ziemi, któraby mnie zdołała rozgrzeszyć, gdybym się okazał wiarołomnym sługą swego Pana; przeto niema i potęgi takiej, coby mnie zniewoliła do zdradzenia tajemnic, już rozstrzygniętych przed sądem Boga.

— O, ojcze, miej litość nademną! Bóg jest lepszy, niż ludzie; On-by ci przebaczył trochę litości, okazanej mnie, biednej kobiécie! — powiedziała zgnębiona Tynia.

— Bóg jest samą miłością! — zawołał starzec z ożywieniem. — Po cóż się więc zwracasz do człowieka? Z prośbą i skargą twoją spiesz tam, gdzie cię nigdy nie spotka odmowa. Wszakże ja jestem tylko człowiekiem i spełniam tylko ludzkie powinności, do nich zaś należy szanować powierzone mi tajemnice bliźnich.

— Więc odejdę stąd bez pociechy, zgnębiona cierpieniem, zwątpiwszy o czei ojca swego? Alboż dzieci nie powinny poprawiać rodzicielskich błędów? Czyż życie rodziców i życie dzieci

nie jest jedným życiem, rzuconém tylko w różne czasy?

— Zło na świecie jest zawsze stare, a rzeczą szlachetności jest łagodzić nieszczęścia oraz klęski, które się stały przed jęj poczęciem. Jakąkolwiek krzywdę płacisz, jakiegokolwiek cierpienia kosisz, zawsze działasz gwoli uzacnieniu ludzkich dzieł na ziemi... Pomnij, że obowiązek zacnych uczuć obareza każdego i za każdego. Sam przez się i za siebie nikt szlachetnym być nie może. Związek ludzi jest jeden, cały, nierozzerwany, a o tyle święty, o ile każdy człowiek czuje się być odpowiedzialnym za innych. Jest to religia ludzkości!

— Mówisz prawdę — szeptała Tynia.—Istnieje jedno olbrzymie nieszczęście, które łańcuchem opasuje całą ludzkość. Jest jedna wielka krzywda, a w jęj sieciach jęczą wszyscy cierpiący... Przerwać jakiebądź ogniwo w łańcuchu nieszczęścia, ocalić kogobądź z otchłani cierpienia — to obowiązek dobrego serca, które w całej ludzkości bić powinno.

Upłynęło kilka dni znowu po tęg rozmowie Tyni z plebanem. Panna Strojomska opuściła Orłowę Wolę; powiadano, że z towarzyszką swoją wyjechała do Warszawy. Zbývá nam na źródłach, według których moglibyśmy śledzić jęj życie tutaj. Uważamy jednak za konieczne przy-

toczyć ogłoszenie, jakie jednocześnie prawie obwieściły wszystkie czasopisma warszawskie:

„Prasa polska ma częstokroć sposobność notowania faktów ofiarności i filantropii; jednakże wysokie te uczucia nigdy podobno za naszej pamięci nie zaznaczyły się w sposób tak uderzający i przy tak zdumiewających okolicznościach, jak to wykazuje zapis, uczyniony przez pannę Leontynę Strojomirską, młodzieuchną dziedziczkę Orłowej Woli. Szlachetna dama przeznaczyła ogromny majątek, bo przeszło dwumilionowy, na cele niesienia ulgi cierpiącym. Szpitale ochronki oraz zadania oświaty krajowej zwróciły na siebie główną uwagę ofiarodawczyni.“

Przez „zdumiewające okoliczności“ rozumiano zapewne młodociany wiek panny Leontyny.

Nazajutrz w Warszawie był u hrabstwa X. modny raut z deklamacją i koncertem. Prowadzono tam następującą rozmowę:

— Kto jest panna Leontyna Strojomirska, która zrobiła ten ogromny zapis, o jakim donosiły wczoraj gazety?—pytała otyła baronowa N.

— Można przypuszczać, iż zrobiła to dla reklamy—rzekła bankierowa R.

— Słyszałam, że w rodzinie Strojomirskich umysłowe pomieszenie jest dziedziczne. Podobno stryj téj panny Leontyny był stanowczym biznesem—powiedziała stara hrabina S.

— Tego się można było spodziewać, bo zapis jest istotnie ekscentryczny—mówił chudy jak za-

pałka hrabia W. z monoklem w oku.—Któż to widział podkopywać w kraju znaczenie większej własności w dzisiejszych, krytycznych czasach?

— Ależ prawda, prawda!... Na myśl mi to nie przyszło—odezwała się hrabina N.—Postępek istotnie w wysokim stopniu niepolityczny.

— Powiadają, że najmniej z tego dostało się kościołom i Towarzystwu dobroczynności—mówiła z powagą tłusta baronowa.

— A to, mówiąc między nami, jest najlepszym dowodem nienormalnego stanu umysłu téj panny—powiedziała bankierowa.

— No, naturalnie!—wycodził przez zęby hrabia w monoklu.

OD ŚWITU DO ŚWITU.

OD ŚWITU DO ŚWITU.

Jest w Kielcach, na końcu miasta, plac targowy, gdzie codziennie zrana, a we wtorki aż do wieczora, załatwiają się ważne sprawy kupna i sprzedaży rozmaitych produktów, przywiezionych ze wsi okolicznych. Zwykle każdy, kto tu przywozi jakieś artykuły na sprzedaż, zajmuje jedno i to samo miejsce, ażeby go raz pozyskani klienci łatwo odnaleźć mogli. Tacy przekupnie usadawiają się rzędami i pierwszy ich szereg ma większe widoki powodzenia, aniżeli następne rzędy. Zaraz przy wstępie na ten rynek uderzał w oczy przechodnia rząd przekupniów, prowadzących handel rozmaitymi ogrodowymi płodami. Rzecz prosta, iż kieleccy ogrodnicy pozajmowali tutaj pierwszorzędne stanowiska, obstawili się wkoło doniczkami kwiatów, szparagami, marchwią, cebulą, pietruszką i w ogóle jarzynami, na jakie stać daną porę roku; poza nimi dopiero rozłożyli artykuły swoje ogrodnicy, którzy ze wsi przyby-

wali. Jednakże w tym pierwszym rzędzie, pomiędzy miejscowymi ogrodnikami, pomieścił się jakoś młody ogrodniczek, który ze wsi przyjeżdżał i choć obcy, oddawna używał przywileju służącego kielezanom z powodu obywatelstwa.

A wielkie szczęście miał ten chłopiec w handlu; ktolwiek się bowiem pojawił na targu i spojrzal na niego, niebawem podchodził, zakupując nietylko przedmioty potrzeby, ale i zbytku: doniczki z kwiatami, bukiety. Szczególniej téż płeć piękna ciągnęła ku niemu.

Chłopiec miał fizygnomią bardzo pociągającą, był uprzejmy, a wyglądał dziarsko; twarz pociągłą, silnie opaloną, rozjaśniała para czarnych, ognistych oczu, a głowę zdobiła bujna czupryna ciemnych włosów. Tuż za nim, w następnym rzędzie, siedziała baba stara, chuda, mająca twarz pomarszczoną i szarą, oczy zapadłe z czerwonymi obrączkami u powiek, głowę, na której uwydatniały się kosmyki siwizny. Ona także przywoziła na targ różne gatunki ogrodowizn, a młodemu swemu koledze nadzwyczajnie zazdrościła powodzenia.

Kiedy ktoś podchodził do ogrodniczka w interesie kupna, baba sarkala i nieraz targ popsula; gdy zaś interesant sprawunek załatwił i odszedł, ona mściła się nad swym rywalem, przedrzeźniając go, wyśmiewając wobec innych ogrodników, a niejednokrotnie téż miotała grubiańskie przekleństwa. Pomiedzy tą starą babą a młodym

ogrodnikiem wybuchały nieraz istne płomienie nienawiści.

Przybywały na rynek dziewczęta, podchodziły do chłopca z uśmiechem, kupowały u niego włoszczyznę, kwiaty, a on także się do nich uśmiechał i zwykle bezpłatnie dodawał jaki bukietik fiołków, bratków, narcyzów, rezedy, lub różyczkę, parę astrów. Wtedy stara baba wybuchała śmiechem złośliwej ironii, zwracała się do innych przekupniów, mówiąc głośno:

— Zęby jemu swoje sprzedawać, a nie ogrodowizny!

Inni ogrodnicy nie byli tak dokuczliwi, ale i oni nie lubili młodego współzawodnika, dla którego publiczność ich pomijała. W ogóle starano się różnymi sposobami, aby chłopcu podstawić nogę na targu, co jednak nie bardzo się udawało.

Ogrodniczek nasz pod względem jakości swego towaru ani się mógł równać z takim ogrodnikiem z Morawicy lub z Maleszowy, nie mówiąc już o ogrodnikach kieleckich; ale ponieważ używał sympaty, więc u niego kupowano—i koniec. Koledzy jego zjeżdżali do Kielec na wielkich wozach, zaprzężonych w parę lub trójkę koni, przywozili rzadkie kwiaty, wyborowe gatunki włoszczyzny i dla takich ludzi przykro było powracać z nierozprzedanym towarem. Julek—takie bowiem imię nosił ogrodniczek—przyjeżdżał na maleńkim wózku, ciągnionym przez kucyka, wyprzedawał

wszystko co miał i zawsze w najlepszym humorze powracał do domu, w kierunku Chęcín.

Niedziele oraz wtorki były to dni najlepszego targu; przekupnie ogrodników przybywali wtedy razem ze wschodem słońca i urządzali na placu swoje kramy. Niejeden próbował, ażeby wyprzedzić Julka i zająć jego miejsce, które zdawało się być najkorzystniejsze; ale zawsze jakoś Julek pierwszy znalazł się na placu i, zanim inni przybyli, on już porozstawiał swoje doniczki, poukładał bukiety i wiązki włoszczyzny.

Chłopiec ów był jeszcze prawie dzieckiem, miał lat siedemnaście i przyjeżdżał do miasta z ogrodnikami swego starego ojca, który od jakiegoś dziedzica za Białogonem dzierżawił sad i ogród.

Było to w miesiącu lipcu. Dobry mrok zalegał jeszcze ziemię, kiedy Julek upakował swój wózek, zasiadł między kwiatami, trzasnął batem kucykowi nad głowę i żwawo ruszył po bielutkiej szosie ku Białogonowi. W przydrożnych lasach ptastwo gwarzyło już melodyjnie, jeszcze motyle nocne furkały, w zamroczonych przestworzach skowronek leciał z pieśnią na powitanie wschodzącego słońca, ponad łąkami wisiały białe opony mgły, wśród których darł się derkacz, pokrzykiwała czajka. Chłodny, orzeźwiający poranek rozjaśniał się coraz lepiej, niebawem i wróble z wierzb świegotem się odezwały. Nasz ogrodniczek przybiera oto do Białogona, do tej milutkiej fabry-

cznej osady, która cię wita białymi domkami, a wygląda niby twierdza, strzeżona przez basztę Karczówki i drugą niższą—Kadzielni.

Jeszcze pasterz o téj porze bydła nie wypęda w pole, jeszcze tak eicho na ziemi, jakby tu człeka nie było. Skrzypnęły drzwi białego domku, przed którym—ogródek mały z rutką i bożém drzewkiem, z nogietkami, bratkami — i wyszła z domku dziewczyna, zapewne córka fabrycznego robotnika; w białej płachcie niosła na plecach brzemię szmat do prania, a w ręku trzymała kijankę. Ujrzała zdala nadjeżdżający wózek, przystanąła obok drogi, ciekawa kto jedzie: może znajomy. Julek podjechał i spojrzeli sobie oboje w oczy; ona miała tak piękne warkocze, tak łagodne oczka, delikatne rysy i różowe usta, że kto na nią spojrział, doznał miłego uczucia, a miłe uczucie wywołuje w widzu uśmiech. Julek uśmiechnął się do dziewczęcia, ona splonęła i również uśmiechnęła się do niego.

Ogrodnickowi dziwnie jakoś lejce drgnęły w ręku i kuc się zatrzymał. Cóż tu robić? Na gościńcu tak pusto; można porozmawiać, jakkolwiek ta para ludzi pierwszy raz w życiu spotkała się z sobą. A cóż to szkodzi, jeśli zachodzi potrzeba rozmowy?

Julek, nie schodząc z wózka, podał dziewczynie bukietek kwiatków, zawiązała się znajomości, nawet przyjaźń; poszła rozmowa, uśmiechy i to

najmilsze ze wszystkiego spoglądanie sobie w oczy oraz spuszczenie oczu.

Chłopiec z wielką łatwością się dowiedział, że dziewczynie jest na imię Marysia i że jest córką kowala z fabryki,—że dzisiaj z matką ma iść na targ do Kiele, dlatego tak rano wstała, ażeby przedtém uprać szmaty.

Marysia w ciągu rozmowy poufale zbliżyła się do wózka, oparła na nim ręce i Julek mógł już teraz dobrze widzieć, iż ma do czynienia z nadzwyczajnie przyjemnym dziewczęciem o gładkiej szyi, strojnej w dwa sznurki niebieskich paciorków, o pięknych ząbkach i piersiach, które same zdawały się odchyłać rąbki koszuli, nieściśniętej gorsetem.

Słońce wstało, rozrozumienily się obłoki, w białych domkach ruch powstawał, pojawiły się ni stąd ni zowąd muchy i poczęły dokuczać kucowi, który strzygł uszkami, tupał drobnym kopytkiem, wstrząsał czupryną nad czołem, a niekiedy otrząsał się cały, pobrzękując uprzężą.

Dziewczyna skinęła wdzięcznie chłopcu głową i z uśmiechem na ustach opuściła wózek; przeszła drogę wpoprzek i udała się w kierunku wielkiego stawu, zwanego Pakoszem, otoczonego zewsząd zaroślami sitowia i wikliny. Ogrodniczek ruszył z miejsca, lecz jechał wolno, spoglądając nieustannie za oddalającą się wśród łąki dziewczyną; i ona oglądała się na niego.

Już stanęła nad stawem, już z bark zrzuciła

brzemie, a zdawała się jeszcze ku niemu spoglądać; może i wcale nie spoglądała, lecz tylko zdawała się tak wydawało. Julkowi nawet coś tak zamajaczyło w oczach, jak gdyby Marysia ręką mu znaki dawała. Ileż to razy człowiek się ludzi!

Nacisnął kapelusz na oczy, przemówił coś do kuca i ruszył teraz dobrym kłusem, bo przecież mógł się na targ spóźnić, mógł stracić zarobek, jeśli inny ogrodnik zajmie jego szczęśliwe miejsce na placu. Obejrzał się jeszcze po wózku, czy wszystko jest aby w porządku i spostrzegł nagle, że Marysia zostawiła mu swą kijankę pomiędzy doniczkami kwiatów... Przypadkiem, czy umyślnie?... Co zrobić z tym fantem? Wracać do Białogona, do Marysi? Ha, to niema już po co na targ jechać!

Nie wracać, zabrać jój kijankę? Eee, to nie wypada...

— Prrruu! — zawołał Julek i kucyk się zatrzymał.

Chłopiec zawrócił, podjechał pod starą cienistą wierzbę, lekko wyskoczył z wózka, przytwierdził lejce, nasadził kapelusz na ucho, szepnął sam do siebie: „Już musi być po czwartej godzinie” i z kijanką w rękę puścił się przez łąki do stawu, gdzie Marysia szmaty prać poszła. Ona złożyła brzemie swoje na trawie i zdawało się, jakby oczekiwała na Julka. Kiedy przybył, śmiali się oboje serdecznie z przygody, a może z radości, że się znów widzą.

Chłopiec tą razą odkrył nowe jeszcze wdzięki u Marysi, spostrzegł, że jest wysmukła, cienka w pasie...

Kiedy się już naśmiali dowoli, stojąc, usiedli potem i rozmawiali z sobą po cichu; fala stawu przybijała do brzegu i odpływała, a w odległości popod trzciniami kołysała się na niej para cyranek.

Musieli długo tak nad brzegiem rozmawiać, bo gdy chłopiec powracał do wózka, szepnął sobie po cichu: „będzie już pewno po szóstej godzinie.”

Kuca widać dotkliwie dręczyły owady, bo się podsunął pod samą wierzbę, na korze której znać było, iż tarł o pień swe ciało i zostawił na nim dosyć włosów. Koń był niecierpliwy, oglądał się w łąki za panem, dziwił się może osobliwemu niedbalstwu swego pryncypała i nogą kopał dół w ziemi.

Julkowi coś nieprzyjemnie było o tak późnej porze jechać na targ do miasta. „Możeby lepiej zawrócić do domu?” Ale na targ miała przecież przybyć Marysia, więc pojechał.

Kiedy przybył do Kiele, plac targowy już był zupełnie zajęty przez przekupniów, a na jego miejscu siedziała stara ogrodniczka, która mu zwykle najwięcej dokuczała. Ta widząc, iż się chłopiec bardzo spóźnił, powitała go złośliwym uśmiechem, a jednocześnie posypały się żarty innych współzawodników.

— Eh, do kroćset!—zawołał Julek. — Ustapcie

no mi matko z tego miejsca, które od roku przeszło zajmuję!

— Ho, ho! Toć sobie placu na własność nie zakupiłeś, a co wypadnie w magistracie zapłacić, to i ja zapłacę za miejsce... Takam sobie dobra pani, jak i każdy inny.

Rozgniewany odmową chłopiec począł uprzętać na bok rozmaite artykuły handlowe swojej przeciwniczki; ale robił to w gniewie i nadzwyczajnie zamasyście, przeto nieostrożnie potracił nogą doniczkę z piękną gieranią, suto okrytą bukietami amarantowych kwiatów; rozbiła się doniczka na skorupy, a piękna roślina upadła, co samemu Julkowi sprawiło zakłopotanie. Wówczas to porwała się z miejsca baba, a pochwyciwszy do ręki potężny drąg, na którym rozwieszała częstokroć wianki cebuli, uderzyła z tym orężem na chłopca. On był bezbronny, strapiony przypadkiem, roztargniony z powodu przygód porannych; nie wypadało mu bić się ze starą babą na publicznym placu, przeto pierzchnął pospiesznie. Wszyscy obecni zajściu wybuchnęli rozgłośnym śmiechem, przyglądając się ucieczce chłopca i pogoni za nim baby z drągiem.

Julek przebiegł plac targowy, schronił się na pole, przelazł przez pierwszy napotkany płot, usiadł pod nim i począł rozmyślać nad swém przykrém położeniem; z jednej strony bolało go sromotne upokorzenie, z drugiejj — wrzał żądzą zemsty; wzięty we dwa ognie przez takie uczu-

cia, chłopiec tarzał się po trawie, bił głową o ziemię i bardzo gorzko zapłakał nad sobą... Toż zajście z ogrodniczką zepsuło mu na nie reputacyą zucha, tak drogą dla młodzieńczej duszy.

Wyszalał się atoli i z kolei rzeczy był ponury. Spojrzał na słońce i pomyślał sobie: „Już będzie niezawodnie po dziewiątej godzinie; teraz miałbym targ najlepszy”...

Rzeczywiście, targ wrzał życiem; tłumy ludzi przyływały nieustannie, a każdy zakupywał przedmiot, którego pożądał. Wypróżniały się kramy ogrodników, którym ubył niebezpieczny współzawodnik, a dziewczęta napróżno dopytywały się o niego.

Kuc stał na boku z nietkniętym wózkiem ogrodowizn, zaledwie sam zdołał sobie wyszukać jakąś cieniastą ustron, gdzie słońce nie tak piekło i natrętnym muchom łatwo się było opędzić.

A chłopiec siedział i siedział pod płotem, utopił głowę w obu dłoniach, życie dzisiejsze od rana wydawało mu się być senném marzeniem; w myśli jego przebiegała to stara baba, to Marysia, to znowu rodziło się pytanie, jak się sprawić z niewykonanego zadania. Nareszcie przypomniał sobie, że na targ ma przybyć Marysia z matką i ta myśl była już jaśniejszą, pocieszyła go nieco. Ale jakże się tu zobaczyć z dziewczyną wobec ludzi, nosząc na czole piętno sromotnej śmieszności? Wszak wszyscy wiedzą na targu, co go spotkało. Zimno się zrobiło chłopcu... Po-

dumał, powstał, wyrzwał z za płotu, popatrzył. Na placu roili się ludzie i wydało mu się, że spostrzeżga między nimi Marysię z jakąś starą kobietą — zapewne z matką; wpatrzył się dobrze: „Nie, to nie ona.” Opuścił swe schronienie i począł się bokami przesuwac w kierunku kuca z wózkiem.

Tymczasem Marysia przysła istotnie na plac targowy; widać wiedziała od chłopca, gdzie go ma szukać, bo trafiła na starą ogrodniczkę i zapytała o Julka. Baba opryskliwie ofuknęła dziewczynę, a przytém nie omieszkała zelżyć chłopca, zowiąc go „urwipołciem, zawalidrogą.”

Odskoczyła Marysia od kramu i poczęła sama upatrywać Julka; właśnie spostrzegła kuca z wózkiem, a zaledwo podeszła, kiedy się zjawił ogrodniczek. Rozpoczęli rozmowę, lecz im rozmowa nie szła, bo chłopiec był pomieszany i niespokojne oczy ciągle zwracał w kierunku ogrodniczych kramów. Dowiedział się tylko od Marysi, że i ona dziś bielizny w stawie wyprać już nie zdołała, że pranie jutro o świcie musi dokończyć. Wnet go spostrzegła stara ogrodniczka i palcem poczęła ludziom ukazywać, więc chłopiec schował się za dziewczynę, ażeby choć w części ukryć swą postać przed wzrokiem nienawistnej baby. Był znowu smutny, lękliwy i z roztargnieniem spoglądał na nierozprzedane ogrodowizny. Naraz ogarnęła go jakaś dziwna chęćka, ażeby zniszczyć wszystkie kwiaty oraz włoszczyznę, które miał

na wózku; wnet znowu pomyślał, że lepiej zrobi, jeśli je rozda pierwszym lepszym. Wydobył z wózka doniczkę z mirtem i oddał ją Marysi, potem obdarzył jeszcze dziewczynę cyprysem, podarował jej też najpiękniejszy bukiet. Zrobiwszy to, wpadł w istny szal rozdawania i wyrzucania wszystkiego, co na targ przywiózł z domu. Zbiegły się dookoła niego dziewczęta znajome, a on im oddawał wszystko co chciały. Może ta hojność niedobrze usposobiła Marysię, gdy spostrzegła, że nie ona jedna jest wybraną, bo się zabrała i poczęła szukać na targu matki.

Miało się już pod wieczór, kiedy Julek na pustym wózku wracał do domu po białym gościńcu; jechał wolno, jak się tylko podobało kucowi. Chłopiec spotykał ludzi, niosących na rękach wianki cebuli, i zdawało mu się, że poznaje cebulę z ojcowskiego ogrodu. Ludzie szli kupkami i gwarzyli dosyć głośno.

— O czém oni téż mówią?—pomyślał.—Niezawodnie o mnie, bo dziś wszyscy, którzy byli na targu, ze mnie się tylko natrzęsają.

Istotnie posłyszał jakby wymówione swoje imię, a potem gromadka ludzi wybuchnęła śmiechem. Julek zaciał konika biczem tak dotkliwie, że kuc skoczył jak szalony i pędem przebiegł z wózkiem około idących.

Chłopiec przybył do Białogona, lejce mimowoli tak mu jakoś drgnęły w ręce, że kuc przystanął pod tą samą wierzbą, pod którą zrana wystawał.

Julek zjechał jednak na bok do głębokiego rowu, ażeby nie być widzianym na gościńcu; tutaj postanowił sobie czekać, dopóki Marysia z matką nie będą od strony Kiele powracały. I znowu siedział na swym wózku jakiś zawiedziony, rozżalony w duszy; począł nasłuchiwać i rozpatrywać ludzi, przechodzących po szosie, a to mu przynosiło ulgę. W miarę jak mrok pokrywał ziemię, zmniejszała się ilość przechodniów.

— Kto wie, czy Marysia już wcześniej nie powróciła do domu? A może obie z matką poszły jaką inną krótszą drogą...

Pst! Chłopiec posłyszał w górze na szosie wyraźnie głos dziewczyny. Tak jest—to szła Marysia; wychylił się ostrożnie i podpatrywał. Szła przodem z jakimś mężczyzną, z górnikiem, jak z ubioru wnosić było można. A może to był jój ojciec, kowal? Nie, bo rozmawiał, jak nie ojciec, bo niósł w ręku doniczki, jedną z mirtem, drugą z cyprysem. Julek słyszał, że ten górnik mówił do dziewczyny po imieniu: „Marysiu” lub „ty,” a górnicy tak nie mówią, jeśli nie zachodzi stosunek poufałości.

Chyląc się, chłopiec podążał rowem za nimi i znowu posłyszał, że się oboje głośno śmieją; przypomniał sobie śmiech własny i śmiech Marysi o wschodzie słońca ponad stawem. Z czego może być śmiech taki? Z czegożby, jeśli nie z miłości? Nie, ich śmiech miał dźwięk złośliwości, tak się śmiać zwykła stara ogrodniczka na

placu targowym. Oni się śmieli z przygody ogrodniczka na targu; Marysia opowiadała swemu towarzyszowi, jak to Julek uciekał, ścigany przez babę z drągiem.

Za tą parą ludzi, zwolna i w znaczném oddaleniu kroczyła stara kobiéta — to była z pewnością matka Marysi.

Chłopiec powrócił do wózka, bo idący zeszli z szosy i znikali między białymi domkami; znowu usiadł, znowu nad czémś rozmyślał.

— Et głupstwo!—powiedziałby sobie niezawodnie, gdyby już miał lat życia dwadzieścia cztery.

— Gdzie téż Marysia może mieszkać?... Jak rozpoznać domek, w którym ona mieszka?...

— Będzie już pewno około jedenastój—pomyślał.

Cisza zalegała Białogon; zza lasu wyjrzał księżyc taki krwawy, jak łuna pożaru; kuc chrupał trawę w rowie; ponad wierzbami bujały nietoperze; w łąkach darł się derkacz i pokrzykiwała czajka.

Julek powstał i poszedł pomiędzy białe domki fabrycznych robotników. Spracowani ludzie wszędzie już spali, tylko zdaleka od strony karczmy brzmiały chrapliwe dźwięki piosnki pijaka.

— Szczęśliwy jest jakiś człowiek: i pijany i śpiewa...

Ale oto w jednym domku światółko jeszcze połyska. „A może to Marysia nie śpi?...” Noc taka ciepła, okno nawpół otwarte; pod oknem ogró-

dek z rutką, z bożém drzewkiem, nogietkami, bratkami... W oknie widać doniczki kwiatów, wśród nich—mirt i cyprys.

— Tak, widocznie Marysia tutaj mieszka!...

Dziewczyna, w połowie już rozebrana, żywo coś opowiada matce, która się do snu zabiera i w łóżku leży... Roześmiała się oto; śmieją się obie — matka i córka... Śmieją się najniezawodniej z przygody Julka ze starą ogrodniczką... Marysia przykręciła naftową lampkę, zdmuchnęła ją i jeszcze w ciemności coś matce opowiada, jeszcze się obie śmieją...

Chłopiec westchnął: „Ciężko żyć!”

Księżyc wydostał się na niebo, bieli się szosa w jego blasku i bielą połyska kościół z klasztorem na Karczówce; Kadzielnia wygląda jak zaczarowany zamek duchów téj ziemi i wkoło czernej górzyste pasma lasów.

— Będzie już pewnie około północy! — pomyślał Julek i podążył w kierunku stawu.

Szedł w mgłach przez łąki i wnet stanął ponad brzegiem; słyszał jak się wabią cyranki, przylatują skądś i z szelestem zapadają na wodę. Usiadł, pograżył głowę w dłoniach, siedział i siedział, jak zrana pod płotem za rynkiem targowym.

Kiedy się ocknął, spojrział odurzony na niebo, spostrzegł, iż bieleje od wschodu.

— O téj godzinie wstałem wczoraj w domu,

aby na wózku upakować ogrodowizny... Niedługo i Marysia przyjdzie dziś szmaty prać w stawie...

Marysia wstała dziś później niż wczoraj i spostrzegła, że przed białym domkiem, gdzie z rodzicami mieszkała, stoi pusty wózek, zaprzągnięty w kucyka, który się oto zaszłapał i nogi zupełnie w wolno puszczonej lejcech uwikłał; z boku wózka sterczał zatknięty biczyk.

Uśmiechnęła się sama do siebie i pomyślała:

— Wiedziałam, że musi dzisiaj przyjechać do mnie; ale nieostrożny, zostawił konia na szosie; ludzie zauważą i będzie z tego obmowa.. Szczególna rzecz, iż kucyk sam trafił do naszego domu!...

I pobiegła Marysia nad staw ze szmatami, a gdy stanęła na miejscu, ujrzała, iż fala biła o brzeg kapeluszem Julka. Zdała na stawie pływało na wznak jakieś martwe ciało człowieka.

CO KTO LUBI.

CO KTO LUBI.

(*Epizod z życia koniarza*).

Pan Walenty Dębecki był dziedzicem niewielkiego folwarku Kanie, a wiodło mu się wcale nieosobliwie, ponieważ miał namiętność do handlu na konie i ciągle się włóczył po jarmarkach, urządzając faicyndy. Wierzchowce i cugowe zjadały intratę w Kaniach, a jednak pan Walenty nigdy się nie mógł oprzeć pokusie, ilekroć zobaczył konia, który mu przypadł do gustu. Taką już miał słabość ten szlachcic, że jeżeli tylko zauważył w koniu jakąś zaletę, zapalał się niebawem, targował, handlował, aż wreszcie konia nabył. Ale cóż kiedy zwykle przekonywał się później, że nabytek ma duże wady a małą wartość, i przeto pozbywał się go czémprędzej za ladajką cenę.

Taki stan rzeczy trwał przez długie lata za czasów kawalerskich pana Walentego i po jego wstąpieniu w związki małżeńskie.

Bywało nieraz, wyjeżdża Dębecki na wierzchowcu w pole i przy granicy swęj posiadłości spotyka sąsiada także na koniku, mającym śliczny wyrzut w nogach przednich, albo rozstawiającym szeroko nogi tylne; zapala się zaraz, traci głowę i frymarczy. Lecz któryż koń mu się nie podobał? Jednego kupował z powodu przepysznej odsady ogona, drugiego dla piersi szerokiej, chudego, kształtnego łebka, obszernego grzbietu lub wspaniałej szyi. Był on téż gorącym zwolennikiem niektórych maści; np. kochał się w koniach dereszowatych, a od kilku lat poszukiwał nieustannie dobranej pary klaczy bułanych z białymi ogonami i takiemiż grzywami.

Przyszły jednak na szlachtę-ziemian ciężkie czasy i wtedy pan Walenty nie mógł na stajni trzymać nawet dobrej czwórki oraz pary wierzchowców.

Pani Zuzanna Dębecka, żona pana Walentego, miała znowu inną słabość, której jednak nigdy nie zdołała zadość uczynić; marzyła ona wicznie o posiadaniu fortepianu; później, gdy podrośl syn Bohdzio, suszyła mężowi głowę o fortepian i o guwernera; nareszcie podrosła i córka, a wtedy miewały miejsce wymówki i domowe sceny: chodziło już o fortepian, o guwernera i o guwernantkę.

Były to właśnie czasy największej biedy w Kaniach, a pani Zuzanna nigdy dotychczas nie była tak natarczywą i nieubłaganą jak w onęj chwili.

Podupadły obywatel robił się coraz bardziej uległym dla żony, a w miarę tego ostygła namiętność do koni. W samotności tylko czasem lub we śnie odzywała się owa żyłka koniarza, a wtedy przesuwały się przed nim piękne białe klacze z czarnemi oczyma, skaczące jak baletnice na cienkich nóżkach; widział w myśli tarantowate i kare ogiery, jak się rwały, wspinały, a z nozdrzy im ogień buchał, iskry sypały się z oczu, z gardła zaś wyrywało się rzenie i kwik.

Po tych pięknych marzeniach, godnych jakiego patriarchy starożytności lub średniowiecznego rycerza, rzeczywistość przywoływała pana Walentego do porządku. W domu bowiem brakowało nietylko fortepianu, guwernera i guwernantki, ale także—mięsa, cukru, herbaty, kawy, soli, pieprzu i t. d.

Na szczęście żył w Kaniach pachciarz, Siapsia, któremu pan Dębecki zwał na głowę swoje finansowe kłopoty. Siapsia włączył się z panem dziedzicem po jarmarkach, brał udział w handlu na konie, o ile zachodziła potrzeba dopłaty w gotówce; on jeden bowiem znał źródła, z których można było czerpać pieniądze.

Należy przypuszczać, że Siapsia nie oddawał tych wszystkich usług bezinteresownie, ale to pewna, że się okazywał coraz mniej gorliwym w zabiegach około dobra dworu, jakkolwiek dwór coraz więcej i coraz gwałtowniej potrzebował jego opieki.

Pan Walenty już teraz w zasadzie zgadzał się na zakupienie fortepianu, sprowadzenie guwenera i guwernantki, oczekiwał tylko chwili, aż mu pierwsze pieniądze wpadną do ręki. Jednakże, co grosz jaki przyszedł, to gdzieś tak się zaraz rozszedł, że projekt po staremu został w zawieszeniu.

Marylka miała już lat dziesięć, Bohdzio dwa-naście. Matka nauczyła dzieci tyle, ile mogła, częstokroć utyskiwała atoli, że dzisiaj zmieniła się metoda nauczania i że sama rady dać nie może. Chłopiec był straszny urwis, do nauki nie miał chęci, a na każdym kroku robił matce zmartwienia. Czego on nie robił w tych Kaniach!... Do kur strzelał z łuku, koty wrzucał do sadzawki, wróblom gniazda wykręcał, przebierał się za stracha i wystraszał dziewczki z kuchni, jeździł na psach, chodził na szczydłach, udawał głosy zwierzęce, wspinał się po drzewach i dachach.

Jednego dnia zjawił się w Kaniach powóz, zaprzężony w cztery fornalskie mierzyny, zajechał przed dwór; z powozu tego wysiadła siostra pani Dębeckiej, która z dalekich stron przyjechała w odwiedziny, przywiozła zaś z sobą dwie córki i synka, dzieci bardzo dobrze wychowane oraz ułożone. Na nieszczęścia dla pana Walentego z dziećmi temi przyjechała także guwernantka. Dopieroż pani Zuzanna, znalazłszy się wieczorem sam na sam z mężem, jak się nie rozpłacze, jak nie zacznie porównywać dzieci siostry

z swojemi, a mężowi dokuczać w bardzo uszczypliwych słowach!...

Nazajutrz stan rzeczy jeszcze się pogorszył, ponieważ Bohdzio wyprowadził gościa, swego ciotecznego braciszka, nad staw i uczył go chodzić po wodzie na szczydlach; malec spadł z wysokich szczydeł i nie tylko się skapał, ale w błocie cały umazał. Bohdzio uciekł i skrył się na polu w koniczynie, a kuzynka jego, zupełnie przemoczonego i zapłakanego, przyprowadziła do dworu jakaś baba, która prała w stawie obleczenie.

Wszczęła się rozmowa o wychowaniu dzieci; pani Dębecka zwierzyła się siostrze ze wszystkiego, nie tając przed nią ani obecnego niedostatku, ani obojętności męża na sprawy edukacji. Zabrały się więc obie kobiety bardzo energicznie do pana Walentego, co też nań oddziało tém skuteczniej, że zamożna krewniaczka sama się ofiarowała z pożyczką trzystu rubli na zakupienie jakiego używanego fortepianu i na zadatki dla guwernera oraz guwernantki.

Stanoło na tém, że nazajutrz rano Dębecki pojedzie do Radomia i sprawunki załatwi.

Jakoż na drugi dzień po szosie, wiodącej od Zwolenia do Radomia, rażno pędził krakowski wózek, rwany przez dwa ręce szpaki, jedyne dzisiaj cugi w Kaniach; na koźle siedział furman w czerwonej czapce, obszytej szychem, obok furmana pachciarz Siapsia, a Dębecki przechylał

się na wózkę to w prawo, to w lewo, obserwując chód i miny swoich szpaków.

Ujechali już dobre dwie mile, byli prawie pod samym Radomiem, kiedy naraz z wielkim impetem przeleciał koło nich takiż sam krakowski wózek, minął ich i pognął w stronę przeciwną.

— Siapsia, czyś ty widział dobrze te konie, które przejechały?...—zapytał Dębecki, oglądając się za siebie.

— Ny, jakbym miał nie widzieć, panie dziedziu?—odrzekł pachciarz.

— Prawda, że to maść bułana?

— Aj waj! I jakie bułane!

— A ogony i grzywy mają białe?

— O tak, tak!... Wielmożny dziedziu!

— Antek, zawracaj i goń za tymi końmi! — zawołał pan Walenty.

— Wielmożny panie, my ich nijak nie dopędzimy! Kuniska jak hamany.

— Zawracaj, głupstwa pleciesz!... Po bacie szpakom i marsz, rozumiesz!...

I Antek zawrócił pod samym Radomiem, a szpaki nie potrzebowały wiele zachęty; z ogromnym ogniem i energią puściły się w pogoń za parą bułanych, które prawie już znikwały w tumanach pyłu na drodze.

— Siapsia!—zawołał pan Walenty. — Nie domyślasz się ty, czyje mogą być te konie?

— Widzi mi się zpod Sandomierza; ale nie wiem czyje—odparł pachciarz, a po chwili dodał:

Żeby wielmożny dziedzie kazał pofolgować, bo dusza ze mnie wyjdzie...

— Nie można, musimy ich dopędzić!... Z powrotem pojedziemy wolniej—rzekł Dębecki.

Szpaki rwały jak szalone, parskając i prychnając nozdrzami.

Dojechano do Zwolenia; bułane wpadły z wózkiem do zajazdu, a pan Walenty kazał Antkowi przystanąć na rynku, Siapsię zaś wysłał na przeszpiegi, aby się dowiedział, czyje to konie i wywąchał od furmana, czy nie są do sprzedania.

Siapsia w kwadrans powrócił, szepcząc coś dziedzicowi na ucho; poczem zabrali się obaj i poszli do zajazdu.

Dwie bułane klacze stały w pianie przy żłobie, a furman nakrywał je derami.

Kiedy Dębecki podszedł od przodu, konie bystro spojrzały na niego, a on je głaskał, klepał, rozmawiał z nimi i widocznie obudziła się w nim żyłka koniarza.

I znowu dziedzie wysłał swego pachciarza na zwiady za właścicielem bułanych kobył.

A właściciel ów siedział właśnie teraz w restauracyi, pił piwo i kurzył cygaro.

Siapsia wybadał go troskliwie, dowiedział się, że to jest baron Bummelzug z Galicyi i że bułane klacze można w każdej chwili kupić, jeżeli tylko ich właściciel otrzyma cenę odpowiednią.

Siapsia ułożył się z swoim dziedzicem o faktorne i pod słowem honoru otrzymał przyrzecze-

nie, że w razie skutecznienia tranzakcyi, za powrotem do domu, na własność jego przejdzie roczny byczek wiśnioszek, jako téż para cieląt po Smolisze i Bielawie, mająca się narodzić w bieżącym miesiącu.

Nastąpiły potém pertraktacye osobiste, w ciągu których baron Bummelzug wykazał rodowód bułanych kobył. Antek i furman barona oprowadzili klacze po Zwoleńskim rynku; Dębecki się zapalił, zapomniał o celu swój podróży, o fortepianie, guwernantce i guwernerze, albowiem klacze były nadzwyczajnie piękne, rasowe. Po dłuższej rozmowie oraz targu stanęło na tém, że pan Walenty oddał baronowi swoje szpaki i dopłacił mu trzysta rubli, pożyczone na fortepian i na zadatki dla guwernantki oraz guwenera.

Baron kupił butelkę wina za trzy ruble, dał Antkowi także trzy ruble trendzlowego i tyleż Siapsi, wsiadł na swój wózek, poczem zniknął, uniesiony przez parę szpaków.

Pan Walenty wypoczął jeszcze nieco, a gdy się już dobrze przyjrzał bułanym kobyłom, kazał zaprzęgać.

Łatwo było zaprządz, lecz ruszyć z miejsca klacze żadną miarą nie chciały. Antek zużył wszystkie sposoby, nic nie pomogło; dopiero kiedy Siapsia wziął jedną kobyłę pod pysk, a drugą Dębecki,—ruszyły z miejsca. Ale szarpnęły gwałtownie, wyrwały się z rąk tych, którzy je trzymali, i popędziły na szosę.

Siapsia i jego dziedzie biegli za wózkiem, ile im sił starczyło. Przeszło o wiorstę drogi za miastem bułane klacze wpakowały wózek do rowu, a jedna z nich rzuciła się na ziemię.

Wiele to trudu kosztowało, ażeby znowu ruszyć z miejsca; sam dziedzie wziął do rąk lejce, Antek zaś i pachciarz prowadzili za uzdy drżące na całym ciele kobyły; zaledwie je atoli popuścili, gdy się porwały jak szalone i z całych sił pędzić poczęły.

Pan Walenty nie mógł utrzymać rozbrykanych koni, lejce popekały mu w rękach, a on sam zleciał z kozła i przy tej sposobności wybił sobie dwa przednie zęby w górnej szczęce.

Bułane klacze rozbiły wózek krakowski do szczętu; zaledwie je zdołano ująć przy pomocy różnych przejezdnych furmanów.

Pod wieczór do dworu w Kaniach przybył najprzód pieszo, uznojony i pyłem okryty pan Walenty, za nim zaś niebawem prowadzili dwie klacze bułane, trzymane na uzdach pod pyskiem, Siapsia i Antek.

Pani Dębecka siedziała właśnie pod tę porę w ganku wraz z siostrą, jako też z jej guwernantką i dziećmi dwóch rodzin.

Pierwszy Bohdzio spostrzegł ojca oraz bułane klacze i zawołał:

— Mamusiu, mamusiu!... Chwała Bogu, nie będzie guwenera, bo tatko bułane koniki kupił!...

Z A K R O W Ę.

(DRUGIE WYDANIE).

Z A K R O W Ę.

I.

Pięknym jest kraj cały, który przepasała wstęgą swoją Nida, rwąca się do Wisły, jak córka w objęcia matki. I białe piaski porośnięte niską sośniną, i laski brzozowe, i łąny szumiące żytem i pszenicą, i białe góry, i zielone a rozległe łąki z różnobarwnym kwieciami, i pastwiska zajęte latem od świtu przez konie, gęsi, bydło: wszystko to pozostaje wryte w pamięci tego, kto się urodził i wychował na Ponidziu. Nigdzie tak pięknie nie śpiewają słowiki ani skowronki, nigdzie bzy nie mają woni tak miłej, nigdzie róża rankiem nie przyozdabia świata cudowniej. Pod białą górą, wśród łąk i wikliny—widać Skowronno, rankiem i wieczorami mgły je okrywają, słyszysz tylko zgiełk czajek, buczenie bąków i na wyścigi wrzeszczące derkacze, którym po skrajach łąki wtórują przepiórki, albo w górze warownie przelotny kaczor. Samotna Kopernia roz-

gląda się smutnie po rozległych błoniach, jak wyspa na zieloném morzu, jój topole wybiegły naprzód, niby na zwiady, aby zachwycić ze świata języka; ale tylko koń z pastwiska czasem tu zabłądzi i potrząśnie z brzękiem nogą spętana, zarzy, a z odległego błonia ozwie się do niego jak przyjacielskiego serca towarzysza. Z wysokiej góry—ku Nidzie jarami spuszcza się Pińczów poważny. Na sklepieniu niebios widać jego głowę, podczas gdy na pochyłości góry osiadła reszta ciała. Pińczów, to stary pielgrzym dziejowy, z którego nóg pyły dalekiej podróży omywa uśmiechnięta Nida. Tu się ona piękniej, zalotniej roztacza, więcej nieba odbija w sobie i niknie znowu wśród ogrodów ziemi naszej, het precz ku Wiślicy, ku Nowemu Miastu Korczynowi.

A jacyż ludzie w tych stronach? Ludzie są tu różni, jak zwykle na świecie, dobrzy i źli, głupi lub mędrsi, pracowici lub próżniacy, zwyczajnie jak ludzie. Tylko o przyrodzie można powiedzieć, że jest „wiecznie piękna i wiecznie młoda.” To pewna, że na Ponidziu spotkasz snadno rosłego parobczaka o bujnej czuprynie i raźną, jak krew z mlékem, dziewczynę. Bogaty w zboże kraj wydaje też dzielniejszych co do sił ludzi. Ale nie będziemy się rozwodzili nad kwestyą stosunku gleby do człowieka. Chcemy opowiedzieć małą powiastkę z życia wieśniaczego. Chłopy na Ponidziu byli zawsze dumni i zuchwa-

li; nie dziw, iż są dumnymi i dzisiaj, kiedy być chłopem stanowi już zaszczyt. Jest to przecież szlachta świeża z ogromną przyszłością. Niech-no jakie trzy wieki historii przetoczą się po tym ludzie, a zobaczymy wtedy, czém może być człowiek wdzięczny dla swój gleby. Tymczasem na Ponidziu obok ludzi pracowitych i uczciwych, są—podobnie jak w Warszawie—próżniacy, nie-ponie i złodzieje. Ma ich Pińczów, ma Kopernia i Skowronno, a to na przekorę tym, którzy są-dzą, iż piękne kwiaty, drzewa, jasne niebo, uro-cze gwiazdy, księżyc i słońce są tylko na usługi niektórych zacnych, zwłaszcza téż idylicznie na-strojonych ziemian. Powiedziałbym nawet, że natura jest równie usłużną dla złych jak i do-brych. Jeżeli pracowity żniwiarz korzysta z dzien-nój pogody i żwawo pokłada sute garści pszeni-cy na zagonie, to złodziej korzysta znowu z émy nocnej, aby zagrabić snopy i użyć ich na swoją własną korzyść.

Mój sprawiedliwy obywatel ze Skowronna nie miał nawet własnej chałupy; był to bowiem ko-mornik, podobny nieco do mnie, posiadał, podobnie jak ja, żonę i dzieci, pracował, jak ja— rękami, chociaż nie w zawodzie literackim. Całą różnicę pomiędzy nami stanowiła krowa Kropi-cha, której szczęśliwym posiadaczem był obywa-tel Domagała, a którą u mnie reprezentowała szafa z rozmaitym drukiem oraz kasa pewnego wydawnictwa.

Znałem Domagałę; był chudy, choć wysoki i zgarbiony lecz zwinny, miał twarz śniadą, oczy bystre, czarne długie włosy, ręce zakończone palcami, jakby bez paznokci, czarne spracowane; miał około czterdziestu pięciu lat; chodził zimą i latem w kożuchu i zwykle boso. Był to człowiek cichy i łagodny, ale zawzięty, kiedy się rozgniewał. Dzieci w chałupie było aż czworo, wszystkie brudne i wiecznie głodne; najstarszy chłopak umarł, nikt nie wie na co. Domagalina opowiadała mi, że chrzypiał, chrzypiał, aż się zachrzypiał. Obecnie najstarszy chłopak miał lat ośm, chodził w zgrzebnej koszuli, rozdartej z przodu i z tyłu, przytém zawsze boso; na rękach zwykle dźwigał maleńką siostrę, ubraną w różnokolorowy czepeczek, a przytém nie rozstawał się z kawałkiem kija, do którego przywiązany był powrózek. Jasiiek był nietylko piastunem, a nawet pedagogiem młodszego rodzeństwa, ale także do wydziału jego należało pasanie Kropichy. Izba, gdzie mieszkał obywatel Domagała ze swoją rodziną, nie miała wiele sprzętów: w kącie stało coś jakby łóżko,—pod okienkiem małym, szczyzącém się zaledwie połową szybki, na czterech słupach wbitych w ziemię, leżał kawałek tarcicy, wyglądzonej naturalnie przez używanie; nieco dalej stała skrzynka, pomalowana żółto, czerwono i zielono, którą Domagalina jako posag i wyprawę wniosła do mężowskiego domu. Obok rozpadającej się nalepy, na garści słomy wylegi-

wała się Kropicha, żując obojętnie i obojętnie spoglądając na kręcące się dokoła siebie trzy czy cztery kury oraz na kilku zpod nalepy nieustannie wypadających królików. Długa żerdź na dwóch wiciach, przyczepiona do powały, stanowiła zarówno schronienie nocne dla kur, jako też wisały na niej różne chusty i szmaty. Na polepie mrucał drzemiący kot, z którym starsze dzieci odbywały noclegi. Co tu mówić o obywatelstwie, powie kto. A jednak Domagała był obywatelem we wsi i gminie Skowronno, był obywatelem cywilizowanego społeczeństwa. On sam nie wiedział o tém. W rodzinie tej nie wyprawiano dzieciom gwiazdki i nie przychodziło ojcu ani matce do głowy, aby dzieci wychowywać. Mus życia i przyroda rozpoczynały tu pierwsze swoje prelekcyje i odrazu te dzieci stawały się dojrzałemi, nie przechodząc żadnej szkoły elementarnej; wychodziły wprost z uniwersytetu w swoim rodzaju. O wiele zamożniejszym był gospodarz, u którego na komornem mieszkał Domagała—Matus Sobieraj; miał bowiem dwie krowy, konia, kozę, parę sztuk trzody chlewniej, wóz, stodołę i cztery morgi gruntu; zajmował zaś drugą połowę chałupy, t. j. izbę i komorę. Złośliwy a krzykliwy pies Zabój, był strażnikiem całej tej zagrody, położonej na końcu wsi, tuż przy kołowrocie. Uczucia takich ludzi, jak obywatel Domagała, objawiają się inaczey niż uczucia urzędników, adwokatów, profesorów, hrabiów;

przedsiębiorców, bankierów i t. d. Myśmy sobie podzielili ludzi na klasy i sądzimy, że to wystarcza do hurtownego traktowania ludzkości. Domagała przede wszystkim nie czuł żalu do społeczeństwa, w którym zajmował stanowisko komornika, chodził do młocki na zarobek w zimie, latem ze sierpem i wraz z żoną; stadło to małżeńskie musiało najprzód odrobić pewną ilość dni za trzy zagony, wynajęte u ludzi pod kartofle i kapustę. Małżeństwo nie pieściło dzieci swoich nigdy; najstarszy syn ośmioletni bywał nawet często szturchany i popychany, jeżeli np. nie dopilnował Kropichy i ta weszła w dworską koniczyne. Słyszałem malca głośno płaczącego z bólu fizycznego, jaki mu wyrządził raz połowy dworski. Bo—niech się temu nikt nie dziwi—Domagała wolał, aby mu obito syna, aniżeliby miano zająć krowę, od której jakie dwa złote trzeba było uiścić za szkodę. Pan ojciec odwiedzał też czasem karczmę, lubił wypić, ale biédak nie miał za co. W niedzielę i święta chodził do kościoła, wtedy kładł na siebie czyste obleczenie. Modlił się bez książki do nabożeństwa, bo nie umiał czytać; często drzemał, zwłaszcza podczas kazania. Spotykałem tego człowieka niezdolnego do wszelkich abstrakcyj; dusza jego nie mogła się wydrzeć z objęć ciała. Zdejmował czapkę przed figurą; przechodząc, mówił: „Niech będzie pochwalony,” a na widok błyskawicy, schylał się, szepcząc: „Jezus Marya.” Kiedy wrona, przyle-

ciawszy z lasu do wsi, wrzasnęła na pozdrowienie, Domagała spluwał ze wzgardą, spoglądał na wronę podejrzliwie i mówił po cichu: „a bodajes skapiąla.” Cała uczuciowość téj rodziny, podobnie jak jój cały byt, koncentrowały się około Kropichy. Tutaj można się było przekonać dopiero, że człowiek jest także i tkliwy. Najmłodsze dzieci podchodziły do jój szerokich ust i bywało wzajemne lizanie się; pieściła ją matka, a ojciec, choć nie pieścił, to spoglądał na zwierzę wzrokiem najwyższej troskliwości. W izbie dozwolone było krowie ryczeć, ile zechciała; że zaś leżała, zwrócona rogami ku ścianie w kierunku pola, przeto przy każdym powstaniu na nogi uderzała silnie rogami w ścianę ową, skąd powstały szczeliny i szpary znaczne, pozwalające ciekawemu oku lubować się rozległym krajobrazem niw, zasianych żytem, jęczmieniem i t. d. Kropicha wpatrywała się w owe widoki i może jój czasami przechodziły jakie komunistyczne ideje przez głowę, bo pomrukiwała sobie niekiedy zicha. Któż to wie, co może myśleć, czuć i chcieć zwierzę. Psychologowie niewiele o tém wiedzą.

II.

W tój samój wsi mieszkał inny obywatel, Franek Kobyłka, także komornik, który niegdyś służył wojskowo i z tego powodu nie uważał za właściwe kłać po polsku, ale wszystkie obelgi w razie potrzeby wygłaszał w języku cudzoziemskim. Był to chłop rosły i należycie zbudowany, o grubym karku i szerokich barach. Miał twarz rumianą, włosy blond, a oczy niebieskie. Istny typ słowiański, który niewielu pisarzy uczonych pozwala sobie idealizować. Na przekorę jakby takim autorom prawda częstokroć wykazuje, że Słowianie umieją kraść weale nie gorzej od jakich pierwszych lepszych złodziei polinezyjskich. Muszę to powiedzieć otwarcie, ponieważ tak bywa; nie chcę zaś nakrywać faktów rzeczywistych tendencyą, że uczeiwa słowiańszczyzna nauczyła się kraść od ludów zachodnich dopiero. Ja myślę, iż Franek Kobyłka musiał być nawet walecznym żołnierzem, bo nosił na sobie z godnością oznaki męztwa. Wszystko to, razem wzięte z jego słowiańszczyzną, nie przeszkadzało mu być złodziejem, ale to złodziejem co się zowie. Nietylko Skowronno, ale okoliczne wsi drżały na wspomnienie jego nazwiska. Siła oraz zręczność sprzyjały prowadzeniu zyskownego rzemiosła. Kobyłka nie chodził na zarobek, nie miał krowy, nie trzymał zagonów pod kartofle, a jednak ubrany był zawsze porządnie i nie chodził nigdy boso, jak

jego współobywatel Domagała. W karczynie nie tylko sam pił dobrze, ale także podejmował przyjaciół oraz sąsiadów rozmaitych. Chociaż wszyscy wiedzieli, że Kobyłka jest złodziejem, upijali się z nim jednak częstokroć; on sam nie taił też tak dalece istotnych źródeł swego dobrobytu i nie raz nawet robił różne pogroźki, których zwykle w przedszym lub krótszym czasie dotrzymywał. Opinia w Skowronnie była steroryzowana przez tego opryszka do takiego stopnia, że wodził on rej na jarmarkach, odpustach, chrzcinach i wesełach. Ten i ów wołał go przecież zaprosić i poczęstować, aniżeli stracić szkapę, wóz, krowę, wieprzka lub dobytek z komory. On to, a nie kto inny, okradł wdowę Kabatkę, zabierając jej bicz koral i dziesięć rubli gotówką; on pozbawił miejscowego pachciarza, Szmula, wózka wypakowanego masłem oraz séréem, a ciągnionego przez najętego konia; on z dworskiego folwarku wynosił workami pszenicę; on karbownikowi skradł przed Wielkanocą pasionego wieprza i t. d. Nie było świadków ani poszlaków żadnych, cóż było robić. Złodziej drwił sobie ze sprawiedliwości ludzkiej jak najwyraźniej. Walka prawa zdawała się być niedołączną wobec zuchwalstwa Kobyłki, który nie tracił nigdy fantazyi, nosił głowę do góry i nie kłaniał się żadnemu — jak mawiał — *ciarachowi*.

Takim trybem szły rzeczy w spokojnej wsi Skowronnie, położonej nad rzeką Nidą, kiedy je-

dniej nocy skradziono Matusowi Domagale jedyną krowę, cielną właśnie, a wierny pies Zabój, stróż prawa własności w bycie włościańskim, został téjże nocy powieszony w sadzie na gruszy. Mówiono o tém w całej wsi, ale nikt się zbyt nie dziwił, że krowa została skradziona. Kradzieży może położyć tamę jedynie własne sumienie lub prawo; jeżeli atoli pierwsze milczy, a drugie nie ma siły, wówczas kradzież prawie że obowiązuje ludzi. Nikt się téż nie dziwił, że ofiarą kradzieży był Domagała; owszem, każdy w duchu się cieszył, że nie na niego samego właśnie przyszła kreska. Ktoś tylko zeicha poszepnął, że Domagała ongi zadrasnął stosunki przyjazne z Kobyłką. Gromada tedy cała patrzyła na ten fakt obojętnie; rozmawiano po chałupach o kradzieży, jako o rzeczy, która prawie że musiała nastąpić, gdyż jój oczekiwano. Jakżeby téż być mogło, żeby się obeszło bez kradzieży przez parę miesięcy. Ani więc Domagała, ani Domagalina nie znaleźli między swoimi współczucia w wielkiej boleści. Mówimy boleści, bo w życiu ludu nie istnieją te nadzieje, jakie ożywiają świat przemysłowo-handlowy, gdzie wielkie zyski i wielkie straty szybko zmieniają się po sobie. Tutaj żyje się bez ryzyka, ażeby wytrzymać tylko i wyżyć w nędznym stanie. Biedny Domagała! On kochał nawet swoje bydło, lubił słuchać, kiedy Kropicha ryczała. Teraz unieszczęśliwiony, zapewne pójdzie do sądu? I po co? Alboż on ma świadków?

W Skowronnie tylko Kobyłka sam jeden mieć ich może tylu, ilu zechce. Pomyślmy, jak smutnie było bez Kropichy w rodzinie Domagałów! Posmutniał Jasiak także, bo dzieci chłopskie są dojrzałe i mędrze od dzieci klas tak zwanych inteligentnych. Im potrzeba wcześniej fizycznej i umysłowej dojrzałości. W pierwotnym stanie bytowania wieśniaka krowa, koń, kawałek roli, niektóre wybitne zjawiska przyrody, karczma, jarmark, kościół — oto i wszystko, co dostarcza ludziom umysłowego pokarmu, a jednocześnie kojarzy się jak najściślej z ich bytem materialnym. Tak jest w Skowronnie i tak jest wszędzie po wsiach.

Dla Warszawian wielokrotnie nabiał służy za lekarstwo; pije się zrana mléko prosto od krowy, według porady pana doktora. Innym razem niektórzy smakosze miewają sielankowe zachcianki i wtedy śniadania u Stępkowskiego, Bokieta, Lijewskiego i t. d. przeplatają sobie mlékiem kwaśnym w Saskim ogrodzie. Przymiemy sobie o wyższych potrzebach człowieka cywilizowanego, kwestyonuje się związek oświaty z moralnością, czytuje się gazety, książki i t. d. Aby zaś *udoskonalić* swoje uczucia, chodzi się na koncerty, do teatru i t. d. Rzecz prosta, iż stąd pochodzą wysocy nasi filantropowie oraz filozofowie liczni, zachwycający powieściopisarze i noweliści, czule rozrzewniający płeć piękną swoimi *realistycznymi* utworami. Na miłość Boga! Po-

zwólcie, szlachetni mężowie, być tymczasem chłopu takim, jakim on jest. Dla Domagały oraz jego rodziny nabiął był tém, czém dla niemowlęcia jest pierś matki. Kropicha zastępowała tu koncert, teatr, literaturę.

Domagała nie poszedł ze skargą do sądu. Z ukosa spojrział na splakaną żonę i Jaśka, sfukał ich opryskliwie, polecając, aby się zabrali do okopywania kartofli. Sam zaś nacisnął na tył głowy magierkę i ruszył ku karczynie. Co wam powiem o jego duszy? Widziałem ludzi jedzących dużo, a pijących więcej jeszcze na pogrzebach. Nie twierdzę, aby tacy ludzie byli ideałami, ale notuję fakt, iż *tak* bywa. Zdaje się, iż cierpienia powołują człowieka instynktownie i bezwiednie do szukania zapomnienia; jednostka rzuca się wtedy na arenę nowych wrażeń, które oblepiają niejako umysł skolatany—i to częstokroć sprawia ulgę.

Kiedy Domagała wszedł do karczmy, było tu ludno; na samym środku stało kilku chłopów, którzy głośno gwarzyli, pomiędzy nimi był także Kobyłka. Inni siedzieli na ławach. W karczynie nie spogląda się na wchodzących, tak jak w salonie. Jest się swobodnym zupełnie. Ludzie czasem się tu witają, a czasem nie. To zaś nie stanowi bynajmniej o braku etykiety, albo o jej posiadaniu. W karczynie każdy jest takim, jakim mu się być podoba. Domagała ciężko przeszedł po karczynie, postawał co kilka kroków, drapał

się w głowę i niechęć przystąpił do rozmawiających na środku. Przedtém może i o nim mówiono oraz o jego Kropisze, ale teraz wszyscy mówili już o czém inném. Kobyłka kazał postawić kwartę gorzałki; wszyscy pili, pił i Domagała. W Warszawie często obmawiają kogoś na śniadaniu u Riedla; wtém wchodzi ten ktoś, siada przy stoliku, nalewają mu kieliszek i wszyscy się trącają. Szczerść jest piękną enotą, ale ludzie nie są szczerzy. Nie można téż wierzyć w szczerść stosunków Domagały z Kobyłką. Około wieczora całe towarzystwo w karczynie Skowrońskiéj chwiało się już na nogach. Jak zawsze, tak i teraz, Kobyłka trzymał się przy półkwatku najlepiej. Niektórzy, spluwając, pletli brednie; inni strasznie głośno wrzeszczeli; inni jeszcze wychodzili z karczmy, uprowadzani przez żony, które nie skąpiły wcale łajań przewracającym się podrodze małżonkom.

Na samym ostatku wyszli za próg Domagała razem z Kobyłką. Powiecie może: „serce człowieka jest oceanem!” Ja nie wiem; ale ci dwaj ludzie połączyli się dziś właśnie ze sobą węzłem, jak gdyby przyjaźni. Nikt nie słyszał ich rozmowy, więc trudno mi ją kłaść w ich usta. To pewna, iż odtąd w Skowronnie wszystko szło starym, zwyczajnym trybem, tylko że Domagała z Kobyłką bywali prawie codziennie w karczynie, nie myśląc bynajmniej o wstrzemięźliwości: odprawiali się do domu, chodzili téż samowtór

na jarmark do Pińczowa. Kobyłka kradł, jak dawniej, a Domagała krowy swój nie odszukał. Znikła bez śladu, on zaś—zdawało się—iż o ciężkiej stracie w końcu zupełnie zapomniał.

III.

Był dzień uroczysty, sierpniowy, odpust w Młodzowach. Z całej okolicy ciągną tłumy wiernych. Ludzie tak dalece nie modlą się na odpustach, najwięcej znaczy tu popęd wędrowania. Każda idea, której potrzeba się rodzi, musi być związana z jakimś starszej daty przyrodniczym popędem. Wędrówki do miejsc świętych oraz na odpusty nigdyby się nie udały, gdyby ludzie nie lubili wędrować, jak lemingi, bez względu na przeszkody.

Białe i brunatne sukmany, czerwone czapki, kapelusze ze wstążkami, klamrami i piórami pawimi, strojne rańtuchy, chustki na głowach kraśne—widać zdala po ścieżkach i drożynach, wśród falujących kłosów żyta a pszenicy. Miedzami, brzegami łąk, zewsząd dookoła, jak ptastwo do ciepła, spieszą ludzie do Młodzów. Czém jest Rzym dla Europy, Częstochowa dla Polski, tém Młodzowy dla Poniidzia. I na głównym trakcie ruch panuje potężny; zamożniejsi ciągną na kółkach; niektórzy znów wierzchem na małych konikach, podkasanych, ze skręconymi w koki ogo-

nami. Gwar słychać daleko, gwar luby rodzinnej ziemi, wietrzyk unosi dźwięki słów ludzkich, na swoich skrzydłach pędzi z nimi daleko w pole. Dlatego to Homer nazywa słowa skrzydlatemi.

W Młodzowach jest kościół wielki, ale nie zmieści on w sobie tyle narodu. Są też dwie karczmy, ale i one nie obejmą wiernych. Ludzi przybywa, a przybywa; uznojeni, opaleni, okryci pyłem podróży, wnet zapełnili wnętrze świętego przybytku i oblegli go zzewnątrz +dokoła. Modlą się pod staremi lipami, pod płotem, pod plebanią, gdzie kto może. Ponad wózem wieśniaczki wciągają na nogi obuwie, aby wykwintnie wystąpić na odpuszcie wobec Boga i ludzi. Rozlegają się gwizdki i piszczalki odpustowe; małe pacholeta w koszulinach spożywają smaczne pińczowskie „kukiałki,” ciekawemi oczyma przyglądają się pierścionkom, paciorkom i obrazkom, rozłożonym po kramach. Głosem przeciągłym, to ochryplym, to nosowym, jednostajnym, śpiewają dziady, ślepce, żebraki, kaleki bez rąk, bez nóg—jęczą, błagają o jałmużnę. Z wnętrza świątyni słychać śpiewy kościelne, brzęczą dzwonki, brzmią nieustannie organy, woń kadzideł zalega powietrze i pomieszana się z zapachem świec woskowych. Ludzie czynią na sobie znak krzyża, biją się w piersi, inni drzemią wśród ogromnego ścisłu i przesuwają w palcach mechanicznie paciorki różańców. Aż oto uroczyście ciągnie procesya,

biją dzwony, bębny, hymny lecą w powietrze; rzekłbyś—ludy wedyckie czczą święto ognia.

W końcowym tłumie spostrzegam także Domagałę, a niedaleko od niego świeżego przyjaciela jego, Kobyłkę. Jest rodzaj przyjaźni, który wcale nie polega na wzajemném wylewaniu przyjacielskich uczuć, ani też na zobopólnem podzielanu różnych myśli; poprostu tylko jeden osobnik lubi przebywać obok drugiego i nic więcéj. Wcale się oni nie adorują, ani nie piezczą się ze sobą w jakibądź sposób, lecz dobrze im być razem. Znałem dwóch psów, które codziennie harcowały ze sobą po polu; gdy zaś jeden odbiegł daleko, drugi go odszukiwał. A jeżeli jeden z tych psów nie zaczepił wchodzącego w bramę podwórza przybysza, to i drugi zachowywał się zupełnie obojętnie. Taka też mniej więcéj jest charakterystyka przyjacielskiego stosunku dwóch komorników ze Skowronna. Sądzę, iż z czasem Kobyłka byłby wykierował Domagałę na uczestnika swoich kradzieży, na współ-złodzieja, gdyby nie były nastąpiły wypadki, które mam zamiar właśnie opowiedzieć.

Procesya wtoczyła się do kościoła, Kobyłka pozostał na cmentarzu, a obok niego—tuż tuż, Domagała. Kobyłka opuścił wkrótce miejsce święte, a miał się w kierunku zupełnie świeckiego przybytku, *vulgo* karczmy, znajdującej się, jak zwykle, niedaleko od kościoła, gwoli krzepienia dusz wiernych oraz podniesienia dochodów propinacyj-

nych. Domagała niedbałym krokiem zdązał za swym przyjacielem. Ci ludzie wysłuchali całego nabożeństwa, brali udział w słuchaniu wielce budującego kazania na temat: „Przebaczajmy bliźnim naszym winy tak, jak Pan odpuszcza grzechy tym, którzy go obrazili.” Nietyle może umocnieni w wierze, ile zadowolnieni ze siebie, iż wedle możliwości własnej uczynili zadosyć idealniejszym obowiązkom lub potrzebom, weszli teraz swobodnie do karczmy. Naturalnie, zaczęła się pijatyka. Kto tam policzył, ile półkwatek wypił Kobyłka, a ile ich wychylił Domagała! Rzecz dziwna, iż ten ostatni był teraz trzeźwiejszy od pierwszego, choć zwykle prędzej się upijał.

Zmierzchało się, gdy oba opuszczali Młodzowską karcznię i dosyć raźno puścili się gościńcem ku domowi. Po drodze Domagała używał przekąski z białego chleba, kupionego na odpuszcie dla żony i dzieci; dał też kawaleczek na przekąskę i Kobyłce. Do żywszej rozmowy nie mieli jakoś tematu. Kobyłka opowiadał to i owo o swojej służbie wojskowej, sławiąc żołnierkę. Treścią dalszej rozmowy była wódka, a właściwie krytyka jakości wódki w szynkach po różnych wioskach. Uchwalili we dwóch, że najlepszą wódkę szynkował Lejbuś w Imielnie, najgorszą zaś siwuchą raczył swoich kundmanów szynkarz na Skrzypiowie. Z tego więc powodu nie zrobiono wstępu do karczmy Skrzypiofskiej, ale co żywo zdążano do domu. Mrok już padł na dobre, gdy

z tyłu, za naszymi podróżnymi zaturkotał ciężko wóz i ozwał się głos: „z drogi!”

— Dyc to Łyko jadą — przemówił Kobyłka — „kieby nas téż ze sobą na wóz zabrali.”

— Zabierzeta nas gospodarzu, do doma?—ozwie się głośno Domagała, gdy ich wóz mijał.

— Prrru!!--zawołał jadący, wstrzymując rwące się do domu konie. „Siadajta”—a potém dodał: „kupita wódki na Skowrońskiéj.”

Nasz Kastor z Poluksem wtłoczyli się na wóz swego współobywatela, który śmignął biczem w powietrzu, zawołał: wio!”, powiedział coś koniom, jak gdyby to były rumaki Achillesowe, zdolne rozumieć znaczenie mowy ludzkiej i tylko zabębniło po pińczowskim moście.

Obywatel Łyko był wielki *mowca*, co w języku mieszkańców Skowronna oznacza nietylko człowieka gadatliwego, ale i dowcipnego. Przez całą więc drogę trzymał głos, chociaż towarzysze jego podróży chrapali jak najwyraźniej.

Już gwiazdy weszły gęsto i ustroiły przepyszny lazur nieba, toczyły się niby w arcypowalnym polonezie, w którym rej wiódł księżyc. Była to piękna noc letnia, kiedy nasi odpustowi pielgrzymi stanęli przed Skowrońską karczmą. Łyko, typ praktycznego chłopca, zdjął koniom uzdy, porzucił im na ziemię naręczce trawy, obudził Kobyłkę i Domagałę, a trzymając w jednej ręce biczysko, drugą przytrzymując sobie fajkę, wszedł do karczmy z zaspanymi nieco pasażerami.

Postawił najprzód Kobyłka kwartę, którą niebawem wypróżniono, gdyż odpust, pijatyka w karczynie Młodzowskiej, podróż pieszo, a następnie sen na wozie, usposobiły dwóch przyjaciół w kierunku pragnienia. Łyko zaś, zawołany bywalec w świecie, spędzał życie na furmankach i nigdy nie wylał za kołnierz. Poszła niebawem druga kwarta Domagały, wpisana, niestety, na szynkowej szafie: *na krédę*. Kobyłka się rozochocił i znowu postawił kwartę. Nie był to finał jeszcze, bo i roztropny Łyko dołożył swoje półkwarcie. Północ właśnie co minęła, trzeba się było rozejść, wracać do domu. Kobyłka nie mógł ustać tym razem na nogach, bełkotał coś niewyraźnie i przewalił się parę razy przed karczma. „Weźcie go, kumie, na wóz” — mówił Domagała, „bo go gdzie jeszcze psi zjedzą na drodze.” Łyko podsadził chłopca na furę i wkrótce wjechał z nim na podwórko swojej zagrody. Domagała pewnym krokiem zdążył ku swój chałupie, spoglądając na wartko pędzącą furkę Łyka, po której rozbijał się o obie drabiny pozbawiony czapki łeb spitego do szczętu Kobyłki. Domagała widać umyślnie nie wychylał półkwatek; był poważny i spokojny; gdy przechodził koło zagrody Łyka, słyszał wyraźnie, jak wóz ze śpiącym Kobyłką parobek wtaczał na boisko do stodoły. Wypadł do niego na drogę Kruczek z głośnym szczekaniem, ale, poznawszy sąsiada o czwartą tylko chałupę, zaraz się uspokoił i zaczął łasić.

W chacie u Domagały wszyscy spali; on też nie wszedł do domu, ale chwilę posiedział na progu. Rozległa się trąba stróża nocnego, potem dało się słyszeć głośne chrapanie Kobyłki w stodole Łyka. Domagała wyszedł za chatę, na pole, obejrzał się uważnie dokoła, oczy błysnęły mu, jak oczy wilka i cicho a ostrożnie, lecz szybko oraz zręcznie, pomknął pod stodołę Łyka, zwróconą ku polu. Znowu przystanął, popatrzył, posłuchał... Czyżby chciał słyszeć, jak we śnie oddycha jego przyjaciel? Nic nie widać; tylko biały kot, czatujący przy miedzy na myszy lub na skowronki, jednym skokiem rzucił się w gęstwinię żyta. Nic nie słysząc, oprócz chrapania w stodole. Domagała stanął bez najmniejszego szelestu na płocie, a z płotu znowu spojrzął po widnokregu. Już jest na strzesze stodoły; przysiadł, patrzy i słucha, rzekłbyś żyje tylko okiem i uchem. Kruczek warknął na podwórku raz, drugi, trzeci... potem i on przycichł. W końcu wsi ozwała się znowu trąba nocnego stróża. Domagała utopił rękę w strzesze i lekko wyjął z niej snopek jeden, później drugi. Przez otwór wszedł wewnątrz. Co on tam będzie robił? Ciekawy księżyc zajrzał otworem do ponurzej stodoły i bladym światłem oblał opiłą twarz Kobyłki. Domagała drgnął, nie życzył sobie świadka, więc w lot pospieszył w górę i otwór zatkał słomą. Kobyłka wydawał z piersi chrapanie przeraźliwe o najrozmaitszych tonach. Teraz zaczęła się ciekawa ro-

bota w stodole. Domagała wszedł w zapole, wziął snop słomy, skrecił powrósło—jedno, potem drugie, trzecie i czwarte; powiązał je wszystkie z prawdziwie artystyczną zręcznością, właściwą tylko ludziom, uprawiającym się przez całe dziesiątki lat w tę czynność. Utworzył więc długi słomiany sznur, zarzucił go na belkę tak, iż drugi koniec dostał mu się także do ręki; dzierżąc powrósło oburącz, Domagała zaczął się bujać u belki. Powrósło pękło w górze, a on z głuchym stukiem padł w słomę. Szelest widocznie nie uszedł uwagi Kruczka, bo czujny piesek począł przeciągle warczeć i byłby może szczekał oraz ujadął, ale właśnie w tej chwili Kobyłka chrapnął tak głośno, że zagłuszył wszystko. Ucho psa oswoiło się już z tym głosem i widocznie znalazło w głośnym chrapnięciu zadosyć uczynienie swojej czujności. Domagała wyszedł ze słomy i poprawną ręką skrecił nowe cztery dubeltowe powrósła, znowu je połączył ze sobą i znowu odbył próbę ich wytrzymałości za pomocą bujania własnego ciała. Słomiany powróż okazał tym razem trwałość niezmierną. Po odbyciu próby mocy i wytrzymałości, nastąpiła próba długości. Domagała dostał się na belkę i, opuszczając ku dołowi powróż, złożony we dwoje, zmierzył odległość jego od ciała uspiętego na wozie Kobyłki. Długość nie była atoli zadawalniającą w zupełności; ale dało się temu zaradzić przez podłożenie snopka pod głowę uspiętego pijaka. Domagała zsunął

się teraz z belki, pozostawiając na niej związane ze sobą oba końce powrozu, który, tak połączony końcami u góry i u dołu, stanowił wydłużoną obręcz. Bohater nasz, nie ustając w pracy, skreślił dwa nowe powrozy; jednym z nich skrepił ręce, drugim nogi uśpionego przyjaciela, który w ciągu całej téj operacyi chrapał nieustannie i był pogrążony w śnie ciężkim. Następnie Domagała usunął z wozu drabinki i półkoszki; poczem założył Kobyłce na szyję słomiany ów pierścień, wiążąc go znowu słomą tak, aby głowa nie przeszła przezeń. Wszystko zrobione zostało ze ścisłością największą. Widocznie nie była to jednak ostatnia czynność nocnego pracownika, gdyż ze zwinnością wiewiórki wdarł się znowu na belkę; usiadł na niej, jak na koniu, przeżegnał się z namaszczeniem, przegiał ciało swoje ku dołowi i zaczął sznur do góry ciągnąć. Pracował z wielkiem napięciem, bardzo ciężko, pot płynął mu z czoła obficie... rozpierał się na belce. Na wozie ustało chrapanie, a dały się słyszeć jakieś dziwne głosy, pochodzące z dławienia i duszenia się człowieka. Szamotanie Kobyłki, przywiązanego na powrozie, nie mogło być zbyt silne, gdyż najgłówniejsze i najwprawniejsze narzędzia ruchu—nogi oraz ręce były skrepowane. Przytém Domagała posunął się na belce z powrozem tak, iż nogi Kobyłki spadły z wozu, pozbawionego drabinek, przez co straciły punkt podpory. Powróż został zawiązany na belce... Czynność ta jesz-

cze nie była ukończona w zupełności, gdy Kruczek zaczął żałośnie wyć pod stodołą. Zwierzęta mają zmysł, którego brakuje ludziom; wietrzą one śmierć bezpośrednio i odrazu. Za Kruczkiem ozwał się chór psów, wyjących pod każdą chatą w całym Skowronnie. Odgłos ten poszedł daleko przez pola i pobudził do wycia psy w Koperni oraz w Pińczowie. Zagrzmiały zewsząd trąby stróżów nocnych; była to smutna zaprawdę nad trupem ludzkim muzyka. Domagałę przeszło mrowie, był bowiem niezmiernie zabobonny; więcćj przecież przerażało go to wycie psów, aniżeli straszna czynność, którą przedsięwziął i wykonał z taką dokładnością, wymagającą energii oraz zimnej krwi. Nareszcie wydobył się na strzechę, w zrobiony otwór wprawił znowu wyrwane dwa snopki, wyrównał zręcznie poszycie, przeżegnał się raz jeszcze i lekko stanął na ziemi, a za chwilę u drzwi swego mieszkania. Na niebie jaśniał miły rumieniec świtu; niedługo wejdzie słońce i dowie się o nowój ludzkiej zbrodni, której tak dobrze sprzyjała jego nieobecność.

Domagalina otworzyła drzwi mężowi. Któż się dowie, o której godzinie do domu powrócił? Lud nie oblicza czasu na zegarze. Godzina mniej, godzina więcćj, niewiele tu znaczy, a jednak w przeciągu godziny można powiesić człowieka.

Sledztwo nie wykryło, jak tylko to, że Kobylka, Domagała i Łyko wypili blisko garniec wódki w karczmie Skowrońskiej, że wszyscy trzech byli

nadzwyczajnie pijani i pijani powrócili do domów po północy. Tajemnicą pozostały nawet snopki wydarte w stodole na strzesze. Nazajutrz, w pięknej wsi Skowronnie, położonej nad Nidą, wszystko szło po staremu. Nikt nie ubolewał nad tём, że Kobyłka nie żyje, tak jak nikt nie żałował Domagały, kiedy ten utracił Kropicę. Wieczorem w karczmie, zeszli się sąsiedzi i wyliczano rozmaite kradzieże Kobyłki. Litania była bardzo długa; ktoś zrobił nawet uwagę, jakoby śmierć człowieka tego rodzaju była dobrodziejstwem wielkiem dla gromady. Przytomni nie zaprzeczali bynajmniej preopinantowi. Opowiadano sobie następnie o wyciu psów podczas nocy, kiedy Kobyłka został powieszony. Niektórzy utrzymywali, że mógł go powiesić zły duch, aby jak najprędzej zdobyć sobie cenną dla piekła duszę złodzieja. Przez jakiś téż czas stróże nocni widywali potём Kobyłkę, jak nocą wychodził ze stodoly Łyka z powrostem na szyi. Ale później nastąpiły inne wypadki, nastaly nowe kradzieże. Kobyłka nie był pierwszym ani ostatnim złodziejem w Skowronnie.

IV.

Niejeden to już człowiek sam się powiesił, czemużby także człowiek nie miał powiesić bliźniego swego, którego, bądź co bądź, mniej kocha niż siebie; tém bardziej może się zdarzyć, iż ktoś powiesił bliźniego, który go okradł. W gruncie rzeczy zbrodnia Domagały wobec ludzi nie polegała na tém, że powiesił Kobyłkę, ale że sobie przywłaszczył prawo wymiaru sprawiedliwości.

CO SIĘ DZIEJE W GNIAZDACH.

(DRUGIE WYDANIE).

„Gniazda giną, ziemia zostaje.”
Z maksym pozytywisty.

CO SIĘ DZIEJE W GNIAZDACH.

I.

Zaznajomienie czytelnika z Dalewicami.

Lubimy śpiew słowicy dla śpiewu, ale słowik nie śpiewa, aby śpiewać! W wieczornój ciszy, powietrze drży tymi czarującymi dźwiękami. Wschodzący księżyc wysunął olbrzymią, ogniem zalaną tarczę, rzekłbyś, że sioła i lasy płoną. Ruch pracy ludzkiej ustaje, jak się to zwykle mówi. A przecież to jest tylko inna forma i pracy i życia. Jedyne warunki niektóre zmieniły się dokoła. Mroczno, chłodnawo i spokojniej niż we dnie. Na niebie gwiazdy pelgają. Ale nie każdy śpi w nocy i nie każdy w dzień czuwa. Jeżeli się czujesz być synem ziemi, związanym z nią miliardem nici; jeżeli rozumiesz, że nic nie ma w tobie, czegoby w niej nie było; że wszystkie istoty świata nie są od ciebie oddzie-

lone pustą przestrzenia, ale wnikają w ciebie i ty im siebie oddajesz; jeżeliś przekonany, że te istoty są niejako organami oraz narządami twego życia, twój myśli najwznioślejszej i twoich najszczytniejszych uczuć, więc pójdź ze mną, koto-
kolwiek jesteś, w zakątek jeden tój wielkiej matki ziemi, w zakątek cichy i spokojny. Nie zatrzymamy się w kraju, gdzie pomarańcza i cytryna kwitnie, ale przyjrzymy się siólu o biędnych, słomianych i lepionych chatach. Nie przechodzi tędy żaden wielki trakt świata, ale przecież mała drożyna łączy i to sióło z bursztynowymi gościńcami. Nie pieni się tutaj swemi falami olbrzymia rzeka, lecz i wązka struga posyła także wodę do dalekiego morza. Wiatry, które wzruszały cedrami na Libanie, lub rozganiały statki po oceanach, przyplływają także w te strony. Po niebie toczą się chmury, które promienie słońca z dalekich mórz wyssały. To samo słońce grzeje tóż i oświeca wszystkich ziemian; jeden księżyc toczy się dokola ziemi. Z jednego punktu na drugi przenoszą się atomy tego, co stanowi życie, przelewają się one, przepływają, toczą się, przychodzą i odchodzą. Nikt nie wie, dokąd popłynęła uromiona jego łza boleści i szczęścia. Ona jednak nie zmarniała, jak i uczucie, co ją wywołało. Nikt nie objaśni, jakie są losy westchnienia, które ci tęsknota wydarła z piersi, a wiatr je porwał i uniósł w przestwory, aby cię połączyć z całą przyrodą, aby to westchnie-

nie wrzucić w jój łono i zapłodnić ją także i przez tę zmianę. Uczucia, myśli, życie całe—oddajemy przyrodzie, która to wszystko, w obiegu kołowym rozdziela między niezliczone miliony istot. Pójdźmy więc do naszego ubogiego siola, aby tam czerpnąć od przyrody życia, aby jój także oddać cząstkę siebie. Jeżeli kto chce, niech to nazwie zaślubinami, weselem, aktem miłości. My wszelkie nasze łączenie się z ziemią i jój stworzeniami nazwiemy koniecznością tylko. Czy ona nam coś ze siebie oddaje, czy my dla niej czujemy, myślimy, albo działamy, walczymy za nią, uprawiamy ją, pracujemy na niej,—zawsze fizycznie lub moralnie stwierdzamy tylko niedający się rozerwać związek nasz z ziemią.

Mamy noc ze wschodzącym księżycem. Mroki panują dokoła. Rzeczka pluszcze, obmywa cząstki ziemi, nieznacznie tworzy zatoki, nurtuje dno, zlizuje kamyczki i zabiera wam, ludzie, tę ziemię, którą tak miłujecie i swoją być mienicie. Po obu stronach obsiadły strugę olchy, kąpią w niej swoje korzenie, mgłami jój zraszają swe liście. Białe ćmy przelatują nad powierzchnią wody, z której rybka się czasem wynurzy, podskoczy, chwyci bezbronnego owada, pluśnie i uchodzi ze zdobyczą, ścigana przez współplemienną zgraję. Mamy noc ciepłą, letnią; woń młodej wikliny oraz topoli balsamicznie rozlewa się w powietrzu. Derkacze i przepiórki niezmordowanie głoszą o zajęciu w swoje posiadanie łąk, jako też

łanów zbożowych! Świerszcze trylowy koncert sprawiają sobie po ogrodach. Z oddali, gdzieś w sadzie, tęskliwie nawołuje sowa. Góra, jakby duchy ciemności, rysują się nietoperze, walczące podczas nocy o życiowe zadania. Czasem, niby z procy wyrzucony kamień, przeleci lelek, ledwie go okiem uchwycić zdołasz, a już znika w ómach nocnych. Rozkukują się w łąkach po kałużach żaby, a inne gwarzą nieustannie na wyścigi ze sobą, choć jedna drugiej przekrzycheć nie zdoła. Na wieśniaczęj stodole stoi bocian, kiwa się we śnie, przysiada; czasem maleńkim jego pisklętom coś się przyśni: zbudzone, prowadzą krótką rozmowę z matką, popiszczą i znowu zasną. Może je rozbudziło poszczekiwanie psa z sąsiedniego sioła, co się od czasu do czasu odzywa niedbale, jakby zaspany. A stary ojciec bocian, po łąkach, późno w noc, za żérem się ugania. Nieraz przyleci do gniazda o północy, rozbudzi rodzinę i przy księżycu krótką z nią wszeczyna rozmowę. I kur się wtedy zatrzepoce na grzędzie, pieje, a za nim kolejno, przeróżnymi głósy, rozlega się po chatach innych kurów pianie. Zwierzęta podają sobie nocą hasło pozdrowienia czy czuwania. Oto i gęsi podniosły wrzawę, łącząc ją z głóсами innych stworzeń.

Po cóż ten ruch, głósy, śpiewy? Trudno podzielać opinią, że wszystko istnieje na świecie, aby tylko człowiekowi uprzyjemnić życie. Poгляд taki jest nietylko powierzchowny, ale i szpe-

tny. Żyjemy dla innych stworzeń, podobnie jak one żyją dla nas.

Nasze siolo nazywa się Dalewice. Nietylko ludzie tutaj żyją, nietylko ludzie w Dalewicach doznają wesela i cierpień. Ludzie bywają tu powodem zawodów gorzkich, miłości, strapiień dotkliwych, pięknych nadziei, a z kolei oni sami uczuć tych doświadczają z przyczyny rozmaitych swoich współmieszkańców ziemskich. W atomach ich ciała, w tém, czego oni za pokarm używają, w tém, co ich otacza, mieści się szczęście i cierpienie.

Jesteśmy w Dalewicach podczas rozkosznej pory roku — przy końcu Maja i w początkach Czerwca; dniem i nocą siolo jest wtedy najlepiej zaludnione. Nad tutejszym strumieniem, nieznanym światu, żyje bardzo wiele rodzin, jest wiele gniazd; ale trzech tylko losy w opowiadaniu naszym będą uwzględnione.

Jest to wieś czysto chłopska, pana dziedzica nikt w niej nie pamięta, choć kiedyś pan taki być tu musiał. Nikt téż nie pamięta, aby z królewskiej wsi Dalewie chłop jaki wydziedziczony kiedy został. Bywały już straszne klęski, ale lud trwa i trwa jego ziemia. Nikt tu nie opuścił jeszcze własnego zagona, a jeśli ojciec umiera, przekazuje synowi lub zięciowi to, co sam odziedziczył po ojcu. Jeżeli zaś ani nadmiar powodzenia, ani najdotkliwsze nieszczęścia nie wytrącają nigdy dalewickiego chłopca z jego zagrody, to prawdo-

podobnie chłopskie Dalewice i nadal tak pozostaną. Chłop taki, to jak bocian, zawsze się ostaje przy swém gnieździe. Jeśli mu je zburzysz, on je odbudować potrafi.

Noc w Dalewicach jest przecudna, ale piękny jest także i dzień w tém ustroniu. Ze trzydziści chat ciągnie się rzędem wzdłuż drogi; przy każdej sadek, ogród, stodółka, obórka, podwórko i ogrodzenie. Tylne części chat zwracają się ku rzeczulce, która płynie dołem poza sadami i poza ogrodami warzywnymi. Jedna chata wybiegła nieco z szeregu chat innych: stoi na wzgórzu wyższém, ogrodem i sadem styka się z olszynami i wiklem gęstém. Przy téj chacie, na stodołę, od niepamiętnych czasów gnieźdzą się bociany, a śpiew słowika z olszyn najlepiej tutaj słychać. Jest to piękna, choć skromna zagroda Walentego Makosza.

II.

Gniazdo bocianie.

Najprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: „boćki lecą!” Po bocianach przybyły jaskółki; ostatnimi zaś przybyszami, już w Kwietniu, były słowiki. Słowi-

ków corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieźdzących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najprzód reparacją gniazda starego. Naprzemian więc, to jedno, to drugie zносиło gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chrust, łatali dziury, utykali szpary, zagradzali, przegradzali; robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę. Zdarzyło się jednego roku, że do Dalewic nadleciały inne jakieś bociany, a w parę dni dopiero przybyli starzy właściciele gniazda. Powiadają, że kto pierwszy, ten lepszy i tą razą lepszymi ani pierwszymi nie były to bociany, które najprzód objęły w posiadanie gniazdo. Przyszło bowiem do zaciętej walki na stodole; posypało się pierze, popłynęła może i krew i pokazało się, że ten zawsze mocniejszy, kto swojego na własnych śmieciach broni. Przybyszom spadły nosy na kwintę, musieli ustąpić; wynieśli się do Zamościa, pod Skalbmierz, gdzie jest istna bociania kolonia. Być może, iż ta kolonia założona została przez zdezonizowanych przywłaszczycieli cudzych gniazd. Tu i owdzie człowiek wywłaszcza człowieka drugiego; rzecz dziwna, że bocian wywłaszczyć się nie pozwala nigdy.

Po wykończonej reparacji gniazda żona bocianowa zniosła pięć jaj. Użyłem wyrazu żona, ponieważ w zacnej, monogamicznej rodzinie ptasiej, gdzie wierność małżeńska przestrzegana jest

jak najtroskliwiej, gdzie się nie trafiają dzieci z nieprawego łoża, należy się uszanowanie płci żeńskiej. Na jajach kolejno przesiadywali — to mąż, to żona, co chyba świadczy, nietylko o wyborniej małżeńskiej harmonii, ale i o wysoko rozwiniętym poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, naradziwszy się ze sobą, wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącone zostało z gniazda nawet pisklą. Może to był i jaki ptasi przesąd, a może też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi potomka, któryby w późniejszym życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego życia i obronić, w razie potrzeby, rodzinnego gniazda. Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż, bociania chata umieszczona była na samym rogu strzechy Makoszowój stodoly. Czworko bocianków, z szarymi dziobkami i takimiż nogami, zachowywało się nadzwyczajnie przyzwoicie w gnieździe. Od najpierwszych pieluch, aż do młodzieńczego wieku, nie słyszano w gnieździe niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczwały one tylko niekiedy, mianowicie zaś gdy przybywało do gniazda które z rodziców. Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzeniu podziału pracy, wierność małżeńska, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, tro-

troskliwość, a nawet czułość rodzicielska starszych względem młodszych, przytém różne inne cnoty, sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bocianny więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nie tylko uznanie, ale rodzaj czei, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptastwo. „Zabić boćka, to ciężki grzech”—mawiali starzy gospodarze do swoich dzieci, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom. Ileż to cnót trzeba posiadać, ażeby sobie zasłużyć na ludzkie uznanie, nie będąc jednak wołem, gęsią, kurą, kaczką lub cielęciami! Zaprawdę, mieszkańcy Dalewic zupełnie bezinteresownie szanowali bocianów, które na pewnych punktach, stały nawet wyżej od niektórych z naszych szanownych współziomków. Mamy w téj chwili na myśli mianowicie edukacyą dzieci, o którą bocianny dbały znacznie więcej, aniżeli przeciętny chłop dalewicki. A przecież walka o byt, zachody o dobra materyalne, ciążyły na owych ptakach niemniej potężnie, jak i na ludziach.

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bocianny podrosły i okryły się dobrém pierzem, rodzice zaczęli je nauczać; polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołęznego zginania nóg. Bocianki szybko

pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami, nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki, wprawiała się w używanie skrzydeł. Potém nastąpiły lekcye wznoszenia się na skrzydłach, najprzód o parę cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silném, że nie wolno spaść na strzechę, a tém bardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoly; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić. Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koło ponad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a w kółko, a w kółko.” Inne dzieci, widząc, że „nie święci garnki lepią,” poszły téż w taniec. Niedosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się na dół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne; niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i śliską, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: „ratuj się sam, jak umiesz.” Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki; rozlegało się wówczas głośnie klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było. Ale wychowanie nie skończyło się na tém. Dalsze

jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znęły tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnią, ale należy strzedz się rozpustnego psa. Okrom tego, przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta, pewna znajomość zoologii; co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajęczek i t. d. Młody bocian musi wiedzieć, czém się ma karmić oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są też pewne obrzędy i ceremonie bocianie, polegające na modulowaniu głosu podczas klekotania, na przekrzywianiu szyi oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami i t. d. Ważnym nadto i użytecznym przez całe życie jest sposób tępienia pasorzytów: a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze. Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielna już ona była. Jeżeli zważymy, że wszelkie wychowanie odbywa się kosztem czasu oraz znacznych wysiłków ze strony wychowawców, to jednocześnie musimy mieć respekt dla fundatorów bocianiego gniazda i przyznać im właściwe pedagogiczne wykształcenie.

To chyba pewna, że energia bocianiego stadła w Dalewicach wychowywała się pod naciskiem

życiowych potrzeb oraz jasnej nadziei odrodzenia się w potomstwie. Z tych dwóch źródeł wypływały też różne piękne cnoty i inteligencya owych ptaków.

III.

Gniazdo słowicze.

Tarnina już zakwitła, gdy się rozpoczęły słowicze prace i pieśni. Do Dalewie przybyła para słowików i zajęła się najprzód wyszukaniem dobrego miejsca na gniazdko. Kiedyś tam jeszcze w błotnym marcu, przypadkiem zapuścił się był koń Makosza pomiędzy wikliny; ślady kopyt jego, zrobione w grzązkim podówczas gruncie, dotychczas jeszcze były widzialne, choć je drobna trawka tu i owdzie pozarastała. Jedno takie odbicie końskiego kopyta było głębsze od innych, a znajdowało się tuż pod krzakiem. Słowicza samka, złożyła tutaj pierwsza uschły jakiś listek; przyleciał za nią małżonek i dołożył suche ździebelko trawy; były to więc fundamenta gniazdko. Przyniesiono jeszcze więcej materiałów, podłożono dno i zaczęto budować boki; oboje, to dziobkiem, to nóżkami, splatali i przeplatali źdźbła, łączyli je ze sobą, naginali, wyrównywali, aż wreszcie stanęły ścianki słowiczego gniazda. Ale

było ono niekształtne i wewnątrz bardzo nierówne, więc wstąpił w nie samezyk, stanął na podstawie i począł się wkoło obracać; obrócił się kilka razy całym ciałem w jedną stronę; obroty takie nadały kształt gniazdku i pokazało się przytém, że niektóre pręciki oraz ździebelka nie są na swoim miejscu; samezyk przeto powyciągał je, poprzycinał dziobkiem, dopasował. Po nim, z kolei teraz weszła w gniazdko samiczka i mogła się już w niém obracać bardzo swobodnie. Oboje ptaszkiwowie zatém wydali głos radosny, porwali się na skrzydełka i polecili między olchy a wikliny; szukali oni skrzętnie po ziemi oraz po drzewach, zbierali kawałeczki mchów, znosili je i wyściełali nimi dno jako téż boki gniazdku. I znowu kolejno, jedno po drugim wchodziło w gniazdko, przesiadywało tutaj, obracało się dokoła, a gniazdko stawało się gładkie i wklęsłość jego nabierała okrągłości dokładnej. Do mchów dołączono kawałki końskiego włosienia, sierści bydłeczej, a także włosów ludzkich oraz nieco szczeciny; to wszystko bystre i baczne oczka słowiczěj pary, umiały znaleźć, już to w sadzie, już w ogrodzie lub nad rzeką. Samezyk był tak śmiały, że rankiem puszczał się na podwórko Makoszowěj chaty i zwykle powracał stamtąd zaopatrzony obficie w materiał potrzebny do budowy.

Gniazdko było już mocne, trwałe, sprężyste, należycie zestawione i pozszywane, ale nie było

jeszcze w niém miękko. W takiem mieszkaniu, nader ważne i potrzebne są poduszki oraz materace. Okwitwały właśnie na podręczu wierzby, a przy drodze — topole; wiatr roznosił puch ich kotkowych kwiatów; znajdowały téż słowiki drobne puszki pierza, uronionego przez rozmaite ptastwo, a za rzeką, na łące, trafiały się i cząsteczki zajęczego futra. Wszystko to, jedno za drugim, przeniesione zostało do gniazdka, a nadto, samiczka oddała nieco puchu z własnej piersi. Nareszcie skończyła się budowa téj chaty w swoim rodzaju; gniazdo posiadało nie tylko odpowiednią moc, ale było bardzo wygodne także, było nawet piękne. Zadowolnione ptaszyny powiedziały sobie chyba coś niezmiernie przyjemnego; może ona błysnęła ku niemu uszczęśliwioném oczkiem, bo oto wzleciał w górę, usiadł na gałązce olszyny i zaczął śpiewać piosnkę, którąśmy w nocy słyszeli. Gniazdko poczęło się teraz napełniać jajkami; dopóki w niém było jedno jajko, dwa, trzy, samiczka się oddalała w gąszcze, chwytiała muszki, uganiała się za komarami, pilnie za to nocą przesiadując na gniazdku. Kiedy już było jajek cztery i pięć, nie opuszczała gniazdka całymi dniami i nocą, chyba na maleńką chwilę, aby w strumieniu ugasić pragnienie. Mąż znosił jój pożywienie. Zresztą, coś ją do gniazdka wiązało, było jój tam dobrze i przyjemnie. Na pobliskiej gałązce małżonek, przesiadując, rozmawiał z nią tak serdecznie. Rozumiała ona dobrze tę

piękną, wyśpiewywaną rozmowę i wsłuchiwała się w nią i przesiadywała cierpliwie. Po kilkunastu dniach, jedno jajko poruszyło się pod nią; usłyszała jednocześnie cieniuchny głosik, podniosła się więc i zobaczyła swego pierworodnego. Powstała wtedy z gniazda, wskoczyła na jego ściankę, wybierała starannie skorupki jajka, powyrzucała je, przyjrzała się maleńkiemu dziecku, dotknęła go lekko dziobkiem i krzyknęła, jako uszczęśliwiona matka. Wnet téż z olszynowej gałązki sfrunął samczyk i on także popatrzył na jedynaka i on wydał z piersi głos radości. Potém prędko już posypały się słowicze dzieci; zaczęły one wołać: „jeść, jeść!” a nowe trudy rozpoczęły się dla rodziców. Ileż tu bywało radosnego pisku, kiedy dziatwa spostrzegła przylatującą matkę z komarem albo chrząszczem w dziobie! Na wyścigi podnosiły gołe główki, rozwijały nagie skrzydełka, otwierały żółte dziobki, wytrzeszczały czarne oczka. Wykarmić pięcioro dzieci, to bardzo trudno! Trzeba było sprawiedliwie obdzielać poreyami, aby które z głodu nie umarło; matka umiała wybornie rozróżniać każdą główkę. Przytém wtargnęły nieraz do gniazda mrówki i zaczęły malcom dokuczać w sposób bardzo dotkliwy; więc nowa praca, nowe kłopoty; mrówki należało pilnie wybierać, powyrzucać, lub pozabijać i pozjadać. Oprócz tego, troskę nie miała w téj rodzinie, stanowiły dla matki chłodne a mgliste wieczory oraz poranki; mogło

się łatwo które dziecko w czasie pierwszej młodości zaziębić i zamrzeć. Jednakże na wszystko jakoś była szybka i dobra rada.

IV.

Gniazdo ludzkie.

Walenty Makosz był energicznym człowiekiem i w tém spoczywała tajemnica jego dobrobytu. Na dziesięciu morgach ornój ziemi zawsze weześnie zaorał, weześnie i dobrze obsiał, miewał téż śliczne grochy, piękne jęczmiona, dostatek ziemniaków oraz kapusty; żyta miewał tyle, że nie tylko wystarczało na własne potrzeby i do siewu, ale jeszcze, od czasu do czasu, sprzedawał je miarkami we wsi lub ćwierciami wywoził na jarmarki do Koszyc. Nigdy się nie obdłużył ani w karczmie, ani u sąsiada. Kiedy w domu nie było roboty, wynajmował się z końmi oraz wozem na furmanki pod zboże, które kupcy działoszycecy zwykli dostawiać na komorę Baran. Makoszowa téż dobrała się ze swoim chłopem. Ona sama jedna w chacie, w oborze i ogrodzie dawała radę wszystkiemu. Dwie krowy wyglądały jakby ulał. Po rocznój jałowicy kropla wody stoczyłaby się bez zatrzymania. Małe cielátko w grudzy podskakiwało uciesznie, bo mu ptasie-

go mléka nie zabrakło. Tłusta samorka i para podrosłych wieprzaków nigdy nikomu nie zrobiły szkody, bo je gospodyni, po nakarmieniu zawsze we właściwym czasie zamykała w chlewiku na kołek. Ona to brzegi pola obsadzała grochem piechotnym, zasiewała w kartoflach bób, słoneczniki lub konopie, a w ogrodzie—mak i kukurydzę między burakami, marchwią, ogórkami i dyniami. Ona miewała zawsze na sprzedaż pierze gęsie, jajka, masło oraz sery. Ona i mężowi w polu pomagała siać, w stodole skręcać powrósła, rznąć sieczkę, wiać ziarno, a w potrzebie i konie wypędziła na pastwisko, zakładała im siano za drabinę, lub zasypywała sieczkę do żłobu. Oboje, bez cudzej pomocy, zbierali wszystkie plony, oboje się czynnie krzątali w domu, w sadzie, na ogrodzie, w polu. Makoszowa wyrwała konopie, moczyła je, suszyła, miądlila, czesała, potem z nich przędła nici przez zimę; przędzę własną zanosila do tkacza, a zrobione płótno odmierzała, bielila, zwijała je i szyła z niego różne szmaty dla męża, dla siebie oraz dla dzieci. On znowu strugał obręcze, robił miotły, reparaował wóz, plugi, zakładał żerdzie około chaty. Na wiosnę Makosz naprawiał w polu rowy i przykopy, robił strachy na wróble, poszywał strzechę na chacie, na stodole,—poprawiał ule w sadzie.

Dzieci było troje, drugie tyle zaś zmarło. Najmłodszy chłopak, Jędrus, dopiero sześć kwarta-

łów liczył; był wesoły, pulchny, rumiany, przyodziany zawsze czysto i nakarmiony obficie pierśią matki; na dużej głowie miał różnokolorowy czepeczek; ciało jego zapowiadało krzepką budowę ojca; oczy miał siwe, nogi grube, tłuste, świecące, podobnież i ręce. Dwoje starszych dzieci należało do płci pięknej. Marysia miała dziesiąty rok życia, a Basia piąty. Marysia stanowiła dla matki już dużą wyrękę, zwłaszcza téż w opiece nad młodszym rodzeństwem. Była to ładna i fertyczna dziewczuszka, która po izbie uwijała się jak fruczka. Ludzie mówili, że z latami nabierała coraz więcej podobieństwa do matki. Matka zaś w swoim czasie była najpiękniejszą dziewczką w Dalewicach. Piękności ludowe mają inny charakter, niż piękności salonowe; a przynajmniej nie należy tu piękności niewieściej szukać w przezroczystości i gładkości skóry, przez którą przegląda niebieska siatka żyłek. Nie istnieją téż wśród ludu dziewice o spojrzeniach omdlewających i przeszywających, chyba, że pochodzenie wynikło z interwencji klas wyższych. Makoszowa nie wychowała się w powietrzu, zamkniętém przez cztery ściany, a ogrzewaném przez piece kaflowe w zimie; nie oświecały jęj téż nigdy jarzące światła balowych wieczorów. Wielka pochodnia wszechświata, słońce, wyrabiało jęj cerę i łącznie z całą atmosferą ziemi, pracowało nad wytworzeniem jęj sił oraz sformowaniem rysów twarzy. Kiedy była rażną, ośmnastoletnią

dziewczyną, nie była podobna do mrówki, jakby przeciętej pasie, ale miała kibić odpowiednią do kształtnie sformowanych bark, rąk oraz nóg i głowy. Żadne więzy sznurówek, staników, trzewików ciasnych i na wysokich korkach, nie kępowały swobodnego ciała, naturalnie wiotkiej dziewczyny. Jój głos nie miał pieszczotliwego dźwięku, uprawianego tak troskliwie w salonowej, pełnej kokieteryi, sztucznej paplanicy, lecz przeznaczony był do brzmienia wśród łąk i pól, aby harmonijnie odpowiadał głosom całej przyrody i wyrażał w sobie szczerą prawdę. Głos ten nie jęczał, ani piszczał, ale brzmiał pełno, niewiele różniąc się od męskiego; był to pełen wdzięku kontr-alt, przeznaczony do wtórowania tenorowi.

Ośmnastoletnia podówczas Magdusia, nosiła pełny warkocz, który przy samej głowie zaledwie ręką objąć zdołała. Był to suty splot włosów płowych, których barwa przypominała już to konopie, już korę gruszy, mieniając się jak nici stalowe. Twarz miała pełną, pociągłą, śniadą; nad jagodami warg wznosił się zgrabny nosek, którego piękna linia pozostawała w związku z dwoma wyrazistymi łukami ciemnych brwi. Gdy uśmiech około ust żywo zaigrał, zdawało się, że, jak błyskawica, po owój linii wzlatywał do oczu i czoła. A oczy były rozumne, pełne wyrazu, miały barwę ciemno-szarą, patrzyły w świat śmiało, wyrażały to, co widziały: prawdę; przebijała w nich pełnia wewnętrznego życia. Co prawda, Magdu-

sia nie miała białych rączek oraz alabastrowych ramion; ale energicznie wypełniona jój ręka była prawdziwą ludzką ręką, która posiadała władzę i siłę wykonania czegoś na świecie. Wyrażając się dobitniej, powiemy, iż była to ręka kobiety wyemancypowanej do pracy. Emancypacya zaś niewiasty wieśniaczój nastąpiła znacznie wcześniej, nim zaczęto drukować rozprawy i dzieła o prawach kobiety. Magdusia, wyszedłszy za mąż, o prawach swoich nie powątpiewała ani na chwilę, ani jój téż małżonek nie zaprzeczał nigdy praw do wspólnój pracy.

W życiu wieśniaczém, wśród bezpośredniego obcowania z przyrodą ma miejsce nieustanna eliminacya organizmów słabych i nieudolnych. Kto nie może znosić mrozów, upałów, soty, pracy, niedostatku, cierpień fizycznych i moralnych, ten nie ma szansy przekazania swego niedołęztwa na potomków. Lada choroba dziesiątkuje tu ludność, a głównie wymierają po chatach dzieci słabowite. Sztuka atoli umie utrzymać przy życiu istoty słabe po różnych cieplarniach. Istoty takie płodzą ludzi wątłych, zdenerwowanych, którzy, jeśli nie skończą na samobójstwie, przekazują stan chorobliwy dalszym jeszcze pokoleniom. Samobójstwo w takich razach podstawia się jako potęga eliminująca. Któż wie, czy można bezkarnie zapamiętać, choćby na krótko, nad prawami życia i śmierci? Jeżeli sztuka ocaliła organizm dziada lub ojca, to we wnuku może odezwie się roz-

pacz, która się targnie na własne życie; a może wnuk ten obdarzy świat ludzi nowemi cierpieniami, jakie dotąd nie były znane.

Rodzice Magdusi utracili czworo dzieci; pozostała ona tylko, najmłodsza córka; na nią też spadł cały ich majątek, który w niej znalazł energiczną opiekunkę. Rola potrzebuje dzielnych ludzi. Aby się utrzymać na kawałku ziemi, trzeba umieć i być zdolnym pracować w upały, słoty, na zimnie. Nie przez to ktoś jest rolnikiem, że sobie zakupił kawałek ziemi, ale że się z tą ziemią zrosł ciałem i duszą.

Bez długich romansów, zawiązał się stosunek małżeński pomiędzy Magdusią a Walkiem Makoszem, parobkiem z wsi sąsiedniej. Ona miała lat ośmnaście, umiała żąć, grabić, kopać, wiązać snopy, pleć w ogrodzie, doić krowy, prząść, miądlić, piec chleb, przytém tańczyć i śpiewać. On miał lat dwadzieścia cztery, umiał wykonywać wszystkie czynności, jak przystało na dzielnego chłopca. Zresztą, z pracowitości swojej był znany; bydłeciu nigdy krzywdy nie zrobił, wołał raczej sam niedojeść i niedopić. Dla żony i dla dzieci był delikatny, choć umiał i rozkazywać, jak patryarcha; był to szlachetny, powiem, rycerski charakter. Niesprawiedliwość go oburzała, a cudza niedola pobudzała do współczucia. Jakkolwiek oboje ci ludzie pracowali bardzo ciężko, aby wyżyć na kawałku ziemi, nie byli jednak skąpi. Uprawiali też w sobie uczucie, zwane am-

bicyą, dzięki czemu, przy drodze we wsi wznosiła się figura, postawiona ich kosztem, a nosząca napis: „*Walenty i Magdalena Makoszowie Najwyższemu Panu ten krzyż wystawili dnia 3 sierpnia 1868 r.*”

W czasie, do którego się odnosi to opowiadanie, Walenty miał lat czterdzieści, żona jego trzydzieści cztery. Jest to mężczyzna rosły, barezysty, brunet, z piękną czupryną, która mu spada na czoło. Rysy twarzy piękne, poważne, można by po nich oczekiwać zaciętości i uporcu; a jednak, gdy Makosz mówić zacznie, zobowiązuje słowem, pokazuje się wtedy jego łagodność, prostoduszność, szczerłość i skromność. Trudno byłoby znaleźć piękniejszą powierzchowność chłopca. Ubrał on się wykwintnie w porównaniu z innymi mieszkańcami Dalewic. Na głowie nosił czarny kapelusz wysoki, opasany szeroką, także czarną przepaską, ujętą w mosiężną klamrę; ciało oblekała zawsze czysta, gruba, konopna, dobrze wybielona koszula, związana na szyi czerwona tasiemką; na wierzch zarzucał białą sukmanę, wyszywaną czarnym sznurkiem na kołnierzu, po brzegach, na połach i około kieszeni; buty z cholewami na wierzchu, jak to bywa zwykle w stroju ludowym. W święto i w podróży Makosz przepasywał biodra szerokim rzemiennym pasem. Palił tytoń z białej fajki porcelanki, na której wymalowany był strzelec z psem. Wódkę pijał, ale rzadko kiedy się podchmielił, miał bowiem mocną

głowę. Rano wstawał o świcie razem z żoną; jeżeli się wybierał w pole, brał do kieszeni kawałek czarnego chleba z serem lub bryndzą i w polu śniadał. Czasem zaś żona warzyła mu żur oraz kartofle i albo sama zanosila to na zagon, albo posyłała przez Marysię, która w takich razach zjadała po ojcu resztki, zostawione w dwopakach. Podług cienia na ziemi oryentował się Makosz co do południa. Kiedy zajadał sam śniadanie, miał też kłaczek siana i dla koni, jeżeli w polu radlił, orał lub bronował; zawsze więc, wyjeżdżając w pole, brał ze sobą wiązkę siana. O samém południu zjeżdżał z pola, wprowadzał konie do stajni w uprzęży, zarzuciwszy im tylko na grzbiet postronki; poczem dostawał od swojej Magdy obiad na misce, do której też zasiadały Marysia i Basia. Jadano przy jednym stole, a raczej przy jednym pniaku, gdyż był to krótki, walcowaty pień grubego drzewa, który Magdalena wytaczała na środek izby, stawiając na nim misę i kładąc obok misy trzy drewniane łyżki. Sama gospodyni krzątała się nieustannie i obiadowała wtedy dopiero, kiedy już rodzina głód swój zaspokoila. Zwykłemi potrawami, które figurowały w domu Makoszków na owym pniaku, były: żur z chlebem, ziemniakami lub z grochem, bób, kapusta z grochem lub z kartoflami, groch albo kasza ze szperką, to jest ze skórką od słoniny, zacierka na wodzie, rzadkie kartofle, prażuchy, kraszone słoniną, a w poście olejem; cza-

sami na obiad musiała wystarczyć jedna potrawa, zwykle dwie jednak bywały. Rzadko kiedy występowała kasha jaglana lub zacierka z młkiem, również—żur na króliku lub na inném mięsie; a bardzo rzadko zjawiała się jajecznica, kielbasa, kiszka, mięso wędzone. Te ostatnie potrawy Walenty pożywał najczęściej, wybierając się w drogę, albo przy ciężkiej pracy w czasie żniw. Latem na misie, nierzadko bywała bżówka (zupa z jagód bzu czarnego), albo garus ze śliwek, w czém osobliwie dzieci gustowały, podobnie jak w dyni, podprawionej młkiem. Szczególny przysmak podczas upałów żniwowych stanowiły ogórki kwaszone z koprem, które Walenty zjadał z chlebem, popijając kwasem. Tak zwana jużyna składała się téż z którejkolwiek z powyżej wymienionych potraw, albo stanowiła ją maślanka, młko kwaśne z chlebem lub z podpłomykiem.

Pokarmy tego rodzaju mniej odpowiadają wymaganiom szanownych naszych smakoszków, nie możemy jednak z pewnością twierdzić, aby miejskie przysmaki utrzymywały zdrowie oraz energią mieszczau w tym samym stopniu, jak to miało miejsce w Dalewicach. Nie możemy tego twierdzić, nawet w obec zapewnień znakomych autorów, że „najdzielniejszymi narodami są te, które się najlepiej żywią.” Bo przecież nie można tego zastosować do pasibrzuchów, uganiających się za frykasami. Dla nas wieśniacza mierność stanowi już wysoką enotę. Jakże mało tu potrzeba, aby zadowolnić człowieka. Nieco

mąki z kukurydzy, dodanej do chleba lub do prażuchy, sprawia zadowolenie podniebieniu takie samo, co ostendzka ostryga, homar albo żółwia zupa.

Szczególniej dobrze odżywianym w chacie Makoszów był mały Jędrus; ten pieszczołch nietylko troskliwie wysączał pierś matki, do której zdaleka się uśmiechał, szeroko roztwierając usta, ale nadto parę razy na dzień otrzymywał jeszcze mały garnuszek mléka, z którego rzadko kiedy pozostało tyle, aby się i Basia pożywić mogła. Malec wylegiwał się w kołysce drewnianej, sprawiającej dużo huku w izbie podczas kołysania. Miał on tu posłanko ze świeżego siana, w którym przebierał i grzebał tłustemi nóżkami, uścielając sobie w ten sposób istne gniazdko, skopując płocienne podesłanie, co także czynił i z matusiną chustką, którą go z wierzchu nakrywano. Kiedy zasypiał, Marysia opędzała go przed muchami gałązką wierzby.

Oprócz powyżej opisanych mieszkańców w naszej chacie, przychodzi jeszcze wymienić psa Obalę, który był nietylko pilnym strażnikiem całej chudoby Makoszów, ale także towarzyszem starszych i ulubieńcem dzieci. Był to duży, pospolity kundys, z łatami białemi i czarnemi, z ogonem zakręconym na lewo oraz jednem uchem ku dołowi opuszczonem więcej, niż drugie. W stariej skorpucie ze stłuczonego garnka dawała mu Makoszowa resztki obiadu, dolewając wody i dorzuca-

jąc kawałków chleba, za co Obal był jój nieskończenie obowiązany, okazywał nadzwyczajną wierność i posłuszeństwo bez granic. Biegał on w pole, gdy Walenty wyjeżdżał orać, a położywszy się na miedzy, śledził troskliwie każdy krok gospodarza i koni. Miał też nieraz ochotę pobiedz w podróż za wozem, ale gdy usłyszał donośny głos Makosza: „Obal, do domu!”—spuszczał ogon i wracał na swój posterunek. Makoszowej także towarzyszył chętnie, gdy szła do strugi prać obleczenie, albo na blonie rozkładać płótno, aby się bielilo, gdy wyruszała w pole ukopać kartofli itd. Było to dobre psisko. Wyciągał ku niemu rączki z kołyski mały Jędrus i śmiał się do niego, przebieając nogami; Obal też podchodził wtedy do kołyski, merdał ogonem radośnie i niekiedy liznął chłopaka po tłusciuchnych udach.

Była w domu istota, której Obal nie lubił i którą prześladował, był to bury kot, który właściwie nie miał nazwiska, ale dzieci wołały na niego: „Kizia,” a Walentowa, gdy go przyzywała, wołała: „kici, kici”; sam gospodarz nie miał z nim nigdy do czynienia, jednak podczas obiadu rzucił mu czasem na ziemię jaki ochłap. Kot bowiem tak się przyuczył obserwować uroczystą porę obiadową, iż zawsze się wtedy właśnie znalazł przy pniaku, naturalnie, jeśli tu stanowiska nie zajął Obal, który w takim razie nieustannie się oblizywał, a każdą łyżkę Makosza odprowadzał wzrokiem od miski aż do ust. Jeżeli zaś kot

towarzyszył obiadowi, to zadzierał ogon do góry, chodził dokoła, obcierając się to o nogi gospodarza, to o Marysię, a czasami wskakiwał Basi na podolek. Kizia przepędzał zwyczajnie cały dzień w chlebowym piecu, albo na polepie, gdzie drzemał, a wyruszał dopiero, będąc wezwanym, lub też puszczając się wieczorem na łowy, choć częstokroć późno w noc się zadrzemał. Miauczał on zawsze cicho i jakby półgębkiem, gdy spał, mruzczał i często przypalał sobie węglami futro. Niekiedy dostawał się do kołyski Jędrusia i układał się w nogach, a chłopiec kopał cierpliwego kota, czując coś przyjemnie miękkiego pod swemi stopami. Kizia z tém wszystkiém był znakomitym łowcą na myszy, co zapewne pochodziło stąd, iż Makoszowa miała swoją teorię, aby kotowi mało jeść dawać, a wtedy będzie on zawzięcie prześladował myszy w całym domu. Gdy Kizi zabrakło łupu w izbie oraz w komorze, puszczal się na polowanie do stodoły, ale starano się w ogóle, aby go nie wpuszczać do krów, gdzie króliki miały swoje kryjówki; zdarzyło się bowiem jednego razu, że kot dopuścił się zbrodni morderstwa na młodziutkim, czarnym królikiewiczem, wzięwszy go zapewne za szczura. Walentowa ukarała za to zbrodniarza przykładnie patykami; poczem morderstwa na istotach ludziom pożytecznych jakoś się już nie powtarzały. Oprócz powyżej wspomnianych terytoryów, pole działalności Kizi rozciągało się także do sąsiednich sto-

dół i chat, a przynajmniej do strychów nad chatami. Kot ten nie miał w ogóle względów u sąsiadów Makosza, miał bowiem reputacją szkodnika. Pochodziło to zaś stąd, iż pewnej nocy przed Wielkanocą zakradł się był do komina i nadwerężył mocno kielbasę, przeznaczoną na pokarm dla pobożnych. Latem puszczał on się do sadu, czatował nocami około ulów, biegał nad strugę, rekognoskował wikliny i częstokroć ze znaczném powodzeniem. Pod strzechą łowił zręcznie wróble, które tu, pod dachem szukały noclegu; wybierał im i zjadał pisklęta. Wlazłszy na stodołę, dostawał się pod spód bocianiego gniazda, gdzie także wróble założyły sobie kolonię pod egidą silnego i szanowanego ptaka. Tutaj Kizia musiał się mieć na baczności, bo długi a mocny dziób matki i pani gniazda mógł go przyprawić nie tylko o niepowodzenie w łowach, ale nawet o znaczne szwanki na zdrowiu.

Obał miał wstręt do tego mordercy żywych stworzeń i często słychać było około chaty tętent psa w pogoni za kotem, który znał się już w yśmienicie na metodzie prowadzenia tej nieustannie trwającej wojny partyzanckiej. W Dalewicach były koty, co żyły w najlepszych stosunkach ze swoimi współmieszkańcami psami, i takie mogły się latem wylegiwać na progu, przed chatą lub na pogródkach. Bury Kizia nie zaznał szczęścia tego rodzaju. Jeśli mu się w dzień zachciało drzemać na świeżem powietrzu i do słońca, to

mógł sobie téj rozkoszy pozwolić jedynie na strze-
sze. Tu atoli nie znajdował bezwzględneho spo-
koju. Skoro go tylko bowiem ujrzaly trzęsiogon-
ki pliszki a jaskółki, narobiły zaraz takiego wrza-
sku, że Obal powstawał z legowiska, spoglądał
na strzechę, a widząc tu Kizię, szczekał natar-
czywie. Wówczas, choć to wszystko były stra-
chy na Lachy, kocina jednak stawał się tchórzem
i, chcąc niechcąc, niby to dla świętego spokoju,
właził w dymnik i musiał już pod dachem poszu-
kiwać wytchnienia. Rozmaite tedy okoliczności,
nie mówiąc już o naturze, pędziły kota do pro-
wadzenia nocnego sposobu życia. Nawet i wie-
czorem oraz nocą musiał Kizia bardzo ostrożnie
puszczać się na wycieczki w pole, bo jeśli tylko
cień jego mignął czujnemu Obalowi przed oczyma,
natychmiast puszczał on się jak strzała za kotem.
Stawał się wtedy wielki szum, zgiełk i chrzęst
w kukurydzy, kapuscie, kartoflach i maku; kot
zmykał w najwyższém przerażeniu, poszukując
jakiego wynioślejszego, pionowego przedmiotu,
aby już z wysokości pewnej można było zadrwić
z rzucającego się Obala. Ta pogoń odbywała się
nieraz na znacznej przestrzeni, aż do olszyn nad
rzekę. Gdyby zaś, czego Boże broń, pies do-
strzegł był kota w szczerém polu, wtedy stocze-
nie zaciętej walki musiałyby nieuchronnie na-
stąpić.

Ponieważ każdy skutek ma swoją przyczynę,
więc i owa zawzięta nienawiść psa do kota bez

przyczyny nie była. Mianowicie zaś wrogi ten stosunek datował się od pewnego zajścia, kiedy Kizia, zlekka napadniętym będąc po raz pierwszy przez Obalę, wymierzył łapą tak energiczny policzek psu, iż ten ostatni, już z powodu zniewagi, już przez pamięć doznanego bólu w miejscu dla siebie dotkliwém, postanowił mścić się na kocie aż do końca życia.

Takiem było gniazdo ludzkie, chata Walentego i Magdaleny. Było w niém dobrze, podobnie jak w gnieździe bocianiem lub słowiczem. Ale dobrze i przyjemnie w gniazdach jest tym tylko, którzy pracują. Bez pracy niema gniazd, niema szczęścia i nieszczęścia, jest bezbarwność. Ziemia cała, to wielkie gniazdo pracowitych istot, a i ona zapewne należy do jakiegoś większego jeszcze od siebie gniazda. W Dalewicach zdarzały się i srogie klęski; bywały pomory na ludzi i na zwierzęta; struga, choć mała, wzbierała nieraz potężnie, zalewając pola oraz łąki; wybuchały pożary, pochłaniające długoletnią pracę ludzką; przychodziły lata nieurodzajne i ludzie wtedy karmili się chwastem, cierpieli. To wszystko jednak przechodziło i bywało znowu lepiej.

V.

Zniszczenie gniazd.

1.

Było to w roku 1878; świąteczny dzień 27-go maja przyniósł dla Dalewic wielką klęskę. Po nabożeństwie powrócił Makosz do domu z parafii. Od samego rana zanosiło się na jakąś słotę, słońce przypiekało silnie, a na niebie widniały najprzód strzępiałe chmurki, z których starzy gospodarze przepowiadali ulewę. Deszcz był potrzebny w polu, bo susza panowała już za długo i płody polne zostały przypalone. Ku zachodowi przeto zwracały się oczy wszystkich mieszkańców Dalewic, oczekując stamtąd przybycia deszczu; a zachód przedstawiał się tym razem obiecująco.

— Nie wytrzyma do wieczora—mówili niecierpliwi.

— Jeśli nie we dnie, to w nocy lunie ulewa—powtarzali inni.

Niektórzy znowu twierdzili, że:

— Może się odwlecze do jutra i dłużej nawet.

Po obiedzie Makosz rozesłał sobie sukmanę w sadzie i zasnął, a w pobliżu niego zasnął także i Obal. Chmury zaczęły się szybko gromadzić i niebo się poczeruiło na zachodzie. Na ziemi panowała jakaś powaga spokoju, nie było znać ruchu; każdy oczekiwał, co się stanie. Olchy pojedynczo odbijały swą postać ciemną w zwierciadle

strumienia. Niebo obłóczyło się ponuro. Tylko woń roślinności rozlewała się w powietrzu. Przepiórki w pobliskich i dalekich polach wywoływały swoją jednostajną zwrotkę. Derkacze zdwoiły peryodycznie powtarzane systematyczne krzyki. Na skraju widnokregu chmury zdawały się kłębić i mieszać jedna z drugą. Były one szare, bure, czarne, a przebijała téż między nimi i barwa żółtawa. Wśród téj masy, wijącój się, piętrzącój w dziwne kształty, jak potwory z mitologii indyjskiój, posuwające się opieszale coraz wyżej na sklepieniu niebios, przelatywał niekiedy złoty wąż błyskawicy. Wewnątrz chmur wrzało. Rozlegał się huk głuchy i ciężki. Nareszcie powiał wiatr chłodny. Dał się słyszeć przeciągły szum drzew po sadach i olch nad strumieniem. Woda pokryła się drżącemi falami. Awangarda chmur przybyła. Wiatr wzmógł się nagle i słychać było na wszystkie strony, jak trzaskają drzwi chat oraz stodoł niepozamykanych. Na strzesze tu i owdzie skreślił się źle posyty snopek. Po drodze i w podwórkach wiatr porywał kawałki powróseł, źdźbła, mieszał je z pyłem, kręcił i unosił w górę wirowym ruchem dyabelskiego tańca. Bocian z łąki przyleciał do dzieci na stodołę. Gęsi zbiły się w kupkę, przekrzywiły główki, patrząc w górę jedném okiem.

Kiedy się Makosz przebudził, wtedy już pierwsze grube krople deszczu spadły na ziemię, a kury ze wszystkich stron uciekały pod okap

dachu, gdzie przystaneły wyprostowane w szeregu. Wybiegła Makoszowa z chaty, a za nią Marysia i zaczęły zbierać po płocie szmaty i pierzyny. Rozległ się trzask gromu, potem deszcz lunął jak z cebra. Na strudze ukazały się gęste bańki. „Będzie rosło od tego deszczu” — mówili gospodarze i gospodynie. Od czasu do czasu spadała kulka gradu. Ukazała się błyskawica, a w ślad za nią rozległ się huk i trzask gwałtowny, jakby się stropy niebios waliły. „Gdzieś blisko trzasło” — rzekła Marysia, a Makoszowa pochyliła się właśnie, szepeąc: „Wszelki duch Pana Boga chwali.” Teraz posypał się gęsty grad. Bił silnie o ziemię, o drzewa, płoty, odbijał się i podskakiwał, jak piłki; w powietrzu panował chrzęst, szum i stuk. Niebo temi lodowatemi łzami zdawało się urągać człowiekowi i szydzić z niego. Już się zdawało, że wszystko przycicha, tymczasem po chwili grad znowu z podwójną obfitością bił, szumiał i chrzęścił. Bocian stoicznie siedział na gnieździe, nakrywszy dziatwę własnym ciałem. Makoszowa pozdejmowała ze ściany obrazki; w progu sieni ustawiła Matkę Boską Częstochowską, w jednym oknie Pana Jezusa, w drugim Ś-go Antoniego Padewskiego. Obrazy okazały się bezsilne wobec grzmotów, gradu oraz błyskawic.

— Co się tam dzieje w polu z kartoflami i grochem. Wszystko pójdzie na nic — mówiła przerażona Walentowa.

— Taki grad nietylko że w polu wszystko

zniszczy, ale i gałęzie na drzewach połamie—odparł smutnie, lecz spokojnie Makosz.

— O, ratujże nas téż Przenajświętsza Panienko—wołała Makoszowa, nie mogąc się już dłużej powstrzymać od głośnego łkania, które posępnie rozległo się w izbie i jak zaraza w mgnieniu oka udzieliło się Marysi oraz Basi. Zapłakały obie dziewczeczki rzewnymi łzami, a słysząc to mały Jędrus, zaczął im także głośno wtórować z kołyski. Walenty smutném okiem powiódł po rodzinie i wyszedł z chaty. Gruba warstwa kawalków lodu leżała na ziemi, wolno topniejąc. Były tu kulki wielkości orzechów laskowych, były i większe jeszcze—tyle, co jajka gołębie. Makosz poszedł do sadu; tu, pod drzewami leżały obtrącone gałązki, masa liści oraz drobnego, zielonego owocu. Walenty przechodził, jakby skamieniały wśród téj zniszczonej pracy swojej; podnosił z ziemi to grad, to owoce, oglądał, ale to mu bynajmniej nie ulżyło w ciężkiém strapieniu. Obal zdawał się także smutno przyglądać kłęsce. Ze sadu podążył Makosz do ogrodu, gdzie zniszczenie przedstawiło mu się gorzej jeszcze. Wszelki plon leżał tu zgnieciony, połamany, zmięty i gradem przykryty. Z górki można było rzucić okiem na łąkę oraz pola za rzeczką, na której wezbrana woda zniosła kładkę. Niwy całe przedstawiały się zdaleka bardzo smutnie, jakby po żniwach. Grad przyniósł stanowczą kłęskę.

Resztki deszczu sączyły się jeszcze; zachód się

wypogadzał; na wschodzie ryczała i czerniła się ta sama burza, która co tylko przeszła przez Dalewice. Ze wzgórzy pędziła w potokach woda żółtawo zabarwiona, szumiąc i przepelniając strugę, która, nieprzygotowana na takie obfite zasoby, rozlewała się po łące i po dolnych częściach ogrodów. Niedawno jeszcze tak spokojny strumień, pokrył się teraz pianą oraz szczątkami zielonych gałązek, ździebeł, łodyg, kwiatów i t. d., a rwał w biegu bystro, jakby wielki potok górski.

Z każdej chaty wychodzili gospodarze, aby na własne oczy zobaczyć straszną prawdę, którą każdy z nich przeczuwał. Z pastwisk powracali pasterze, przemokli do suchej nitki, przykryci na głowach wywróconemi kitlami; przed nimi biegło zmokłe także bydelko. Pasterze ei opowiadali, jak wyglądała burza w polu; mówili, że piorun uderzył w samotną gruszę na miedzy, że ptastwo pozabijane gradem leży po drogach i w polu.

— Będzie głód we wsi—rzekł Makosz, wchodząc do chaty—takiego gradu, jak żyję, nie pamiętam nigdy. Nie będzie też czém karmić i bydła, bo woda zmulila siano na łące.

Makoszowa przez łzy spojrziała na męża, ale otarła oczy fartuchem, pozdejmowała obrazki z okien i progu, zawiesiła je na ścianie, poczem wzięła się do rozpalenia ognia na kominie.

2.

Nie upaść na duchu wśród niepowodzeń jest dowodem wielkiej, życiowej energii. Makosz, choć się strapił i nafrasował, przestał jednakże rozmyślać o klęsce. W polu nie było co robić; żadna nadzieja nie jaśniała już z téj strony dla rolnika. Należało tylko skosić zniszczone zboże i wysuszyć na pokarm dla bydła. Walenty postanowił w najbliższy czwartek jechać na jarmark do Skalbmierza, dokąd przybywają kupcy żydzi z Działoszyc, Pińczowa, a nawet z Chmielnika i Chęcicin. Stosunki handlowe pomiędzy temi miastami oraz Nowem Miastem Korczynem, Wodzisławiem, Jędrzejowem i Kielcami, wymagają nieustannego przewozu różnych produktów z miejsca na miejsce. Ponieważ już nieraz na takim jarmarku proponowano Makoszowi korzystną furmankę, przeto zamierzał on teraz wynająć się z wozem oraz końmi, aby w ten sposób zarabiać i wynagrodzić sobie poniekąd klęskę z gradobicia.

O świtaniu zatem wstał, napasał konie, wyręchtował wóz, wlał na drogę smoly do maźnicy, podjadł sobie ciepłej strawy, którą mu żona przyrządziła, wziął do kieszeni na wszelki wypadek papierek rublowy i parę złotych drobnemi, założył konie, wypróbował biczysko, zapalił fajkę, nałożył na głowę swój wysoki kapelusz, pożegnał się z żoną i usiadł na wozie, gotów do puszczenia się w drogę. Walentowa wyszła jeszcze na

podwórko do męża, w zawiniątku ze swojej starój, czerwonej chustki wyniosła mu bułkę chleba, kawałek sera i sporą osełczkę masła, którą włożyła w wydrążenie przylepki od chleba. Dzieci jeszcze dobrze spały, kiedy ich ojciec wartko pędził po skalbmierskim gościńcu. W drodze, spotykał znajomych ze wsi okolicznych, więc posuwały się wolno za sobą to dwie, to trzy furki, a furmani głośno gwarzyli o szczegółach straszego gradobicia. Jechali ludzie z Wielkiej Chruszczyny, z Gorzkowa, z Donatkowie, z Gruszowa, Pleszowa, Łapszowa.

Na jarmarku poszło wszystko dobrze i Makosz ugodził się z pińczowskim kupcem o dostawę ogórków oraz cebuli z Topoli do Kiele. Topola leży tuż pod Skalbmierzem, a słynie w Krakowskiem z produkcyi włoszczyzn, podobnie jak Łobzów pod Krakowem. Mało kto sieje tu zboże; ziemia jest nadzwyczajnie urodzajna i gospodarzom najlepiej się opłaca uprawa rzeczonych ogrodowizn. Makosz miał tedy na całą noc wyruszyć w dalszą podróż, jak się tego spodziewał właśnie i co w domu zapowiedział.

Pozostawmy naszego bohatera w podróży do Kiele, a powrócmy do jego domostwa i przypatrzmy się, jak Walentowa, nie tracąc również czasu na ubolewania, rozpoczęła bezzwłocznie i gorliwie swoje codzienne zajęcia.

Zaraz po wyjeździe męża, wzięła się ona do doju krów; ukończywszy zaś tę czynność, wypeł-

dzila krowy na pastwisko razem z gęsiami i trzodą chlewną. Gdy powróciła do chaty, zajęła się nakarmieniem Jędrusia, który już nie spał, poczem dała śniadanie Marysi i Basi. Następnie weszła po drabinie na górę i przeliczyła tam motki przedy oraz skrećki konopi, niezamienionych jeszcze na nici; zabrała stąd płótno, które wyniosła na trawnik za strugę, aby się wybielało. Znowu potem wróciła do chaty, wzięła płachtę, grabie, zgrabiła w kopki przeschłe już a przez męża skoszone niedobitki gradowe żyta oraz jęczmienia; poczem nabrała téj paszy w płachtę i zaniosła do obórki. Zajęło jój to sporo czasu, ale rażno się zwijała i znów stanęła w chacie, gdzie roznieciła ogień na kominie, a przy ogniu zastaowała w garnkach obiad. Tymczasem wbiegła do obory, chwyciła widły i zaczęła wyrzucać mierzwę od krów, od koni i od trzody chlewnój. Za ledwie tę czynność ukończyła, a już na południe powróciło bydło z pastwiska, trzeba je było wpędzić do obory, przywiązać za rogi i dać paszy przed dojeniem. Zanim się krowy nakarmiły, Makoszowa rozdała obiad Marysi i Basi, zalecając im mieć baczość nad Jędrusiem, który także swój obiad otrzymał. Teraz żwawa gospodyni zdjęła z kołka czyściutki szkopek, dostała z komory duży garnek, powążkę oraz stołek do siedzenia przy dojeniu krów i podążyła z tém wszystkiém do obory. Jeżeli sobie pomyślimy, że po obiedzie powtórzyły się prawie te same

czynności, a oprócz nich inne jeszcze, to musimy przyznać, że kobieta wiejska ma i dosyć pracy i zupełne do tej pracy prawa.

Były to właśnie początki Czerwca. Po pięknym dniu pogodnym nastąpił wieczór, któryśmy na samym wstępie opisywali. Nad strugą śpiewał słowik, wśród łąk odezwały się żaby, wszedł księżyc, kiedy Walentowa, ukończywszy wszystkie swoje zajęcia, uczuła nareszcie prawdziwą potrzebę spoczynku. Basia już wtedy spała, a Marysia kiwała się nad kołyską Jędrusia. Matka wzięła do siebie uśmiechającego się przez sen pieszczocho i legła z nim pod pierzyną.

W nocy letnie, z powodu gorąca, drzwi od izby bywały zawsze otwarte, a tylko dworowe drzwi od sieni Makoszowie zasuwali na długą, drewnianą zaporę.

Chociaż już zmierzch zapadł dosyć dawno, jednakże Kizia, widocznie zadowolniony był pod względem żołądka, bo jeszcze nie wyruszył na łowy i jednostajnym mruzeniem dawał znać o swojej bytności w piecu chlebowym. Na kominie przygasło ognisko, tylko od czasu do czasu mignęło jeszcze jakąś iskierką, gasnącą w popiele. Kizia nawet i w lecie lubował się w dobroczynnym cieple; dla niego ciepła i wtedy nie było za dużo. Wylazł z pieca chlebowego, przeciągnął się jak długi i miał może zamiar skoczyć na dół, udać się na wycieczkę, lecz go ciepło ogniska widać zwabiło, bo znowu przycupnął na

mile grzejącym popiele i podłożywszy ogon pod siebie, rozpoczął swoje mruczenie. Śpiące dzieciaki sapały, a spracowana Makoszowa spała twardo, jak drzewo, i chrapała mocno. Kizia widać jakoś zanadto rozgrzebał popiół; ogon jego i ciało zetknęły się z drobnymi węgielkami, które jeszcze pod popiołem nie wygasły. Węgielki owe przygnęły do futra, a futro się przypaliło, czego kot ten nieraz już w swém życiu doświadczył. Ale, przypaliwszy futro, węgielki zaczęły parzyć i piec skórę. Wtedy Kizia, oparzony, porwał się, miauknął swoim cichym jak zwykle głosem, zeskoczył z komina na ziemię, wstrząsnął ciałem; ale węgielki się trzymały, jedne tlały w futrze po bokach ciała, drugie czepiły się ogona. Kot, jak szalony, wypadł do sieni, a z sieni po drabinie popędził na górę. Węgielki ciągle go piekły i trzymały się ciała. Kizia, rzucił się z bólu pomiędzy skrętki nieprzędzonych jeszcze konopi, tarzał się tutaj i w ten sposób przerwał swą straszną torturę. Swobodniejszy, wydostał się przez dymnik na strzechę, spojrzal ku dołowi, czy go przypadkiem nie dojrzy Obal, potem usiadł na samym wierzchu kalenicy około komina i zaczął lizać swe rany.

Małe węgielki, które się dostały pomiędzy cienkie i suche włókna konopi, sprawiły tlenie, znajdując znaczną ilość materiału dostatecznie palnego. Od jednego zwitka konopi tlenie przeniosło się do drugiego, następnie do trzeciego; cała

góra zapełniła się dymem; tlała téż i słoma pod spodem będąca i przedza, i płótno, które pracowała gospodyni we dnie bielila. Powstał płomień, zrazu mniejszy, potem rósł, ogarniając suche kawałki drzewa, a nareszcie wydobywając się na strzechę. W kilku miejscach wybuchnął ogień gwałtowny, wydobył się na zewnątrz i przeniknął jednocześnie wewnątrz, a najprzód ogarnął ściany sieni. Wnet cała izba napełniła się gorącym dymem. Dom cały stanął w płomieniach. Pierwsza obudziła się Marysia, ujrzała jasność, poczuła gorąco, chciała krzyknąć; ale żar i dym wpadły jęj w gardło. Porwała się dziewczeczka na swém posłaniu i runęła na ziemię z tapczana, który, że był najbliżej sieni, zalanęj pożogą, płonął w ogniu. Basia spaliła się, nie dawszy znaku życia. Jędrus, głęboko zakopany pod pierzyną, rzucił się, uderzając o ciało matki i zapłakał gwałtownie; wtenczas obudziła się i nieszcześnie Makoszowa. Słyszała tylko dokoła straszny syk, trzask oraz łomot zawalającego się w płomieniach domu; ze wszystkich stron palił ją żar ogromny, bo łózko, pierzyna, całe posłanie, nawet koszula na nięj — wszystko płonęło. Porwała konwulsyjnie dziecko, przycisnęła je na piersiach i tak z płomieni skoczyła w płomień. Duszący dym wniknął jęj w gardło oraz płuca, w oczach się zamroczyło i padła na środku izby, tuląc zawsze do piersi martwego już Jędrusia... Zniszczenie poszło dalej.

Powstał, jak zwykle w takich razach, niezmiernie silny wichur, posypały się rzęsiste iskry na oborę, która też w mgnieniu ognia oblała się straszną czerwonoscią; palił się nawet nawóz na podwórku. Przez krótką chwilę ryczało i szalało bydło, rozlegał się kwik i pisk trzody chlewniej. Później, przycichły już spokojnie te głosy istot żywych... Kiedy się rzucili na ratunek ludzie, wtenczas gorzała sutą łuną stodoła, do której przystęp był teraz głównie od pola; ale w tę stronę właśnie buchał płomień. Krótkiego czasu potrzeba, aby niszczył dobytek chłopski.

Kiedy płonęła stodoła, wtedy wśród kłębow dymu, iskier i płomieni, na swych szerokich skrzydłach, przelatywała matka rodziny bocianów, jak duch cierpienia i rozpacz. Ciężko szumiały jej skrzydła, gdy po kilkakroć zniżala lot swój, aż do głów ludzi obecnych przy pożarze. Kto wie, czy nie błagała o ratunek dla dzieci, których jęki może i dosłyszała? Sama też wydawała jakiś głos cichy, który brzmiał, jak dźwięk smętnej skargi nieszczęśliwego. Ratunku być nie mogło; a ona, czy nie mogła przeżyć śmierci swoich dzieci, czy może jeszcze ostatni raz chciała ujrzeć te najdroższe skarby, tego nikt nie wie; ale tak sobie chyba należy tłumaczyć krok rozpaczliwy biednej matki, która się rzuciła pełnym lotem w płomienie, górujące ponad stodołą. Wichur wionął, ogień buchnął jeszcze wściekliej, a ptak zmieszał popioły swoje

z popiołami dzieci. Może taka mogiła i lepsza, niż długotrwałe cierpienia ciężkie.

Była właśnie północ i zastała mogiły tutaj, gdzie przed chwilą znajdowały się gniazda, napełnione życiem, wróżącém nadziei tyle. Stary ojciec bocian przyleciał z odległej jakiejś łąki, w dziobie przynosił ze sobą żywność dla rodziny. Spóźnił się! Nie zastał nikogo! Tylko ogień świecił jeszcze złowrogo. Usiadł więc na sąsiedniej stodole i rozglądał się, czy to wszystko, co widział, nie było złudzeniem; czy trafem jakim nie zbłądził?.. Niestety! Przekonał się zapewne wkrótce o rzeczywistości, bo wzleciał w górę i krążył długo, długo, ponad spaloną stodolą i spopielałemi ciałami dzieci oraz żony. Krążył i przysiadał znowu na sąsiedniej stodole, porwał się latać dokoła, zniżał się w locie prawie do samej ziemi; poczem znowu w górę podlatał. I tak dręczył się ptak nieszczęśliwy do białego rana. Dzień zastał smutnego ojca, bujającego nad zgliszczami pełnemi zgrozy, dzień złożył mu nieomyłne dowody, iż się spełniło srogie nieszczęście. Na jednej ze spalonych do połowy belek przystanął, podumał gorzko przez chwilę. Co czuł, któż to wie? Czuł może dotkliwiej, niż niejeden człowiek. Kiedy nadchodzili ludzie, porwał się nagle na skrzydła i poleciał kędyś w świat; ale w locie zwracał jeszcze niekiedy głowę ku swojej drogiej ojczyźnie. Utracił wszy-

stko, to prawda; pozostało mu jednak życie. Cóż z nim zrobił?

Zaraz, w następnym roku, bocian pojawił się znowu w Dalewicach. Na miejscu spalonej stodoły, stała już nowa, a na nowej założono mu stare koło od wozu. I znowu zaczęło się budowanie gniazda. Takich nikt nie wydziedziczy.

*

*

*

Powyższe wypadki miały miejsce w nocy z czwartku na piątek; w sobotę był już Makosz w drodze z Kielec do domu. Byłby on nocą ściągnął do Dalewic, ale mu szkapa zaczęła kuleć już od Morawicy i to coraz bardziej; widać podbiła się na twardą szosie kieleckiej. Mimo to Walenty z biędą dowlókl się pod Drozejowską karcznię. Tutaj nie wjeżdżając do stajni, pod gołęb niebem stanął na popas; koniom dał przejeść siana, a sam rzucił się na wóz i zasnął w najlepsze. Obudził się rano, poszukał we wsi kowala, a ten mu przekuł konia, tak że teraz już śmiało puścił się w drogę do domu. W przejeździe, przyglądał się pięknym urodzajom i powtórnie widział, że zniszczenie gradowe przeszło tylko wązkim pasem przez Dalewice, obejmując zaledwie siedm, albo ośm wiosek. Ścisnęło mu się serce, gdy sobie wspomniął swoje urodziwe żyto, jęczmień i groch. Cóż robić? Na to nie było rady. Około południa zajechał przed swoje spalone domostwo. We wsi było dosyć

pusto, bo ludzie udali się w święto do kościoła. Zpomiedzy węgli i niedopałków wyskoczył do Makosza Obal. Pies był smutny. Makosz zeskoczył z wozu, szeroko rozwarł oczy i krzyknął na cały głos: „Rany Boskie, co się to stało!...” Nikt mu nie odpowiedział. Jakby świadek strasznych zdarzeń, podobny do szkieletu kościotrupa, uderzał w oczy wysoki, z gliny ulepiony komin i polepa. Walenty spojrział na tę potworną postać wzrokiem pełnym przerażenia i zgrozy, a wśród ruin pieca chlebowego ujrzał w głębi błyszczące oczy burego Kizi, który tam mrucał, kiwał się, drzemiąc, a teraz, zbudzony szmerem, patrzył z przerażeniem na łaszącego się około pana Obala. Chwycił się Makosz oburącz za głowę i jak pijany, potykając i zataczając się szedł przez wieś, a nie wiedział, co robi, dokąd idzie; smutnie postępował za nim Obal. Tak, we dwóch—człowiek z psem, stanowili orszak istic pogrzebowy. Pozostawione na drodze konie, zwróciły głowy ku ruinom. I im zapewne było smutno. Niebawem, nieszczęśliwy Walenty dowiedział się o wszystkiem. Wyjaśniono mu odrazu całą prawdę... A jednak nie odebrał sobie życia. I teraz jeszcze miał siłę, aby udźwignąć tak straszne brzemie! Pokazało się w późniejszym czasie, iż miał jeszcze siłę i do pracy około swego kawałka ziemi. I takich także nie wylaszczą ani żydzi, ani niemcy. I kiedyś dziejowa przyszłość takich tylko posadzi na zago-

nach większej i mniejszej posiadłości; będą to ludzie głównie energii oraz pracy. Sztuką nikt się tu nie utrzyma. Lud da odrodzenie, a jeżeli nie, to...

3.

Kizia przywiązał się do swojego pieca chlebowego i dalej w nim jeszcze pędził życie. Na drugi dzień po powrocie Makosza do Dalewic, o zmierzchu wybrał się kot na łowy, przebiegł sad, wyskoczył do ogrodu, rozejrzał się po widnokregu, słuchał głosów, dolatujących z łąki, z pola, od olszyn i wikliny. Dostał się nad rzeczkę i brzegiem jej, ostrożnie przybył pod olszynę. Na tej właśnie olszynie, w cieniu, szczęśliwą i nader uroczą piosnkę odśpiewywał słowik. Kot się przyczaił, jakby słuchał piosenki słowiczój. Bystrém okiem może on i dostrzegł w ciemności słowika na gałązce olszyny, a w każdym razie z dołu widać rozważał sobie dobrze miejscowość, gdzie się ptak znajdował, bo, objąwszy pień drzewa łapkami, delikatnie pomknął w górę. Wnet znalazł się naprost gałązki, będącej właśnie siedzibą zaśpiewanego słowika. Ptak opuścił zlekka ku dołowi skrzydełka i ogonek, podniósł do góry małą główkę, wydał swój gardziołek i śpiewał pięknie, zachwycająco. Kot znowu się przyczaił w miejscu, w którym z pnia gałąź owa wyrastała, wzrok swój utopił w śpie-

waku, jakby oczekując chwili sposobnej do napadu. Odległość między słowikiem a Kizią mogła wynosić jakie dwa łokcie; więc dobrze wymierzony skok uczyniłby kota posiadaczem zdobyczy na którą czatował. Właśnie słowik wykonywał trudną część swojej piosnki, podniósł niezwykle wysoko głos, a potem obniżał go stopniowo, aż do pianissimo, aby nareszcie przejść do drugiej części pieśni. Kizia rzucił się wtenczas na niego całą muskularną siłą swego ciała, celując okiem, pazurami i żądzą w punkt upatrzoney. Z obu stron roznamiętnienie było duże. Słowik, rozmiłowany w piosence swój, czy w celach, dla których ją wykonywał, nie spostrzegł ani świecących z chciwości oczu kota, ani jego ruchów. Z drugiej strony, kot był niezmiernie głodny, a apetyt jego wzrósł podczas zasadzki; chciał on teraz zapolować na pewne. Atoli gałąź nie była dostatecznie grubą, aby na niej mógł wykonać ruch gimnastyczny nawet tak śmiały i zręczny akrobata, jak Kizia. Ciało kota podczas skoku zboczyło z kierunku podstawy, którą stanowiła gałąź, tak że kiedy miał już ptaka przycisnąć szponami, lub uchwycić zębami, spadł całym tyłem ciała poniżej gałęzi, a dwiema tylko przedniemi łapami zawisł na drzewie. Słowik znalazł się atoli i tak w niebezpieczeństwie, bo zajmował on wówczas właśnie pozycyą, pomiędzy prawą a lewą łapą kota. Szczyście, że ten ostatni musiał się przedewszystkiém sam ratować

a głowę miał zbyt nisko pod gałęzią, aby mógł uchwycić ptaka zębami. Słowik sfrunął lekko, przenosząc się na dalsze drzewa, gdzieby już mógł śpiewać bez przeszkody. Kot wygramolił się teraz na gałąź, ale tu oblizwał się tylko, jak zwykł był robić w chwilach zawodu; poczem powrócił na dół tą samą drogą, którą przybył.

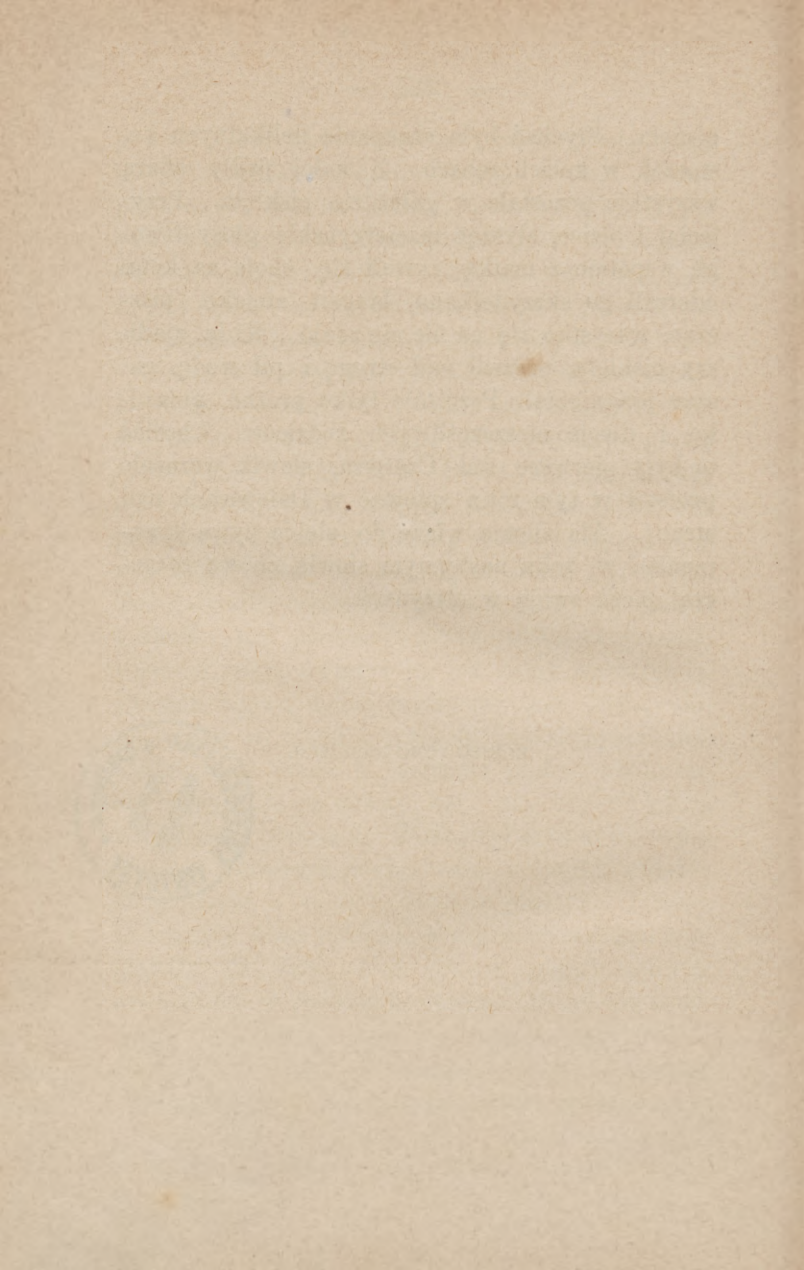
Teraz rozpoczął jak najskrupulatniejsze poszukiwania, wchodził w krzaki, badał je, przetrząsał, nasłuchiwał, rozglądał się, rzucając głową to na prawo, to na lewo. Szedł tak cicho, jakby ziemi nie tykał, między krzewami i ziołami przesuwiał się ze zręcznością nadzwyczajną. Naraż, lekki szmer dał mu się słyszeć... Był to szelest delikatny skrzydeł ptaszka, który się porwał z ziemi. Kot poskoczył przed siebie, przystanął, postawił uszy, wyteżył je, jak mógł najbardziej. Ptaszek znowu dołem przeleciał koło kota, ślaniając się po ziemi z rozpostartymi skrzydełkami. Kizia rzucił okiem w kierunku ptaka, zdało mu się jednak, że na prawo, tuż, tuż, słyszy jakieś niewyraźne piszczenie. Poskoczył szybko za owym głosem, rozpatrzył miejscowość i znalazł gniazdko słowicze, a w niém pięcioro ptaszyn. Ptaszeta otwarły żółte dziobki, a czarnemi oczkami spoglądały na kota; pięć prawie nagich główek zwróciło się w jednym kierunku. Drapieżca przystąpił do gniazda, znalazł nareszcie czego szukał. Łapą, uzbrojoną w wysunięte pazury, wyciągnął z gniazdka jedną ptaszynę, która przeraźliwie

pisnęła. Słysząc było chrupanie delikatnych ko-
steczek w kocich zębach. Z kolei padły ofiarą
wszystkie pozostałe w gnieździe pisklęta. Przy-
leciał i ojciec, słysząc macierzyńskie głosy trwo-
gi; wspólnie z matką rzucali się oboje na kota;
uderzali go skrzydełkami, błagali niejako, pisz-
cząc; wszystko się na nic nie zdało... Kizia, zjadł-
szy pisklęta, poszedł nad strugę i pił wodę, ga-
sząc pragnienie. Pozostało tylko próżne gniazdko
i dwoje nieszczęśliwych rodziców. Chociaż
to były pierwsze dni Czerwca, słowik wcześniej
przestał w tym roku śpiewać w Dalewicach nad
strugą. Ale ziemia wiąże do siebie żywe stwo-
rzenia i w roku następnym słowik znowu rozpo-
czął pieśń swoją w olszynach.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

niecałkowicie wynto E 1.5



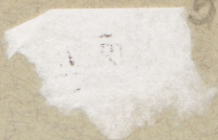


SPIS NOWEL.



	<i>str.</i>
W puszczy	3
Od świtu do świtu	111
Co kto lubi	129
Za krowę	141
Co się dzieje w gniazdach	169

50



Biblioteka WSP Kielce



028621U

299548